RAPORT ABW O NASTOLATKACH: PRZEMOC POWSZEDNIEJE, BRUTALNOŚĆ STAJE SIĘ ROZRYWKĄ

W TVN MAJĄ NOWEGO PANA

PAŃSTWO Z PAPIERU NA WOJNIE: SYRENY WYJĄ, NIE WIEMY, GDZIE SIĘ SCHRONIĆ

KTO JEST BOHATEREM, A KTO ZDRAJCĄ? O TYM JEST „APOLONIA", NOWY FILM ARKADIUSZA GOŁĘBIEWSKIEGO

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

42 (724) 2026
12–18 października 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 19 X 2026 r.

ATAK NA PREZYDENTA

PRZEMYSŁ POGARDY 2.0

JUŻ RUSZYŁ!

SYGNAŁ DAŁ DONALD TUSK. CELEM JEST ZNISZCZENIE AUTORYTETU KAROLA NAWROCKIEGO. BO RADZI SOBIE ZBYT DOBRZE I ZAGRAŻA ZŁEJ WŁADZY

sa.pl c6242adf39

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce

Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.

www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl c6242adf39

Co może Ameryka

O czym 2 marca br. w Białym Domu rozmawiali prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz? Oficjalnie informowano, że rozmowa dotyczyła kwestii bezpieczeństwa i polsko-amerykańskiej współpracy obronnej. Dziś już wiemy, że pojawił się także wątek polityczny, i to dotyczący sytuacji nad Wisłą. Premier Donald Tusk w wypowiedzi dla TVN24 stwierdził, że w Waszyngtonie omawiane były „wewnętrzne sprawy Polski". Jakie konkretnie? Według głośnej tezy, zapewne opartej na przeciekach, Donald Trump miał rzekomo namawiać lidera PSL do porzucenia współpracy z Koalicją Obywatelską i stworzenia sejmowej większości z prawicą, czyli do podjęcia oferty złożonej przez PiS jeszcze jesienią 2023 r. Smaczku sprawie dodaje fakt, że spotkanie Trump–Kosiniak-Kamysz zorganizował wpływowy europoseł PiS Adam Bielan.

Sądzę, że podjęcie wątku politycznej konstelacji w Polsce przez prezydenta Donalda Trumpa jest prawdopodobne. Nie wiemy jednak, czy była to luźna wzmianka, np. „A nie chciałbyś zostać premierem?", czy też rodzaj silnej presji połączonej z obietnicą wsparcia dla nowego rządu. Moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej od wicepremiera i lidera PSL, ale on jak na razie milczy. Sytuacja jest dla niego niewygodna, bo przecież kieruje ministerstwem obrony i wszystko, co powie, może mu zaszkodzić w relacjach z Waszyngtonem, a jeśli skłamie, może to mieć nieoczekiwane konsekwencje w przyszłości, bo Donald Trump lubi zaskakiwać.

Cała ta sytuacja służy obozowi władzy do zarzucania opozycji, że gra na siły zewnętrzne, szukając ratunku w obcej interwencji. To zarzut, który brzmi wyjątkowo cynicznie, jeśli przypomnimy bezprecedensową, wieloletnią akcję mobilizowania Berlina, Brukseli, a także i innych stolic do ostrej walki z rządami PiS. Była to akcja bezwstydna, bardzo dla naszego kraju szkodliwa, również dlatego, że grali w niej nasi bezpośredni sąsiedzi, dla których nasza niepodległość wciąż bywa sprawą dyskusyjną, a którzy na pewno nie życzą sobie silnej Polski. Wzrost znaczenia naszego państwa, jego zamożności, jego sprawności, był podstawową przyczyną, dla której obce stolice z taką pasją przyjęły zaproszenie establishmentu III RP do kolonizacji Rzeczypospolitej Polskiej. Niestety był to plan, który ostatecznie się powiódł, choć wiele udało się zrobić, wiele zostało. Na tym tle jakakolwiek presja amerykańska jest niewinną igraszką, właściwie błahostką. Waszyngton nie był zaborcą w przeszłości i dziś nie chce nam zabrać naszej suwerenności. A nawet więcej: bez amerykańskiej życzliwości wobec naszej państwowości bardzo szybko stanie się ona zagrożona w sposób dużo bardziej namacalny niż obecnie.

Przyjmując generalne założenie, że o rządzie w Warszawie decydować mogą tylko Polacy, nie powinniśmy nadawać spotkaniu Trump–Kosiniak-Kamysz przesadnego znaczenia. Jeśli była to opinia, Trump miał prawo ją wyrazić. Jeśli sugestia była mocniejsza, jakoś nie widzimy skutków w sferze amerykańskiej polityki wobec Polski. Berlin reagował inaczej: gdy usłyszał „nie", wdrażał kolejne, coraz bardziej brutalne sankcje wobec rządu PiS.

O jednym trzeba pamiętać: Ameryka nie przyniesie nam naprawdę wolnej Polski w prezencie. Przekonali się o tym Węgrzy w czasach rządów premiera Orbána. W czasie kampanii wyborczej byli przekonani, iż rządzony przez Trumpa Waszyngton zrobi wiele, by ratować kraj, uznawany za niezwykle istotny na światowej mapie twardego konserwatyzmu. Nic z tego, realna pomoc nie nadeszła. Były nawet ciosy: gdy Orbán chwalił się po wizycie w Białym Domu, że dostał gwarancję tarczy finansowej na wypadek ataku spekulantów na forinta, Trump szybko zaprzeczył, mówiąc, że rozmawiali o sprawie, ale on niczego nie obiecał. W tym kontekście Węgrzy przywołują słowa jednego z polityków, który miał kiedyś powiedzieć: „Ameryka jest za daleko, by nam realnie zaszkodzić. I także za daleko, by nam realnie pomóc". W naszym przypadku jest trochę inaczej, ale tylko trochę. Widzimy zresztą, że nawet ekipa obecnego prezydenta zadowala się na poziomie praktycznym swoistym minimum. Jeśli nowy rząd podtrzymuje kontrakty, nie wpuszcza rywali USA na polskie podwórko i nie prowokuje słownie, może doczekać się nawet pięknych komplementów. Tak więc nie liczmy na zbyt wiele. Liczmy na siebie.

Jacek Karnowski

Reklama | 09/1125/FZAL

SIECI spis treści

30 Mentalność postkolonialna *Piotr Gursztyn*

50 Polacy byli kolonizatorami? *Tadeusz Płużański*

64 Czas, który nadszedł *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

5 **ORKIESTRA NETFLIKSA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **AFERA SEDESOWA**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KAJDANKI ZA TANIE PALIWO**
Daniel Obajtek

13 **WYBORY NA WAGĘ GLOBALNYCH ZMIAN**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA RYOTARO SAKAMOTO**
Michał Korsun

16 **WSPOMNIENIA INSPIROWANE KASZPIROWSKIM**
Jan Pietrzak

16 **PANIE PREMIERZE, TERAZ PRZEMÓW!**
Samuel Pereira

17 **CO WOLNO NIEMCOWI WOJEWODZIE...**
Arkadiusz Mularczyk

18 **WEJDĄ, NIE WEJDĄ**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **PRZEMYSŁ POGARDY 2.0**
Stanisław Janecki

KRAJ

24 **PAŃSTWO Z PAPIERU NA WOJNIE**
Marek Budzisz

27 **EKIPA TUSKA REALIZUJE PLAN „PO NAS CHOĆBY POTOP"**
Ze Zbigniewem Kuźmiukiem rozmawia Jerzy Szmit

30 **MENTALNOŚĆ POSTKOLONIALNA**
Piotr Gursztyn

33 **„POLAK W POLSCE GOSPODARZEM!"**
Marzena Nykiel

36 **ZANIM NASTOLATEK SIĘGNIE PO BAGNET**
Dorota Łosiewicz

39 **W TVN MAJĄ NOWEGO PANA**
Dariusz Matuszak

42 **MOJE MIASTO KRAKÓW**
Piotr Słabek

ŚWIAT

46 **TRIUMF KONSERWATYZMU ZDROWEGO ROZSĄDKU**
Goran Andrijanić

48 **MAŁOSTKOWA ZEMSTA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

50 **POLACY BYLI KOLONIZATORAMI?**
Tadeusz Płużański

HISTORIA

53 **POWRACAJĄCE OPOWIEŚCI, CZYLI JAK TŁUMACZONO WSPÓŁPRACĘ Z SB**
Stanisław Płużański

NATURA DLA LUDZI

56 **OBCY W PRZYRODZIE**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

59 **APOLONIA NIE CHCE JUŻ MILCZEĆ**
Marcin Wikło

62 **POETKA I PROFESOR**
Maciej Walaszczyk

64 **CZAS, KTÓRY NADSZEDŁ**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: INESSA KIM**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **HIPOKRYZJA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **„ZWYKLI" OBYWATELE**
Aleksander Nalaskowski

73 **KAŻDY, BYLE... HELWET!**
Ryszard Czarnecki

74 **PIESEK W WÓZECZKU**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl c6242adf39

BRONISŁAW WILDSTEIN

Orkiestra Netfliksa

Z niewesołym rozbawieniem obserwuję, jak prawica polska organizuje wielką akcję promocyjną serialu Netfliksa „Lalka". Szefowie platformy zacierają ręce. Trudno wyobrazić sobie lepszą kampanię. I to za darmo.

Dziś, kiedy podstawowym problemem autorów jest zaznaczenie swojej obecności w zalewie produkcji filmowej, nagłośnienie, które zostało zapewnione serialowi, jest tym, o czym mogli tylko marzyć. Prawicowa licytacja na potępienie powoduje, że „Lalka" Netfliksa i nazwiska jej twórców bez przerwy funkcjonują w radiu, na stronach gazet, portali czy telewizyjnych ekranów. Ich odbiorcy wręcz zmuszani są, aby słusznie pooburzać się, zachwycić, a bardziej zdystansowani, aby wyrobić sobie własną opinię.

Ofensywa prawicy musiała wywołać kontrofensywę lewicy, w efekcie której nawet niezainteresowani tego typu twórczością poczuli się zobowiązani rzucić na nią okiem. Liderzy lewicowej opinii wezwali wszystkich do oglądania serialu, zanim prawicowa cenzura go zakaże i dziw bierze, że Monika Olejnik nie apelowała, aby chodzić z jego plakatem. „Lalkę" „atakuje PiS", co jest wystarczającym powodem do zachwytu nad nią.

Legion tych, którzy do klasyki polskiej mają stosunek co najmniej obojętny, dowie się, że obejrzenie netfliksowej „Lalki" jest takim samym obowiązkiem jak demonstracja ośmiu gwiazdek i – wprawdzie bez specjalnej ochoty – podporządkuje mu.

Czy zatem nie mamy problemu z adaptacjami klasyki? Ależ mamy, i to od dekad. Odbija się w nim stosunek ideologii emancypacji do naszej tradycji, która, mówiąc skrótem, ma zostać unieważniona. Jedną z metod jest paradoksalnie „interpretacja" dokonywana przez „zbuntowanych" reżyserów, czyli takich, którzy wykazują się straceńczą odwagą, walcząc z feudalizmem, niewolnictwem i XIX-wiecznymi regułami obyczajowymi. Nie przejmując się zupełnie „adaptowanym" dziełem, czynią je wehikułem panującej dziś ideologii.

Wielokrotnie mówią to wprost. Pewien reżyser (zaszczycił nas, och, z Londynu) robi w teatrze krakowskim „Pana Tadeusza". Stwierdził wprawdzie, że Mickiewicz go nie interesuje, dzieła tego wcześniej nie czytał – nie wiemy, czy przeczytał je ostatecznie – ale chciałby pokazać, czego w nim nie ma (niedoli pańszczyźnianych chłopów) i uwypuklić, co jest ledwie zaznaczone, czyli wykorzystywania seksualnego nieletnich (Zosi przez Tadeusza). Możemy mieć pewność, że Oliver Frljić, twórca osławionej „Klątwy", oficjalnie według Wyspiańskiego, w ogóle nie był zainteresowany jego twórczością.

Znany reżyser deklaruje, że obca jest mu idea losu, który determinuje egzystencję bohaterów klasycznej tragedii i dlatego zastąpi ją psychoanalizą.

Po co odwoływać się do klasyków, jeśli chcemy przycinać ich do naszych stereotypów i zmuszać, aby potwierdzali nasze schematy? Jeśli nie stać nas, aby stawić czoła ich dziełom, to dajmy spokój i przestańmy je fałszować.

Powrót do klasyków ma sens, jeśli próbujemy pojąć, jak rozumieli oni świat i potrafimy skonfrontować stworzone przez nich dzieła z naszą odmienną percepcją. Przy wszystkich trudnościach podejście takie wzbogacałoby nasze postrzeganie i rozumienie oraz otwierało nowe perspektywy. Jeśli sprowadzamy ich do współczesnej *biblia pauperum*, odwołanie do nich nie tylko nie ma sensu, ale dodatkowo zuboża, gdyż daje do zrozumienia, że kultura nie ma nam do powiedzenia nic ważnego.

Obecny w naszej mentalności prostacki kult postępu wyzwala pyszałkowate wyobrażenie, że nieżyjący właściwie nie mają nam już nic do przekazania. Wszystko, co wiedzieli, my już wraz z trywialnie rozumianą kumulacją kultury pochłonęliśmy i przyswoiliśmy. W rzeczywistości nie mamy o tym pojęcia, a nasza pycha wywołuje postępującą ignorancję i zawężenie horyzontów, które sprowadzają się wyłącznie do obowiązujących obecnie klisz. Panujące dziś wyobrażenie o przeszłości jest ideologiczną karykaturą, w której minione pokolenia to jedynie ofiary patriarchalnej mentalności, przesądów i tym podobnych zmór emancypowanego człowieka.

Deformacja klasyki bywa wypracowywana przez pokolenia, co ujawnia się w nihilistycznej reinterpretacji Szekspira, która generalnie przesłoniła złożoność jego przekazu współcześnie. W Polsce obowiązuje model stworzony przez Jana Kotta. Szerzej pisałem o tym w eseju „Opowieść idioty czy ład naturalny".

Nie sądzę, aby serialowa „Lalka" była na tym tle szczególna. Nie wiem, bo jej nie widziałem. Nie czuję potrzeby podporządkowania się nefliksowej promocji. Natomiast w histerii wokół niej uwidacznia się niepokojący rys współczesnej prawicowej postawy. To reaktywność, która wyrasta z kompleksu marginalizacji. Zamiast skoncentrować się na wartościowych dziełach i organizować wokół nich debaty, pozbawieni poczucia pewności liderzy prawicowej opinii wolą ogniskować swoją uwagę na rytualnych potępieniach. To bezpieczne i wygodne.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c6242adf39

Sygnalista nadaje

Najsłynniejszy lekarz i były radny KO najwyraźniej przestraszył się własnej popularności i nie wyraża już zgody na publikację swojego nazwiska i wizerunku. Stwierdził podobno, że ma w d... sławę. Doceniamy tę postawę i z szacunku dla jego skromności będziemy go odtąd nazywać Dawidem K., pamiętając jednocześnie o nakładaniu mu na uśmiechniętą twarz czarnego paseczka. Przemiana ***Dawida K.*** nastąpiła podczas długo odkładanej wizyty w prokuraturze, gdzie miał usłyszeć zarzut oszustwa na kwotę 580 tys. zł. Dawid nie przyznał się do niczego i poszedł do domu. Oczywiście nie od razu, bo prokurator zdecydował o wpłacie poręczenia w wysokości 200 tys. zł. Ale to żaden problem – dla niektórych stachanowców to raptem 10 godzin pracy. Da się odżałować.

Niektórzy mają pretensje do Dawida, że miział się z politykami. Tak mogą myśleć jedynie ludzie prymitywni, zawistni i nieobyci w świecie. Weźmy np. takiego ***Kosiniaka-Kamysza***. Gdy „Tygrysek" był na stażu medycznym w Ameryce, poznał samego Trumpa, Hegsetha, Rubio i wszystkie inne gwiazdy Białego Domu. Bez zbędnego naginania faktów można powiedzieć, że są to jego starzy kumple ze studiów. Teraz dzięki tym znajomościom „Tygrysek" załatwia bazę amerykańską w Polsce. Tak przynajmniej uważa poseł Marek Sawicki. I my mu całkowicie wierzymy.

Poseł Sawicki to w ogóle jest facet, który twardo stąpa po ziemi. Taki „peezelowiec" z krwi i kości. W telewizji lubi czasem wyrazić swój dystans do rządu, a w głosowaniu sejmowym – wręcz przeciwnie. Nie jest przecież samobójcą – każda brawura musi mieć swoje granice. Także on wie, że w polskiej służbie zdrowia dzieją się złe rzeczy. Ale to przecież nie jest wina Dawidka, że brał tyle dyżurów. To wina systemu, a Dawidek jest jego ofiarą.

Prokuratura twierdzi, że nie znalazła dotąd dowodów na istnienie saloniku dla VIP-ów w warszawskim Szpitalu Południowym. Dawid K. miał jakieś znajomości wśród polityków, ale żeby od razu salonik? Bez przesady. Po prostu lubili się, a on, jak to lekarz, zawsze był skory do pomocy, więc i posadził wygodnie na kanapie, i kawy przyniósł. W końcu pacjent naszym panem, a Szpital Południowy jest wizytówką służby zdrowia pod rządami KO. Nie mogło być inaczej.

Ofiarą systemu jest również dwojga nazwisk Barbara w kwadratowych okularach, czyli wszystkim dobrze znana i lubiana pani Basieńka, profesorka wizerunku. Kilka tygodni temu pani Basieńka wzięła urlop na macierzystej uczelni, aby chwilę odpocząć po wytężonej pracy, jaką był jej słynny raport, największe – jak dotąd – arcydzieło skomponowane przez sztuczną inteligencję. Mylą się jednak ci, którzy myślą, że pani Basieńka leniwie mapuje sobie pain pointy i urządza personal reset, licząc biernie na feedback. Ona ruszyła w Polskę i odbywa właśnie wielkie tournée po mediach. W wywiadach przyznała, że słabo radzi sobie z popularnością (podobnie jak nasz Dawidek). Dostawała bardzo dużo SMS i e-maili, z czego – jak skrupulatnie wyliczyła – co sześć minut nadchodziły przykre. Ten sześciominutowy takt sprawił jej ból. Jak twierdzi, płaci w tej chwili taką cenę, jakiej w tym kraju nie zapłaci żaden bandyta. To prawda. Żaden bandyta w „tymkraju" nie zniósłby przecież tylu przykrych e-maili, i to w dodatku przychodzących z tak szatańską, sześciominutową częstotliwością.

Niewykluczone, że za cierpienia pani Basieńki odpowiada osobiście sam Donald Tusk. Nie posądzamy go oczywiście o to, że molestuje panią Basieńkę przykrymi e-mailami co sześć minut. Chodzi raczej o to, że pan premier nie ma poczucia humoru i nie jest wy-

eprasa.pl c6242adf39

starczająco edżajlowy, aby pośmiać się wraz z całą Polską z dokonań swojej byłej podwładnej. Raczej odczuwa z tego powodu coś na kształt zero empathy i doznaje kompulsywnych meltdownów. Tym można pewnie tłumaczyć niedawne odwiedziny CBA we włościach pani Basieńki.

CBA w ogóle jest ostatnio bardzo antykobiece i nachodzi różne przemiłe panie. Bo kilka tygodni po pani Basieńce agenci w służbie patriarchatu naszli niespodziewanie inną panią dwojga nazwisk, która pełni obecnie funkcję rzecznika praw dziecka. Nie wiadomo, czego tam szukali. Chodzą słuchy, że miało to związek z heroiczną interwencją pani rzeczniczki dwojga nazwisk na warszawskiej Białołęce. W efekcie tej interwencji źle zachowującym się rodzicom odebrano dwójkę dzieci. Można powiedzieć – najwyższy standard skandynawski.

Donald Tusk ewidentnie nie jest edżajlowy. Z tego powodu cierpią niewinni ludzie, ofiary systemu: Dawidek, pani Basieńka, pani rzeczniczka dwojga nazwisk. A wszystko dlatego, że Tusk chce przed wyborami zdobyć poklask u motłochu i boi się tego, co ten motłoch o nim pomyśli. W ten sposób to my naprawdę długo nie wyjdziemy z europejskiego zaścianka.

Być może jednak Tusk naprawdę ma powody do obaw. Bo nagle u jego boku pojawiła się groźna konkurencja, zabiegająca o względy niemieckiego patrona. Chodzi oczywiście o ***Grzegorza Brauna***, który – przewidując zmiany polityczne w Niemczech – już ustawia się w roli młodszego partnera dla AfD. I stojąc u boku swoich niemieckich kolegów, opowiada o tym, jak wspaniałą inwestycją był gazociąg Nord Stream. Koledzy z AfD oczywiście uważają tak samo. I uważa tak Rosja. W ten sposób wszystko adnie nam się spina: i Niemcy, i Rosja, i Braun. Jak tak dalej pójdzie, to Tusk będzie musiał zrobić kolejny obrót. Nie będzie to dla niego takie trudne – wspominał już przecież, że jest jednym z najbardziej proamerykańskich przywódców w Europie. Ktoś z jego wyborców zaprzeczy?

Na razie wyzwaniem dla Tuska są wybory w Krakowie. Na pomoc kandydatce KO ruszył jeden z najbardziej błyskotliwych mózgów w obecnym rządzie – ***Andrzej „Sigma" Domański***. Ostatnio można go było spotkać na krakowskich przystankach tramwajowych, gdzie wspólnie z Moniką Piątkowską rozdawał ulotki wyborcze, zapewniając przechodniów, że będzie ona najlepszą prezydentką Krakowa w historii. Wydaje się, że pani Piątkowska może teraz spać spokojnie, bo zwycięstwo ma już właściwie w kieszeni. Przecież niespełna dwa lata

temu „Sigma" Domański też krążył po Krakowie z ulotkami, przekonując, że nie ma na świecie nikogo lepszego od Aleksandra Miszalskiego. I dzięki temu Miszalski wygrał. Po prostu „Sigma" ma w sobie moc zwycięstwa i ten, komu jej użyczy, musi wygrać.

Monika Piątkowska też ma moc, ale o przeciwnym wektorze. To znaczy ten, do kogo ona się uśmiechnie, jest już stracony. W 2015 r. pogratulowała Łukaszowi Gibale dobrego wyniku w wyborach do Senatu, ale nie otrzymał on wówczas mandatu. Wydaje się więc, że pani Piątkowska powinna skorzystać ze swoich nadzwyczajnych mocy i już dziś gratulować Gibale przyszłego zwycięstwa. Takie gratulacje na pewno pogrzebią jego szanse na wygraną.

Swoją drogą Krakusy powinni docenić, że po władzę w ich mieście schyliła się mieszkanka podwarszawskiego Nadarzyna. To duże wyróżnienie dla miasta i zarazem poświęcenie pani Piątkowskiej, która przecież bez większego problemu zdobyłaby stanowisko wójta w Nadarzynie, a później nawet – kto wie – mogłaby powalczyć o Warszawę. Ona jednak jest gotowa ratować Kraków przed pisowcami od Gibały. Ma przy tym duże doświadczenie, pojawiała się już przecież na listach SLD, Polski 2050 i PSL. No i – co najważniejsze – dobrze zna problematykę regionalną. Budowała struktury Polski 2050 w powiecie wołomińskim oraz we wszystkich innych powiatach pod Warszawą. Takie doświadczenie Kraków powinien przyjąć z wdzięcznością.

Wybory wyborami, ale sytuacja dookoła jest bardzo niewesoła. Mateusz Morawiecki wrzucił pomysł obowiązkowych szkoleń wojskowych dla parlamentarzystów. Wyzwanie wyśmiał najdzielniejszy z naleśników, czyli Witold Zembaczyński. „Po szkoleniu z medycyny walki i doświadczeniach zdobytych m.in. na pierwszej linii frontu w Bachmucie chętnie udzielę panu Morawieckiemu kilku praktycznych wskazówek na wypadek wojny" – napisał na platformie X, ilustrując swój wpis zdjęciem przy rozbitym czołgu. Nieprzyzwoita wręcz skromność człowieka, który osobiście zatrzymał Moskala m.in. pod Bachmutem. Zwróćmy tu uwagę na tajemnicze „między innymi", sugerujące, że nie tylko w Bachmucie widziano Zembaczyńskiego. Może walczył też w Zatoce Perskiej i w Syrii? Tego nigdy się nie dowiemy, bo pan Witek naraziłby się na poważne niebezpieczeństwo. Putin poluje na takich samotnych niszczycieli czołgów. Dziękujmy więc za pana Witka i chrońmy go przed pisowcami. Dobrze mieć świadomość, że w gronie politycznych awanturników i krzykaczy jest przynajmniej jeden poważny człowiek.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl c6242adf39

WIEŻA BAB

Afera sedesowa

Najpierw modowy wybieg, teraz luksusowy sedes. Może następny będzie ministerialny gabinet spa? Jacuzzi z logo MRiRW?

To już nawet nie jest Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi. To Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju... Komfortu. Po aferze modowej, w której resort miał zarobić kokosy, a ostatecznie zarobił – jak się okazało – ok. 5 tys. zł, przyszła pora na kolejną odsłonę ministerialnego luksusu. Tym razem nie na wybiegu, lecz w toalecie.

I trzeba przyznać: jest rozmach. Poseł Sebastian Łukaszewicz poinformował o interwencji poselskiej, podczas której parlamentarzyści mieli sprawdzać wydatki resortu. I odkryli coś, co może na zawsze zmienić nasze wyobrażenie o tym, jak wygląda praca ministra rolnictwa.

Otóż ministrowie Stefan Krajewski, Adam Nowak i Małgorzata Gromadzka mają mieć do dyspozycji luksusowe toalety z elektronicznymi deskami myjącymi. A zwykły człowiek myślał, że w resorcie rolnictwa najważniejsze są ceny skupu, opłacalność produkcji, susza, ASF, import produktów rolnych, Zielony Ład, dopłaty i przyszłość polskiej wsi. Jakże naiwnie!

Najwyraźniej prawdziwym priorytetem jest to, aby minister, kiedy już oderwie się od rozwiązywania problemów polskiego rolnictwa, nie musiał korzystać ze zwykłego sedesu. Bo przecież zwykły sedes mógłby być dla władzy doświadczeniem zbyt traumatycznym.

Tutaj jest inaczej. Jest mycie tylne i damskie. Dysza 3 w 1. Mycie oscylacyjne. Masaż pulsacyjny. Suszenie ciepłym powietrzem. Podgrzewane siedzisko. Regulacja temperatury, ciśnienia i pozycji dyszy. Jest nawet tryb TURBO! Człowiek aż zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem nie pomylił ministerstwa z pięciogwiazdkowym hotelem.

Do pełni szczęścia brakuje tylko recepcjonisty, który po wejściu szefa mówi: „Dzień dobry, panie ministrze, czy życzy pan sobie dziś wersję standard, premium czy gospodarstwo agroturystyczne all inclusive?”.

Najbardziej wzrusza jednak informacja, że sedes posiada czujnik zajętości. I tutaj trzeba przyznać konstruktorom urządzenia wyjątkową intuicję. Wreszcie ktoś zadbał o to, żeby ministerialna toaleta dokładnie wiedziała, kiedy minister pracuje.

Choć złośliwi mogliby zapytać, czy nie warto zamontować podobnych czujników również w innych częściach budynku resortu. Być może wtedy dałoby się ustalić, kiedy ministerstwo rzeczywiście zajmuje się problemami rolników, a kiedy zajmuje się problemami... ministerstwa.

Jest też elektroniczny dostęp za pomocą przepustki. Czyli nie jest to zwykła toaleta. To strefa VIP. Człowiek może sobie tylko wyobrazić, jak wygląda ochrona tego strategicznego obiektu. Korytarz, przepustka, autoryzacja i dopiero wtedy można wkroczyć do ministerialnego sanktuarium. Wszystko oczywiście dla komfortu ciężko pracujących urzędników.

I właśnie tutaj pojawia się pewien drobny problem. Bo można sobie kupić luksusową deskę. Można mieć podgrzewane siedzenie. Można mieć suszenie, masaż pulsacyjny i tryb TURBO. Można nawet sprawić, że sedes sam będzie wiedział, kiedy jest zajęty. Tylko że za drzwiami tego ministerialnego spa nadal stoi polski rolnik. I on może mieć nieco inne oczekiwania wobec resortu.

Może chciałby wiedzieć, za ile sprzeda swoje zboże. Może zastanawia się, czy produkcja mleka, mięsa albo owoców nadal będzie się opłacała. Może liczy każdą złotówkę, kiedy rosną koszty produkcji. Może martwi się konkurencją z zagranicy. Może nie ma pieniędzy na inwestycje, a już na pewno nie na elektroniczne bajery do własnej toalety.

Ale minister ma ważniejsze problemy. Musi przecież zadbać, aby było mu ciepło pod czterema literami. Po pokazie mody resort funduje nam więc kolejny odcinek serialu pod tytułem „Rolnictwo po nowemu”. Najpierw modowy wybieg, teraz sedes. Może następny będzie ministerialny gabinet spa? Jacuzzi z logo MRiRW? Masażysta dla zmęczonych negocjacjami? Aromaterapia przed spotkaniem z rolnikami?

I trudno oprzeć się wrażeniu, że polska wieś właśnie dostała od rządu bardzo czytelny komunikat. Z perspektywy zwykłego rolnika wygląda to trochę tak, jakby minister Krajewski i jego współpracownicy znaleźli idealny sposób na pokazanie, co naprawdę sądzą o problemach polskiej wsi. Mają je w tej części ciała, którą sadzają na ten wypasiony sedes.

Dorota Łosiewicz

Przemysł pogardy

Ronald Kieł, najlepszy premier tysiąclecia, wpatrywał się w wyniki sondażu poparcia dla rządu z ogromnym wysiłkiem. Siedzący po obu stronach stołu Maciej Goniony, zaufany człowiek Kła i niedoszły sędzia Trybunału Konstytucyjnego, oraz Adam Stópka, rzecznik rządu, spoglądali na twarz przełożonego i nie mogli z niej nic wyczytać.

– Ronaldzie, czy jest dobrze? – zapytał Goniony, który od kilku tygodni był najsłynniejszym radcą prawnym w Tenkraju, choć nie bardzo potrafił wykazać, że w ogóle podjął pracę w tym charakterze.

– A może, Kierowniku, jest niedobrze? – dorzucił Stópka.

– Otóż, moi wierni giermkowie, nie jest tak źle, żebyśmy nie mogli ogłosić światu, że jest dobrze – odpowiedział z kamienną miną Kieł. – Uroczyście oświadczam, że w tym trudnym czasie notowania mojego rządu wzrosły o 1 pp! Stópka, zaraz nakręcimy o tym rolkę.

– Oczywiście – rzecznik stanął na baczność i stuknął obcasami eleganckich lakierek. – Jednocześnie muszę jednak zaznaczyć, że w tym samym sondażu jest informacja, że negatywna ocena naszego rządu również wzrosła, i to aż o 5 pp. w ciągu miesiąca.

– Ale chyba nie chcesz, żebym o tym też kręcił – w głosie Kła zabrzmiała złowroga nuta. – Poza tym to chyba oczywiste, że moja praca skutkowała wzrostem, a wasze lenistwo przyniosło wam spadek notowań. Ach, gdyby w rządzie było więcej tak pracowitych osób jak ja. Ale cóż, przecież się nie sklonuję...

Goniony i Stópka spojrzeli na siebie z niepokojem. Stopień odklejenia ich szefa od rzeczywistości wyraźnie się zwiększył. O ile przeświadczenie o własnym geniuszu towarzyszyło Kłowi zawsze, to stwierdzenie, że jest tytanem pracy, usłyszeli po raz pierwszy. Ale jak wiadomo, każda próba zwrócenia premierowi uwagi, że mija się z prawdą, mogła się skończyć tragicznie. Dlatego milczeli.

– Zamurowało was? I bardzo dobrze, bo prawda w oczy kole – Kieł najwidoczniej się rozkręcał. – A co tam u mojego największego wroga, tego przebrzydłego Boksera? Pięknie go rozegrałem w sprawie cen benzyny, co nie?

– W zasadzie tak – zaczął ostrożnie Goniony. – Ale twój chytry plan zwalenia na niego winy za wysokie ceny benzyny nie do końca się udał.

– Niemożliwe, Mocni Razem na Igreku piszą, że to, co zrobiłem, to majstersztyk. Coś ci się pomyliło, Macieju – Kieł spojrzał na Gonionego podejrzliwie.

– Mam wynik sondażu w tej sprawie – Gonionemu lekko zaparowały okulary, jak zawsze, kiedy miał przekazać Kłowi niedobre wieści. – Otóż 56 proc. Tenkrajczyków uważa, że winę za wysokie ceny paliwa ponosi Pomarańczowy.

Kieł zatarł ręce z radości.

– Niestety, prawie 27 proc. uważa, że winę za wysokie ceny benzyny ponosisz ty, Ronaldzie – kontynuował Goniony.

– Naród mamy tępy – Kieł nie krył rozgoryczenia. – Ale trudno, czasem trzeba zapłacić cenę za swój geniusz. Mów szybko, jaki jest wynik Boksera!

Goniony zdjął okulary, przetarł je i ponownie założył, widocznie odwlekając odpowiedź.

– Otóż odsetek tych, którzy uważają, że to prezydent Rocky ponosi winę za to, że benzyna jest droga, wynosi 0,9 proc. – powiedział cichym głosem.

– Ile? – dopytał Kieł.

– Zero przecinek dziewięć procenta – lękliwie powtórzył minister, radca, sędzia, doradca czy kim tam obecnie był Maciej Goniony.

– Ile??!! – głos premiera zamienił się w ryk rannego łosia. – To ja się męczę! Tyram jak wół, nagrywając rolki! Chodzę pod pałac Boksera, choć się boję, że Rocky do mnie wyjdzie, i co?!

– I psińco – wyrwało się Stópce, który natychmiast się skulił ze strachu.

– I psińco! – Kieł nawet nie zauważył, że ktoś mu podrzucił słowo. – Przecież od dwóch tygodni robiłem wszystko, co w ludzkiej mocy, by lud Tenkraju uwierzył, że wysokie ceny benzyny to efekt podłości Boksera, a nie próba łatania dziurawego budżetu! Ależ ci ludzie są nierozumni...

– Faktycznie, średnio nam wychodzi – zamyślił się Stópka. – To już półtora roku, jak mówimy, że Rocky to najgorsza postać, jaką wydała ta ziemia w swojej historii, a słupki wcale mu nie spadają, a nawet można powiedzieć, że rosną. Może by to już skończyć?

Kieł spojrzał na swojego rzecznika stalowym wzrokiem.

– Skończyć to ja mogę z tobą – wycedził. – Zapamiętaj Stópka, że dopóki ja będę premierem, to jedynym przemysłem, który będzie się rozwijał, będzie przemysł pogardy. A teraz won!

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMiN

eprasa.pl c6242adf39

Berlin upadł

Zwycięzcą lokalnych wyborów w Berlinie jest skrajnie lewicowa partia Die Linke, na którą zagłosowało 27,5 proc. wyborców. Nie wszyscy jednak ucieszyli się z tego triumfu, a najmniej berlińska policja. Elif Eralp, kandydatka Die Linke na burmistrza i działaczka radykalnej lewicy, jest bowiem zagorzałą zwolenniczką imigracji, a o jej związkach z organizacjami imigrantów oraz Antifą piszą niemieckie media.

Od 2010 r. Eralp, deputowana do berlińskiego landtagu, działa w inicjatywie „Integration? Nein, danke!" („Integracja? Nie, dziękuję!"), lobbującej za tym, by imigranci z automatu otrzymywali obywatelstwo bez wymogu wcześniejszej asymilacji. Niemieckie media twierdzą również, że lokalni politycy „czerwonych" utrzymują bliskie kontakty z członkami arabskiego klanu przestępczego Remmo z Libanu, którzy pojawiali się na wiecach wyborczych partii. Klan Remmo zasłynął napadem na skarbiec muzeum Grünes Gewölbe w Dreźnie w 2019 r. i kradzieżą klejnotów o wartości 113 mln euro.

Według dziennika „Die Welt" Ferat Ali Kocak, członek komisji ds. wewnętrznych Bundestagu, był blisko zaprzyjaźniony z synem szefa klanu, Firasem. Po tym, jak sprawa została nagłośniona, Kocak nazwał swoje związki z klanem „błędem" i opuścił komisję ds. wewnętrznych. Działacze Die Linke, w tym sama Eralp, współpracowali rownież z członkami kurdyjskiej PKK i Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, co wzbudziło zainteresowanie niemieckiego kontrwywiadu.

Nic zatem dziwnego, że berlińscy policjanci są zaniepokojeni perspektywą rządów Die Linke, zwłaszcza że partia chce im odebrać fundusze. „Berlin upadł" – piszą na WhatsAppie. Reakcje na ten wpis są różne: od „kompletnej katastrofy" po „poszukam nowej pracy". Szef MSW Badenii-Wirtembergii Manuel Hagel z CDU zaproponował berlińskim policjantom przeniesienie. Jednak w odpowiedzi na tę propozycję otrzymał od Die Linke pozew. Partia grozi pozwem każdemu, kto ośmieli się łączyć ją z przestępczością zorganizowaną. Gdy szef MSW Saksonii Armin Schuster, także chadek, napisał, że zwycięstwo Die Linke w Berlinie jest „policzkiem dla uczciwych obywateli", po groźbach pozwu musiał usunąć swój wpis.

Wielu ekspertów i polityków uważa, że socjaldemokraci i Zieloni nie powinni tworzyć koalicji ze skrajną lewicą. Ponadto wskazują, że program Elif Eralp, obejmujący m.in. budowę tysięcy nowych mieszkań socjalnych, jest niemożliwy do zrealizowania przy deficycie liczonym w miliardach euro. Być może jednak młodzi wyborcy Die Linke muszą na własnej skórze odczuć rządy tej partii, aby zrozumieć, na kogo oddali swoje głosy.

Aleksandra Rybińska

Temida bez opaski

W Wielkiej Brytanii w ostatniej chwili udało się udaremnić atak islamskich terrorystów na bazę lotniczą w Fairford, z której amerykańskie bombowce strategiczne startują w dalekie misje. Po otrzymaniu sygnału od miejscowej farmerki, która w środku nocy zobaczyła mężczyzn w kominiarkach znajdujących się ok. 100 m od ogrodzenia pasa startowego, pięć osób zostało zatrzymanych niemal na gorącym uczynku. Policja ustaliła, że trzy furgonetki, którymi przyjechali niedoszli zamachowcy, miały fałszywe numery rejestracyjne oraz namalowane na karoseriach nazwy nieistniejących firm. Jeszcze tego samego dnia cała piątka mężczyzn o „bliskowschodnim wyglądzie" została zwolniona z aresztu za kaucją.

Niemal w tym samym czasie przed sądem w Basingstoke stanął 37-letni Brytyjczyk Daniel Thomas, z zawodu dekarz, ojciec czworga dzieci, spodziewający się narodzin piątego potomka. Niedawno na kanale La Manche przedziurawił nożem dryfujący na falach, używany przez nielegalnych imigrantów pusty ponton. Prokurator oskarżył go o zniszczenie mienia, przy czym nie jest znana wartość wyrządzonych szkód, ponieważ jednostkę pływającą zwrócono Francji. Sąd uznał, że jest to niezwykle poważne przestępstwo, dlatego nie zgodził się na zwolnienie mężczyzny za kaucją i Thomas pozostanie w areszcie.

Ta niewspółmierność środków zastosowanych w obu przypadkach wiele mówi o sytuacji panującej dziś na Wyspach Brytyjskich. W tym kontekście nie dziwi deklaracja obecnej minister spraw wewnętrznych Shabany Mahmood (notabene wywodzącej się z rodziny pakistańskich imigrantów z Kaszmiru), która ogłosiła, iż Wielka Brytania otworzy „bezpieczne i legalne" trasy dla uchodźców, zwłaszcza z Afganistanu i Strefy Gazy. Dodała również, że zamierza złagodzić planowane zaostrzenie przepisów imigracyjnych. Jest to odpowiedź na zastrzeżenia wicepremier Angeli Rayner, która uznała za „niebrytyjskie" utrudnianie prawa do stałego pobytu w kraju imigrantom, którzy przebywają w Wielkiej Brytanii od 2021 r.

Grzegorz Górny

eprasa.pl c6242adf39

Dżuma w Irkucku

Tajemnicza śmierć Darii Szypiłowej, 28-letniej laborantki z syberyjskiego Instytutu Przeciwdziałania Dżumie w Irkucku, wzbudziła wiele niepokojących plotek i domysłów. Młoda kobieta miała umrzeć z powodu „zapalenia płuc o nieustalonej etiologii", powszechnie uważa się jednak, że prawdziwą przyczyną jej śmierci była bakteria dżumy.

25 września Szypiłowa, podczas dyżuru w laboratorium, miała jakoby stłuc probówkę z bakterią dżumy. Nie powiedziała o tym swoim przełożonym w obawie przed utratą premii i – jak gdyby nigdy nic – wróciła do domu. Kilka dni później pojawiły się u niej objawy zapalenia płuc. Przewieziono ją do szpitala, gdzie została podłączona do respiratora. 2 października kobieta zmarła.

Wieść o tajemniczej śmierci szybko rozeszła się po Irkucku. Dziwny zgon został natychmiast powiązany z miejscem pracy Szypiłowej. Instytut Przeciwdziałania Dżumie nie jest bowiem zwykłą instytucją. Oficjalnie prowadzi się tu badania nad chorobami zakaźnymi w celu przeciwdziałania bioterroryzmowi, ale placówka – jak wszystko na to wskazuje – działa również na rzecz wojska.

Według niepotwierdzonych doniesień w instytucie pracowano nad pasażowaniem pałeczek dżumy. Pasażowanie polega na wielokrotnym przenoszeniu bakterii z organizmu jednego żywiciela do drugiego, w celu ich namnażania. Żywicielami miały być gryzonie, a efektem końcowym badań – wyhodowanie zmodyfikowanego (czytaj: bardziej zakaźnego i odpornego na antybiotyki) szczepu. Zdaniem innych źródeł laboratorium mogło pracować nad uzyskaniem aerozolowej postaci dżumy płucnej, która jest najbardziej niebezpieczną odmianą tej choroby. Być może więc Szypiłowa – jak uważa jej matka – wcale nie stłukła żadnej probówki, lecz stała się przypadkową ofiarą eksperymentów przeprowadzanych w instytucie.

Spekulacje na temat przyczyn śmierci Szypiłowej nasiliły się wskutek dziwnego zachowania władz. W bloku, w którym mieszkała, pojawili się ludzie w kombinezonach. Spryskali oni pomieszczenia środkiem dezynfekującym, tłumacząc lokatorom, że walczą z karaluchami. Jednocześnie w miejskich szpitalach zarządzono kwarantannę, a w lokalnej hucie wprowadzono nakaz używania maseczek. W Irkucku mieli się też pojawić funkcjonariusze FSB, którzy konwojowali karetki.

Gubernator Irkucka przyznał, że władze sprawdzają doniesienia o „szczególnie niebezpiecznej infekcji", a jego buriacki odpowiednik napisał wprost, że Szypiłowa zmarła na dżumę, po czym kilka godzin później dodał słowo „prawdopodobnie". Niepokój wzbudziło też usuwanie informacji o blisko 200 osobach poddanych kwarantannie, którą podawały media.

Na irkucką dżumę została nałożona blokada informacyjna. A to zwykle oznacza, że Kreml ma coś do ukrycia.

Konrad Kołodziejski

Wojna o dostęp do morza

Po czterech latach uśpienia w Etiopii ponownie wybuchła wojna domowa, która w latach 2020–2022 pochłonęła kilkaset tysięcy ofiar. Jej pierwszym akordem stało się wkroczenie wojsk etiopskich do miasta Mekele, stolicy zbuntowanej prowincji Tigraj.

Siły Tigrajskiego Frontu Ludowego, które sprzymierzyły się z lokalnymi milicjami i wspólnie dążą do obalenia etiopskiego rządu, wycofały się na północ, w stronę granicy z zaprzyjaźnioną Erytreą. Przed kilkunastoma dniami Etiopia zarzuciła Erytrei wspieranie rebeliantów i wydaliła erytrejskich dyplomatów, zamykając jednocześnie swoją ambasadę w Asmarze. W odpowiedzi Erytrea oskarżyła Etiopię o podważanie jej suwerenności i szykowanie inwazji, aby uzyskać dostęp do wybrzeża morskiego. W środę zaś pojawiły się informacje o przekroczeniu przez wojska erytrejskie granicy z Etiopią, co może zwiastować poważniejsze starcia.

Erytrea i Etiopia toczyły już w latach 1998–2000 wojnę graniczną, tym razem konflikt może jednak przybrać szerszy zasięg, ponieważ przeciwko Etiopii sformowała się szeroka koalicja, skupiająca Egipt, Sudan i Somalię. Egipt jest poróżniony z Addis Abebą na tle dostępu do wód Nilu, co ma związek z etiopską zaporą w górnym biegu tej rzeki. Z kolei w Sudanie trwa wojna domowa, w której Etiopia wspiera przeciwników tamtejszego rządu. Agencja Reutera twierdzi, że wspomniane państwa uzgodniły już plan wspólnych działań wojskowych i wywiadowczych, który wejdzie w życie, jeśli Etiopia będzie eskalowała działania zbrojne. O powadze sytuacji świadczy również apel Stanów Zjednoczonych do władz Etiopii i Erytrei, aby „zachowały powściągliwość".

Trudno dziś przesądzać, czy amerykańskie wezwanie zostanie wysłuchane, zważywszy, że obecny konflikt jest konsekwencją polityki premiera Etiopii, który uzależnia modernizację kraju od uzyskania dostępu do morza. Alternatywą dla wojny z Erytreą jest porozumienie Etiopii z Somalilandem – nieuznawanym przez świat państwem, które oderwało się od Somalii i dysponuje portem morskim. Ta opcja oznacza jednak ryzyko starcia z Somalią. Szanse na pokój w rogu Afryki są zatem niewielkie.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl c6242adf39

Kajdanki za tanie paliwo

Donald Tusk obiecywał Polakom paliwo po 5,19 zł. Nie półsłówkiem ani jako odległy cel. Powiedział to wprost i powtarzał „z całą odpowiedzialnością". Tusk został premierem, paliwa po 5,19 zł nie ma. Jest za to ABW. Po ludzi, którzy w 2023 r. odpowiadali za sprzedaż benzyny po 5,99 zł, przyszli funkcjonariusze

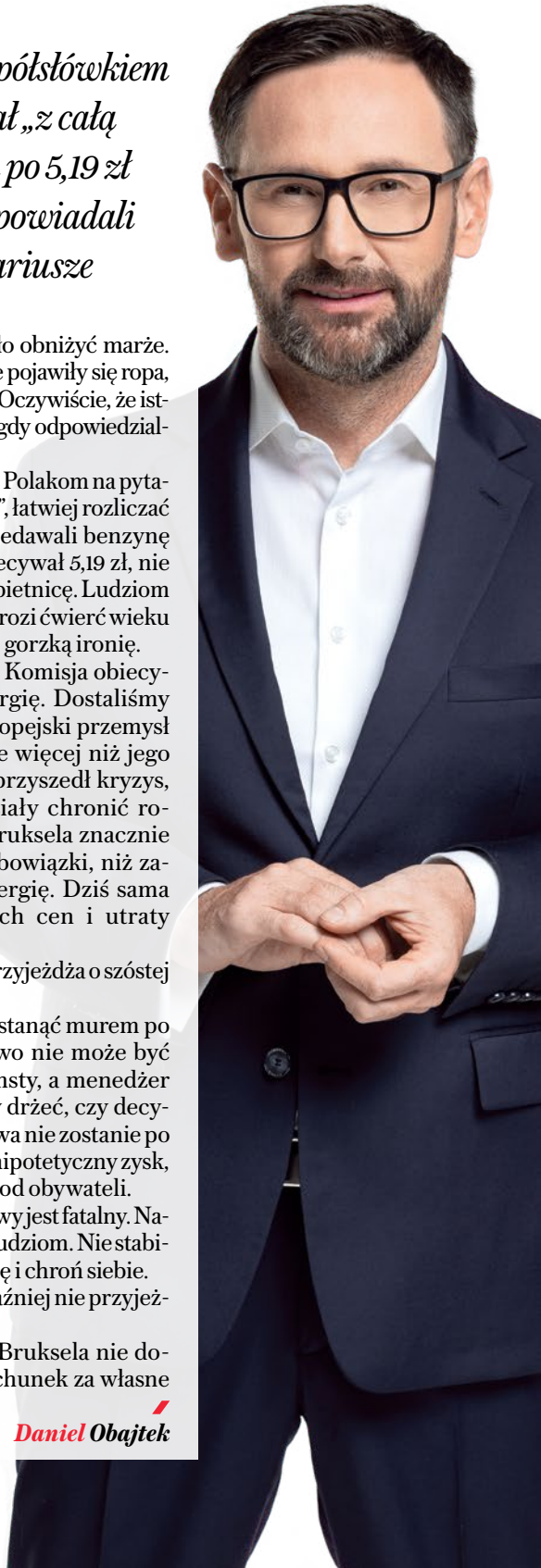

Pięciu byłych i obecnych menedżerów ORLENU zostało zatrzymanych. Prokuratura zarzuca im niegospodarność i spowodowanie szkody na ponad 4,1 mld zł. Grozi im nawet 25 lat więzienia. Dziś mam prawo powiedzieć, że urządzanie takiego spektaklu wokół ludzi, którzy podejmowali decyzje podczas wojny, kryzysu energetycznego i inflacji, jest skandalem. I trudno mi widzieć w tym coś innego niż polityczny odwet.

Bo gdzie właściwie są te rzekomo stracone miliardy? Nie zostały wyprowadzone ze spółki ani nie trafiły do prywatnych kieszeni. Zostały u kierowców, rolników, przewoźników i przedsiębiorców. Tańsze paliwo oznaczało niższe koszty transportu, produkcji i usług, a więc również mniejszą presję na wzrost cen.

Co więcej, niższa cena nie oznacza automatycznie proporcjonalnie niższego wyniku. W trzecim kwartale 2023 r. sprzedaż detaliczna ORLENU w Polsce wzrosła o 9 proc. rok do roku, a w czwartym kwartale – aż o 22 proc. Segment detaliczny w ostatnim kwartale wypracował 633 mln zł EBITDA. Cała Grupa zakończyła 2023 r. z 27,6 mld zł zysku netto i rekordowymi inwestycjami na poziomie 32,4 mld zł. To nie jest obraz koncernu zrujnowanego przez tanie paliwo.

Nie kupuję więc prostackiego równania, według którego każda złotówka niewyciągnięta z kieszeni kierowcy jest automatycznie złotówką straty ORLENU. Niższa cena może oznaczać większą sprzedaż, większy obrót i dodatkowe zakupy na stacjach. Można badać marże, procedury i każdą decyzję. Od tego są biegli i sąd. Ale robienie przestępców z ludzi dlatego, że strategiczna spółka w czasie kryzysu nie wycisnęła z Polaków każdej możliwej złotówki, jest czymś zupełnie innym.

Zwłaszcza gdy oskarża ich władza Donalda Tuska. Kiedy był w opozycji, wszystko było proste. Miało być 5,19 zł. Wystarczyło obniżyć marże. Kiedy został premierem, nagle pojawiły się ropa, dolar, wojny i światowe rynki. Oczywiście, że istnieją. Istniały również wtedy, gdy odpowiedzialność ponosiliśmy my.

Dziś zamiast odpowiedzieć Polakom na pytanie, „gdzie jest pańskie 5,19 zł", łatwiej rozliczać ludzi, którzy naprawdę sprzedawali benzynę po 5,99 zł. Polityk, który obiecywał 5,19 zł, nie odpowiada za niespełnioną obietnicę. Ludziom odpowiedzialnym za 5,99 zł grozi ćwierć wieku więzienia. Trudno o bardziej gorzką ironię.

Podobnie jest z Brukselą. Komisja obiecywała tanią, bezpieczną energię. Dostaliśmy ETS, kolejne regulacje i europejski przemysł płacący za energię znacznie więcej niż jego światowi konkurenci. Gdy przyszedł kryzys, to państwa narodowe musiały chronić rodziny i przedsiębiorstwa. Bruksela znacznie sprawniej tworzyła nowe obowiązki, niż zapewniała Europie tanią energię. Dziś sama odkrywa problem wysokich cen i utraty konkurencyjności.

Za te błędy jakoś nikt nie przyjeżdża o szóstej rano.

Dlatego wszyscy powinni stanąć murem po stronie zatrzymanych. Prawo nie może być narzędziem politycznej zemsty, a menedżer nie może po zmianie władzy drżeć, czy decyzja podjęta w interesie państwa nie zostanie po trzech latach przeliczona na hipotetyczny zysk, którego można było zażądać od obywateli.

Bo sygnał płynący z tej sprawy jest fatalny. Następnym razem nie pomagaj ludziom. Nie stabilizuj cen. Maksymalizuj marżę i chroń siebie.

Za drożyznę ABW najwyraźniej nie przyjeżdża. Za 5,99 zł może.

Tusk nie dowiózł 5,19 zł. Bruksela nie dowiozła taniej energii. Ale rachunek za własne porażki zawsze wystawiają.

Daniel Obajtek

eprasa.pl c6242adf39

Wybory na wagę globalnych zmian

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy Europę czekają istotne zmiany polityczne, związane przede wszystkim z wyborami w kilku dużych państwach UE. Wybory prezydenckie we Francji wiosną 2027 r., które zakończą prezydenturę Emmanuela Macrona i mogą zasadniczo zmienić kierunek francuskiej polityki. W 2027 r. wybory parlamentarne czekają również Polskę i Włochy, a w Hiszpanii przedterminowa elekcja ma się odbyć jeszcze tej jesieni. Szerszym zjawiskiem jest rosnące znaczenie partii prawicowych, narodowo-konserwatywnych i antyestablishmentowych oraz osłabienie tradycyjnego układu centroprawicy i centrolewicy. Jednocześnie coraz większą rolę w europejskiej polityce odgrywają kwestie bezpieczeństwa i wydatków obronnych, migracji, konkurencyjności gospodarczej, relacji ze Stanami Zjednoczonymi oraz dalszego wsparcia Ukrainy. W rezultacie 2027 r. może przynieść znaczącą zmianę równowagi między państwami, która wpłynie na kierunek polityki całej UE.

Prawdopodobne zmiany zachodzą nie tylko na Starym Kontynencie, lecz także w Ameryce Południowej. Ewentualne zwycięstwo Flávia Bolsonaro w wyborach prezydenckich w Brazylii należałoby rozpatrywać nie tylko jako kolejną zmianę polityczną w Ameryce Łacińskiej. Przypomnijmy, że obecnie przedstawiciele ugrupowań konserwatywnych i centroprawicowych są u władzy w Argentynie, Boliwii, Chile, Kolumbii, Kostaryce, Ekwadorze, Salwadorze, Hondurasie, Panamie, Paragwaju, Peru i na Dominikanie. Wygrana Bolsonaro stanowiłaby istotny element procesu rywalizacji Stanów Zjednoczonych i Chin o kształt przyszłego porządku międzynarodowego. Brazylia jest bowiem jednym z niewielu państw świata, które ze względu na wielkość terytorium, ludność, zasoby naturalne, produkcję żywności i potencjał gospodarczy mogą w XXI w. prowadzić autonomiczną politykę. Pytanie o jej przyszłą orientację jest zatem pytaniem o to, czy największe państwo Ameryki Łacińskiej pozostanie jednym z filarów Globalnego Południa, czy też zacznie ponownie zbliżać się strategicznie do USA.

Luiz Inácio Lula da Silva konsekwentnie wybiera pierwszą możliwość. Polityka zagraniczna obecnego przywódcy tego kraju opiera się na założeniu, że świat zmierza w kierunku wielobiegunowości i że Brazylia powinna rozwijać handel z Chinami, pozostawać partnerem USA i UE, wzmacniać BRICS oraz przedstawiać Brazylię jako jednego z politycznych liderów Globalnego Południa. Prezydentura Flávia Bolsonaro mogłaby zasadniczo skorygować tę strategię. Nie oznaczałaby zapewne zerwania z Chinami. Gospodarczo byłoby to dla Brazylii kosztowne. Czy możliwa byłaby natomiast znacznie głębsza zmiana w obszarach strategicznych? Czy Brazylia mogłaby pozostać wielkim partnerem handlowym Chin, jednocześnie przesuwając się w stronę USA w sprawach bezpieczeństwa, technologii, infrastruktury cyfrowej, systemów płatniczych, energetyki i surowców strategicznych? Dla Stanów Zjednoczonych byłaby to zmiana o znaczeniu strategicznym.

Od początku XXI w. Chiny systematycznie zwiększały swoją obecność gospodarczą w Ameryce Łacińskiej. Waszyngton obserwował więc rosnące wpływy Pekinu w obszarze, który przez niemal dwa stulecia traktował jako swoje najbliższe otoczenie geopolityczne. Zbliżenie największego państwa Ameryki Łacińskiej do USA oznaczałoby częściowe odwrócenie tego procesu. Znaczenie Brazylii wynika przy tym nie tylko z jej położenia czy wielkości gospodarki. W XXI w. szczególnej wartości nabierają zasoby, których państwo to posiada wyjątkowo dużo: żywność, woda, energia, ropa, rudy metali oraz minerały potrzebne nowoczesnemu przemysłowi. Rywalizacja amerykańsko-chińska w coraz większym stopniu dotyczy kontroli nad łańcuchami dostaw półprzewodników, baterii, technologii energetycznych i surowców krytycznych. Brazylia może w tej rywalizacji stać się jednym z najważniejszych państw wahadłowych. Jeżeli Waszyngton zdołałby powiązać brazylijskie zasoby z amerykańskim kapitałem, technologią i systemem bezpieczeństwa gospodarczego, powstałaby możliwość stworzenia na zachodniej półkuli znacznie bardziej samowystarczalnej przestrzeni gospodarczej.

REKLAMA

30/0926/F

eprasa.pl c6242adf39

Walizka Ryotaro Sakamoto

współwłaściciela Warszawskiej Szkoły Języka Japońskiego, muzyka

Moja przygoda z Polską zaczęła się od poznania Moniki na Uniwersytecie Shizouka. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że moja koleżanka ze studiów zostanie moją żoną. Po roku wyjechałem na studia na Białoruś, a ona wróciła do kraju. Jako pierwszy (i na razie ostatni) japoński student w Homeli miałem raportować, jak przebiega edukacja. Z powodu braku internetu i możliwości dzwonienia do Japonii od czasu do czasu przyjeżdżałem do Polski, gdzie spotykałem się z Moniką. Gdy okazało się, że w Polsce można studiować po angielsku, postanowiłem zrobić tutaj magisterkę. Wtedy – już z moją narzeczoną – założyliśmy Warszawską Szkołę Języka Japońskiego. Wybór Celestynowa na miejsce zamieszkania nie był przypadkowy. Tutejszą szkołę podstawową i region łączy wyjątkowa więź z ponad 100-letnią historią uratowania przez Japoński Czerwony Krzyż ponad 700 polskich dzieci z Syberii. Decyzja gminy Celestynów, by zaopiekować się japońskimi sierotami po trzęsieniu ziemi w Kobe w 1995 r., była symbolicznym, a zarazem naturalnym gestem rewanżu i empatii. W 2018 r. tutejszej szkole podstawowej nadano imię Polskich Dzieci Syberyjskich, można się w niej uczyć języka japońskiego. Ponieważ promuje kulturę mojego kraju, często odwiedzają ją japońskie delegacje. Gmina Celestynów podpisała również listy intencyjne w sprawie współpracy z Sakaki w prefekturze Nagano oraz Tsuruga w prefekturze Fukui.

KALIGRAFIA

To sposób wyrażenia siebie. Stawianie znaków wymaga pełnej koncentracji i jest formą medytacji. Dlatego na moje lekcje kaligrafii przychodzą również osoby, które nie znają języka japońskiego.

PRZYCISKI DO PAPIERU

Niezbędne podczas kaligrafowania na otwartym powietrzu.

eprasa.pl c6242adf39

TABI

Tradycyjne japońskie obuwie tabi charakteryzuje się rozcięciem, które oddziela duży palec od pozostałych. Można w nich tańczyć, biegać, grać na bębnach.

FLETY

W prefekturze Nagano, by zbudować drogi dojazdowe na czas zimowych igrzysk olimpijskich w 1998 r., wycięto dużo drzew. Japończycy wpadli na pomysł, by dać drugie życie pozyskanemu drewnu i wykonano z nich flety – kokaryna.

PIECZĄTKI

Na kartce można postawić maksymalnie cztery pieczątki z nazwiskiem autora i mottem.

BĘBNY AMATERASU

Zespół założony w 2013 r., w którym gramy na oryginalnych japońskich bębnach – wadaiko. Koncertujemy podczas wydarzeń kulturalnych w Polsce i za granicą, a także oficjalnych uroczystości.

ZIELONA HERBATA

Dla ciała pijemy wodę, dla serca – zieloną herbatę. Zwykle rano. Liści nie powinno zalewać się wrzątkiem. Ciekawostka: europejska moda na picie matchy spowodowała wzrost cen zielonej herbaty w Japonii.

OCHRANIACZE

Zakładamy na przedramiona, by chronić je i wzmacniać podczas uderzania pałkami w bęben.

KSIĄŻKA

Napisałem książkę, którą wydałem 2023 r., by zebrać pieniądze na zakup karetki dla Ukrainy. Finalnie udało się nam zakupić aż cztery ambulanse.

WARSZAWSKA SZKOŁA JĘZYKA JAPOŃSKIEGO

Szkołę założyłem razem z żoną w 2011 r. Ponieważ zajęcia są prowadzone online, mamy uczniów w całej Europie. W WSJJ można nauczyć się nie tylko języka, lecz także japońskiej kultury: gry na bębnach, kaligrafii czy sztuki zakładania yukat.

KUCHNIA

Przygotowując posiłki, korzystamy z warzyw z naszego ogrodu, używamy m.in. dyni hokkaido do japońskiego curry i japońskiej rzodkiewki, z której robimy na śniadanie zupę miso.

PŁYTA

Nagraliśmy płytę, by zbierać środki na biedne dzieci na Ukrainie.

HAPPI

Mam ich całą kolekcję. Na koncerty i festiwale wszyscy członkowie zespołu „Bębny Amaterasu" zakładają niebieskie happi, dzięki czemu jesteśmy rozpoznawalni.

DWUJĘZYCZNE CZASOPISMO

Wydane w 2018 r. z okazji 100. rocznicy ustanowienia stosunków dyplomatycznych pomiędzy Japonią a Polską. Chcieliśmy, aby Polacy i Japończycy dowiedzieli się również o pięknej historii prawdziwej przyjaźni pomiędzy naszymi krajami, wspartej konkretnymi gestami z obu stron.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Ryotaro Sakamoto, Shutterstock

eprasa.pl c6242adf39

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wspomnienie inspirowane Kaszpirowskim

Jan Pietrzak

Odszedł z tego padołu rosyjski uzdrowiciel Kaszpirowski. Facet, który leczył przez telewizor, licząc do 20, ale sam się nie wyleczył, biedak. Telewizory są gorsze? Wiara w znachorów nigdy nie gaśnie. Pamiętam tłum oczekujący na spotkanie. Kręcił się jakiś gość i wołał: „Ludzie, ja chodzę!". Ktoś spytał: „Co, uzdrowił pana?". „Nie, samochód mi ukradli". To był bodajże 1990 r.

W Polsce zaczynała się nowa era, mówiono, że postkomunistyczna. Żartowałem w kabarecie: czeka nas długi post. I korzystając z metody Kaszpirowskiego, snułem monolog jako tutejszy uzdrowiciel. Rolnik spod Gołdapi kompletnie wyłysiał, choć był rudy. Nauczycielka języka rosyjskiego z Legnicy zapomniała języka w gębie. Dentyście z Bolesławca wypadły wszystkie plomby z szuflady. Przede wszystkim leczę ze złudzeń. Śmiech oczyszcza chore tkanki. Proszę, rozprężamy przeponę. Niech pracuje, porusza wątrobę. Krew żywiej krąży i czyści organizm z pokładów chamosterolu. Człowiek uśmiechnięty przestaje być chamem. Bufetowa z Rozprzy pisze do mnie, że gdy puszcza z taśmy moje nagrania, miejscowy element przestaje tłuc kufle na jej głowie. Zdrowy śmiech działa lepiej niż wódka Stoliczna. Dyrektorzy hoteli, notorycznie głusi, ostatnio odkryli, że mają dobry podsłuch. OPZZ przejrzało na oczy i dostrzegło krzywdę klasy robotniczej. Klawisze przepraszają więźniów. Policja przeprasza za milicję. Emeryci przepraszają ZUS, że jeszcze żyją. Kwitnie grzeczność w narodzie. Śmiechoterapia działa. Pewien kaleka odrzucił laskę, niestety trafił w głowę zdrowego człowieka, który doznał wylewu zupy do zlewu. Lutek B., który moczył się w nocy, teraz moczy większe sumy w kasynie... Otrzymuję błagalne prośby o pomoc. Pani Pytkowska z Pytkowic pyta, czy mogę pomóc jej zięciowi mieć dzieci. A ileż to roboty... Z tym że takie seanse prowadzę w innym miejscu.

Ludowe przysłowie powiada, że śmiech to zdrowie. Choć ludu już nie ma, ludowe przysłowia nie zostały jeszcze odwołane przez Senat z Sejmem do kupy. Ostatnio Polska Akademia Okolicznościowa nadała mi tytuły profesora Humora i docenta Witza. Śmiech to odtrutka na smutka. Prof. Balcerowicz udowadnia, że można żyć goło, lecz wesoło. Pytanie, jak długo. Prawdziwa wolność zaczyna się wtedy, kiedy wolno śmiać się z każdego. Pani, która cierpi na bezsenność, dobrze zaśnie, choć tym razem nie z mężem, a może dlatego. Panu zniknie dziura w zębie, pojawi się w portfelu. Ustąpi korupcjoza w Funduszu Zadłużenia.

Wolni ludzie w swoim kraju mogą śmiać się z wszystkiego. Śmiech jest potrzebny jak haust świeżego powietrza. Słoń, który, jak wiadomo, oddycha trąbą, spotyka gołego mężczyznę i zdziwiony pyta: „Jak ty możesz oddychać taką małą trąbką?". Śmiejemy się niezależnie od tego, jaką kto ma trąbkę. Nie zastanawiamy się, czy żart jest mądry, czy głupi. Musi być śmieszny. Od mądrości mamy stada profesorów, ministrów! Co też brzmi jak jeden wielki żart...

Panie premierze, teraz przemów!

Samuel Pereira

Minęły już trzy lata i większość z nas pewnie zdążyła zapomnieć o tych emocjach. A wzmożenie w kampanii wyborczej było wielkie. Byliśmy w trakcie pełnoskalowej agresji Rosji na naszego sąsiada, ale ówczesna opozycja się tym nie przejmowała i „jechała" z przeciwnikami bez skrupułów, rozkręcając do maksimum złe emocje. Dlaczego o tym wspominam?

Wybaczcie, że o sobie, ale tak się szczęśliwie wydarzyło, że 7 października br. wygrałem kilkuletnią sądową batalię z Ewą Wrzosek. Delegowana do Ministerstwa Sprawiedliwości prokurator przeczytała mój wpis o „mafiosach, handlarzach narkotyków i terrorystach, którzy kreują się na ofiary operacyjnych działań państwa polskiego" i uznała, że to o niej. Dalej był kilkuletni rollercoaster, a po drodze jej wygrana w pierwszej instancji. Z kuriozalnym uzasadnieniem sędzi z Iustitii. 10 dni przed wyborami. Wtedy jak w orkiestrze odpalił się Donald Tusk. Jeszcze nie premier, ale już aspirujący, by dojść do władzy, jak się później znowu okazało – dla samej władzy. „Boją się i mają czego się bać" – krzyczał. „Są jeszcze sędziny i sędziowie odważni, niezależni, naprawdę" – nie krył satysfakcji. Oskarżył mnie wtedy publicznie o „szkalowanie, hejt i świństwa", określając jako „pan Pereira z telewizji rządowej". Poinformował sympatyków zebranych na spotkaniu w Rzeszowie, że „zostałem skazany" na „miesiące ograniczenia wolności i zadośćuczynienie finansowe". Po pierwsze, pominął, że apelacja dopiero się wtedy rozpoczęła, a po drugie, skłamał (nie byłby sobą, gdyby tego nie zrobił) o „zadośćuczynieniu finansowym", bo sąd niczego takiego nie zasądził. Mówił jeszcze o „dobrym prognostyku", bo „to jest dopiero taki sygnał", czyli jak zwykle: groził, a na koniec dorzucił insynuacje o wyborcach PiS jako „ofiarach kłamstwa i pogardy, za którymi stoją tacy ludzie jak wskazany pan Pereira".

Tak wyglądał seans nienawiści mistrza projekcji, bo prawie nic innego nie robi, jak zarzuca innym swoje własne czyny i intencje, a teraz, gdy zapadł prawomocny wyrok niekorzystny dla Ewy Wrzosek? Nagle zamilkł. Gdzie odwaga i honor, panie premierze?

eprasa.pl c6242adf39

Co wolno Niemcowi wojewodzie...

Bruksela nieustannie powtarza, że trzeba ratować europejski przemysł motoryzacyjny i chronić miejsca pracy. Gdy jednak Polska chce wesprzeć fabrykę MAN w Niepołomicach kwotą 116 mln zł, Komisja Europejska mówi: nie. Pomoc uznano za niezgodną z unijnymi zasadami.

To nie jest spór o paragrafy. Niepołomice to tysiące miejsc pracy, polscy poddostawcy i przyszłość przemysłowa południowej Polski. Decyzja nie zamyka zakładu, ale odbiera naszemu krajowi możliwość dofinansowania inwestycji. To fatalny sygnał dla naszego przemysłu.

A jak wygląda sytuacja za Odrą? Komisja zatwierdziła 902 mln euro niemieckiego wsparcia dla fabryki baterii Northvolt, 5 mld euro na półprzewodniki w Dreźnie i kolejne 5 mld euro na dekarbonizację przemysłu. To różne programy i podstawy prawne, ale pytanie pozostaje: dlaczego dla niemieckiej gospodarki znajdują się miliardy, a Polsce odmawia się zaledwie ułamka procentów tych kwot?

Jest nam znane takie powiedzenie, które pasuje to tej sytuacji: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie". Dziś chciałoby się powiedzieć: „Co wolno Niemcowi wojewodzie...".

Wspólny rynek miał wyrównywać szanse. Tymczasem rodzi się Europa, w której najbogatsi mogą utrwalać przewagę, a państwa nadrabiające dystans napotykają kolejne bariery. Zresztą nie muszę już nawet przypominać, dlaczego Polska musi ten dystans nadrabiać, kto jest temu winien i że nadal nam za to nie zapłacono.

Niemcy mogą wzmacniać swój przemysł, a Polska ma być tylko rynkiem zbytu? Jeśli tak ma wyglądać europejska solidarność, sens istnienia Unii zostaje postawiony na głowie. Zamiast wspólnoty równych państw otrzymujemy mechanizm wzmacniania niemieckiej potęgi gospodarczej, w którym pozostali mają jedynie pomagać i nie przeszkadzać.

W tym samym tygodniu Parlament Europejski zatwierdził zaś uruchomienie unijnych środków dla pracowników zwolnionych w trzech innych państwach. Belgia otrzyma 3 821 460 euro na pomoc zwolnionym pracownikom sieci Cora. Hiszpania – 2 725 100 euro na wsparcie pracowników zwolnionych z 20 przedsiębiorstw sektora motoryzacyjnego w Galicji. Z kolei Finlandia otrzyma 410 310 euro dla byłych pracowników Valmet Automotive i jego podwykonawców.

Dlatego podjąłem interwencję i w trybie priorytetowym skierowałem do Komisji Europejskiej pytania o zablokowanie pomocy dla MAN w Niepołomicach. Czekam na odpowiedź i konkretne wyjaśnienia. Nie zgadzam się na Unię, w której miejsca pracy w Niemczech i na zachodzie UE mają być ważniejsze niż te w naszym kraju.

Arkadiusz Mularczyk

„Kobra" z nutą autoironii

***Juliusz Machulski** o najnowszym spektaklu Teatru Telewizji „Wnuczka Picassa"*

Fot. Karolina Jóźwiak/TVP

O powrocie do Teatru Sensacji „Kobra".

To była propozycja z tych nie do odrzucenia. „Kobra" zajmuje ważne miejsce w moim sercu. Jako dziecko bardzo czekałem na te spektakle. Zresztą nie tylko ja. Wiedziałem, że [...] tamta formuła już się wyczerpała. Mamy dostęp do tylu fantastycznych kryminałów na różnych platformach [...]. Chciałem, żeby ten spektakl zaczynał się jak typowa „Kobra", a potem, by okazało się, że wszystko to są żarty. Jak mówi jeden z bohaterów: „teraz to »Kobrę« trzeba robić persyflażowo, z dodatkiem kpiny, nutą autoironii".

O pierwszej sztuce, którą napisał dla „Kobry" jako 19-latek.

Mój ojciec grywał czasami w „Kobrze". Zdarzało mu się nawet reżyserować niektóre sztuki. Miałem więc możliwość czytania w domu scenariuszy z dużym wyprzedzeniem. Pamiętam, jak dał mi do przeczytania tekst i zapytał, co o nim sądzę. Stwierdziłem, że [...] lepiej bym go napisał. „No to napisz!" – zasugerował. To napisałem! Nazywało się to „Śmierć w najszczęśliwszym dniu" [...]. Wymyśliłem sobie pseudonim: Jerry McKee. Ojciec powiedział w Teatrze Telewizji, że znalazł gdzieś amerykańską sztukę i przetłumaczył. Premiera odbyła się trzy dni przed moimi 19. urodzinami.

Kto zagra w spektaklu.

„Wnuczkę Picassa" pisałem z myślą o Maszy Wągrockiej. Widziałem ją w „Matkach pingwinów" [...]. Ma niezwykły potencjał aktorski – jak to się mówi, „damę zagra, a chuligankę też uciągnie". Tu miała szansę pokazać swoją zupełnie inną odsłonę, bardziej komediową. Partnerują jej m.in.: Aleksandra Domańska, Piotr Grabowski, Jędrzej Hycnar, Magdalena Koleśnik, Robert Więckiewicz, Andrzej Zieliński, Michał Żurawski i Krzysztof Stelmaszyk.

Oprac. JGZ

eprasa.pl c6242adf39

TRENDY I OWĘDY

Wejdą, nie wejdą

Ryszard Makowski

Alert RCB, przeznaczony dla mieszkańców województwa lubelskiego, dostali również mieszkańcy województwa lubuskiego. Nazwy podobne, pomylić się łatwo. Taka dezynwoltura w sprawach bezpieczeństwa wzmaga jednak poczucie niepokoju. Zresztą to poczucie niepokoju jest bardzo pielęgnowane przez władze. Najwyższe czynniki rządowe przestrzegają przed atakiem ze wschodu. Jednocześnie eksperci od wszystkiego mówią, że konfrontacja Rosji z NATO jest mało prawdopodobna.

Nasz minister spraw zagranicznych znowu ostrzega: „Otrzymujemy informacje, że Rosja szykuje coś dużego w tym roku". Premier dostał ponoć ważny dokument od dyrektora CIA. Był on tak tajny, iż szef MON wyjawił: „Nie widziałem tego dokumentu". Minister z kancelarii prezydenta skomentował sprawę na portalu X: „Nie było żadnego »tajnego raportu CIA« na biurku. Wymyślone kłamstwo, żeby zelektryzować opinię publiczną i przyszpanować". I bądź tu, obywatelu, mądry! Komu wierzyć?

Chodzą słuchy, że atmosfera zagrożenia jest rozkręcana po to, by wprowadzić jakiś stan uniemożliwiający przeprowadzenie wyborów. Z tym że stan wojenny albo wyjątkowy wprowadza prezydent. Ale okazuje się, że w MON trwają prace nad wprowadzeniem „stanu pełnej gotowości państwa do wojny", czyli stanu przedwojennego. Takiego stanu nie ma w konstytucji. I o to chodzi. Znając rozmach tej władzy, może go wprowadzić premier albo nasz Marszałek Polowy. W czasach Solidarności na porządku dziennym było pytanie: „Wejdą, nie wejdą?". Wtedy komunistyczna ekipa straszyła bratnią pomocą. Lata minęły, metody pozostały.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Jesienny redyk na Siwej Polanie u wylotu Doliny Chochołowskiej

Fot. Marcin Szkodzińskі/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MAREK BOROWSKI/KPRP, ANDRZEJ WIKTOR X 2, SHUTTERSTOCK/THANTHIMA LIMSAKUL, RICO LOEB, SKRYPNYKOV DMYTRO

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl c6242adf39

ODCINEK 5. ZDROWIE

Odporność bez mitów – co naprawdę działa?

Jesienią i zimą docierają do nas informacje o rozmaitych cudownych sposobach na „wzmocnienie odporności". W reklamach i mediach społecznościowych pojawiają się suplementy, witaminy, zioła i produkty spożywcze mające chronić przed infekcjami

Układ odpornościowy nie jest jednak prostym mechanizmem, który można „podkręcić" jednym preparatem. O jego sprawności decyduje wiele czynników, a najważniejsze z nich są związane z codziennym stylem życia.

JAK DZIAŁA UKŁAD ODPORNOŚCIOWY?

Układ odpornościowy chroni organizm przed wirusami, bakteriami, grzybami i innymi czynnikami mogącymi powodować choroby. Tworzą go m.in. komórki odpornościowe, przeciwciała, narządy limfatyczne oraz bariery fizyczne, takie jak skóra i błony śluzowe.

To nie polega jednak na tym, że im „silniejsza" odporność, tym lepiej. Organizm powinien przede wszystkim prawidłowo rozpoznawać zagrożenia i odpowiednio regulować reakcję immunologiczną. Dlatego zamiast szukać sposobu na jej maksymalne „wzmocnienie", warto dbać o prawidłowe funkcjonowanie całego organizmu.

CZY ISTNIEJE PRODUKT, KTÓRY WZMACNIA ODPORNOŚĆ?

Nie ma jednego produktu spożywczego ani suplementu, który zapewniałby ochronę przed infekcjami. Układ odpornościowy potrzebuje m.in. odpowiedniej ilości białka, witamin i składników mineralnych. Znaczenie mają m.in. witaminy A, C i D oraz cynk, selen i żelazo.

Mimo to przyjmowanie ich w dużych dawkach nie poprawi odporności zdrowej osoby. Nadmierna suplementacja może być niepotrzebna, a w przypadku niektórych składników również szkodliwa. Suplementację konkretnych składników warto dobierać do indywidualnych potrzeb.

DIETA, RUCH I SEN

Najlepszą podstawą budowania odporności jest różnorodna dieta zawierająca spore ilości warzyw i owoców, produkty pełnoziarniste, strączki, orzechy, nasiona oraz odpowiednie źródła białka. Układ odpornościowy potrzebuje energii i składników odżywczych do prawidłowego działania. Zarówno niedożywienie, jak i długotrwała niezbilansowana dieta mogą niekorzystnie wpływać na odpowiedź immunologiczną. Liczy się więc nie pojedynczy „superprodukt", lecz sposób żywienia jako całość.

Znaczenie ma również regularna aktywność fizyczna. Umiarkowany, systematyczny wysiłek korzystnie wpływa na funkcjonowanie organizmu i układu odpornościowego. Bardzo intensywny trening bez odpowiedniej regeneracji nie musi jednak przynosić dodatkowych korzyści.

Nie można zapominać o śnie. Jego niedobór wpływa na funkcjonowanie układu immunologicznego i może zwiększać podatność na infekcje. Większość dorosłych powinna regularnie spać 7–9 godzin na dobę. Dbanie o odporność obejmuje również odpoczynek, regenerację i znalezienie sposobów na ograniczanie przewlekłego napięcia.

JAK PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO SEZONU INFEKCYJNEGO?

Najlepsza strategia nie zaczyna się wraz z pierwszym przeziębieniem. Warto przez cały rok dbać o odpowiednią ilość snu, regularny ruch, różnorodną dietę i prawidłową masę ciała. Korzystne jest również ograniczenie palenia tytoniu i spożycia alkoholu.

Ważnym elementem profilaktyki pozostają szczepienia ochronne, dostosowane do wieku, stanu zdrowia i indywidualnego ryzyka. W sezonie infekcyjnym znaczenie mają również podstawowe zasady higieny osobistej czy regularne wietrzenie pomieszczeń.

Filip Siódmiak

Absolwent kierunku dietetyka na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Dietetyk kliniczny w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku, gdzie zdobywa doświadczenie w pracy z pacjentami wymagającymi specjalistycznej opieki żywieniowej, autor licznych artykułów na temat zdrowego stylu życia dostępnych na portalu wGospodarce.pl

PARTNER CYKLU

FUNDACJA Sanitas

Źródła: • Calder P.C., Nutrition, immunity and COVID-19, „BMJ Nutr Prev Health" 2020, nr 3(1), s. 74–92. • Nieman D.C., Wentz L.M., The compelling link between physical activity and the body's defense system, „J Sport Health Sci" 2019, nr 8(3), s. 201–217.

Artykuł sponsorowany | 01/0526/F/ZAL

eprasa.pl c6242adf39

Przemysł pogardy 2.0

Na „pełnej petardzie" wrócił przemysł pogardy, który chce zniszczyć prezydenta Karola Nawrockiego, tak jak niszczył prezydenta Lecha Kaczyńskiego

STANISŁAW JANECKI

„W sierpniu 2025 roku skończył się w Polsce »przemysł pogardy«. Wyczerpała mu się bateryjka. Najłatwiej byłoby to przypisać świeżości i wigorowi Karola Nawrockiego. Formułki gotowe do walenia w nowego prezydenta (»alfons«, »przemocowiec«, »gangus«) ugrzęzły w silnorazemowej banieczce i nie bardzo potrafią się stamtąd wydostać" – napisał 28 sierpnia 2025 r. na portalu Interia publicysta Rafał Woś. Jego optymizm wynikał z wysokiej oceny odporności i charyzmy Karola Nawrockiego.

Ale właśnie z tego powodu w sierpniu 2025 r. przemysł pogardy po 15 latach pewnego utajenia wybuchł z nową, wielką siłą. Zaczęto mówić o „przemyśle pogardy II", a wręcz o „turboprzemyśle pogardy". Doszło nawet do tego, że prezydenta Nawrockiego odważył się lżyć (26 sierpnia 2026 r. w programie „Debata Gozdyry" w Polsat News) mieszkający w Polsce ukraiński dziennikarz Witalij Mazurenko (nadano mu polskie obywatelstwo): „Retoryka i zachowania pana Nawrockiego to nie są zachowania prezydenckie, tylko zachowania pachana. Tak określa się w rosyjskich więzieniach przywódcę kryminalnego".

Czy może dziwić szarża Ukraińca, gdy przemysł pogardy od 2005 r. jest sposobem uprawiania polityki przez Donalda

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c6242adf39

Tuska? 1 października 2026 r. Tusk napisał na platformie X: „Hasło Prezydenta nieco się zmieniło. Dziś brzmi: »Po pierwsze, szkodzić Polsce, po pierwsze, szkodzić Polakom«". Premier doznał wzmożenia w kwestii pogardy, bo przeczytał, że w badaniu CBOS aż 54 proc. Polaków ocenia negatywnie sytuację w kraju pod jego rządami. To wzrost o 7 pp. w miesiąc. Odsetek tych, którzy uważają, że sytuacja w Polsce rozwija się w dobrym kierunku, stopniał do 26 proc. (to o 5 pp. mniej niż miesiąc wcześniej).

Donald Tusk ciągnie w kierunku przemysłu pogardy całe zastępy polityków, pracowników nauki i kultury oraz mediów. 5 października 2026 r. prof. Magdalena Środa napisała na Facebooku: „Jak to się stało, że ochroniarz, kibol, człowiek socjalizowany w półświatku, który nie jest w stanie się nawet przyuczyć do pozorów roli, którą pełni – został prezydentem?". A potem już popłynęła: „Nie ma absolutnie nic do powiedzenia, a jeszcze mniej wie o świecie (jak on zdobył maturę?). Rykiem, minami i pychą maskuje absolutną pustkę swojej funkcji. [...] Duda był po prostu śmieszny, Nawrocki jest kompletnym dramatem, czyli ryczącym Dyzmą".

Przemysł pogardy wrócił „na pełnej petardzie" i wciąż aktualna jest książka Sławomira Kmiecika „Przemysł pogardy. Niszczenie wizerunku prezydenta Lecha Kaczyńskiego w latach 2005–2010 oraz po jego śmierci". Metody jeszcze ewoluowały w swojej podłości, zmienił się tylko adresat.

STRACH, WSTYD, KPINY I GROŹBY

Magdalena Środa uprawia poletko pogardy nawet nocą (jak 21 czerwca 2026 r.): „Spać nie mogę ze strachu i obrzydzenia tym, co robi Nawrocki, rzeczywisty prezydent kiboli, nacjonalistów, ksenofobów i historycznych ignorantów, a nie wszystkich Polaków. I nie chce mi się powtarzać wszystkich argumentów przeciw zaprzaństwu, głupocie, nadęciu i szkodliwości tego dziwacznego pana, który wpędzi Polskę w poważne kłopoty (a na pewno historyczną i polityczną kompromitację, o moralności nie wspominam, bo to sfera obecnej prezydencji nieznana)".

Po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich aktorka Krystyna Janda w komentarzach (odnotowanych m.in. przez niemiecki dziennik „Die Tageszeitung") mówiła o „wstydzie za innych", „upokorzeniu" oraz „współczuciu" dla kraju. Reżyserka Agnieszka Holland wyrażała głębokie oburzenie wygraną Karola Nawrockiego, określając jego prezydenturę jako „historyczny zwrot w prawo", który ma destrukcyjne konsekwencje dla

Fot. Andrzej Wiktor, MOZCO/Shutterstock.com, Andrzej Kulpita/East News, Olszanka/East News, Krzysztof Karniewski/REPORTER

eprasa.pl c6242adf39

przyszłości Polski i jej pozycji międzynarodowej. Aktorka Joanna Szczepkowska 27 listopada 2025 r. wypaliła: „Ktoś o nazwisku Nawrocki siedzi w pałacu prezydenckim z posadą prezydenta, podczas kiedy nie byłby tam na miejscu nawet jako ochroniarz. [...] To jest też szyderstwo z urzędu prezydenta. Prawdopodobnie zresztą właśnie to się podoba kibolskim środowiskom". Gdy dziennikarz Filip Chajzer publicznie ogłosił swoje poparcie dla Karola Nawrockiego, celebryta Kuba Wojewódzki porównał obu słowami: „U obu można było zamówić usługę z dowozem do klienta".

Stefan Niesiołowski nazwał najpierw kandydata, a potem prezydenta RP m.in. „ćpunem obsługującym Grand Hotel i kibolem", „miernotą i durniem". A poseł Koalicji Obywatelskiej (KO) Witold Zembaczyński 4 czerwca 2026 r. w programie „Debata Gozdyry" (Polsat News) stwierdził, że prezydent Karol Nawrocki odgrywa „toksyczną rolę", którą w interesie państwa należy jak najszybciej „zneutralizować". Obecna w programie posłanka PiS Józefa Szczurek-Żelazko spytała, czy wezwanie do „zneutralizowania" i „zniwelowania" głowy państwa ma charakter groźby.

W październiku 2026 r., komentując podpisanie przez prezydenta ustawy o cenach paliw, europoseł KO Bartosz Arłukowicz w wywiadzie dla TVN24 atakował głowę państwa: „Musimy pana prezydenta nauczyć funkcjonowania państwa. [...] Nie znam gościa, który zaczął z Tuskiem i wygrał. Nawrocki pretenduje, na razie jest na linach. Oparł się o liny, leży na deskach".

ANATOMIA SYSTEMU

Autorem określenia „przemysł pogardy" jest publicysta i pisarz Piotr Zaremba. W 2010 r., kilka miesięcy po katastrofie smoleńskiej, opisał on za pomocą tego określenia praktykę stosowaną przez pięć poprzednich lat wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Chodziło o zdyskredytowanie głowy polskiego państwa przy użyciu kłamstw, insynuacji, szyderstw i kpin, które miały tworzyć wrażenie, że Lech Kaczyński nie jest godny najwyższego urzędu w państwie. Że nie jest prezydentem prawdziwym.

Przemysł pogardy był pierwszą odsłoną wojny totalnej, którą Donald Tusk wypowiedział Prawu i Sprawiedliwości po przegranych (z Lechem Kaczyńskim) wyborach prezydenckich w 2005 r. Współczesny turboprzemysł pogardy w sferze psychologicznej opiera się na deprecjacji autorytetu poprzez systematyczne uderzanie w poczucie godności oraz cechy osobowościowe i fizyczne atakowanego prezydenta. Chodzi o wywołanie u odbiorców poczucia zażenowania i wesołości, redukując postać głowy państwa do karykatury. Działa psychologiczny mechanizm odczłowieczania: sprowadzenie polityka do zestawu memów i żartów (często o charakterze biologicznym czy fizycznym). Ma to uniemożliwić opinii publicznej współodczuwanie z atakowanym lub traktowanie jego argumentów w sposób poważny. Kreowano poczucie „obciachu" i snobizm kulturowy: poparcie dla prezydenta lub szacunek wobec urzędu są w pewnych środowiskach (szczególnie wielkomiejskich i liberalnych) przedstawiane jako synonim zacofania, anachronizmu i obciachu. Stosuje się mechanizm „spirali milczenia", powodujący, że osoby o umiarkowanych poglądach nie stają w obronie atakowanego prezydenta, aby same nie stać się obiektem towarzyskiego lub środowiskowego ostracyzmu.

W sensie etycznym przemysł pogardy polega na świadomym i systematycznym przesuwaniu granic tego, co dopuszczalne w przestrzeni publicznej. Działania, które w odniesieniu do innych osób uznano by za mobbing, nękanie lub zniesławienie, w przypadku ataków na prezydenta usprawiedliwiano „satyrą", „wolnością słowa" lub „prawem do krytyki władzy". Przemysł pogardy jest w istocie podważeniem republikańskiego rozumienia godności na rzecz pragmatyzmu i technokratycznego zarządzania, w którym patos i symbole narodowe są jadowicie wyszydzane.

W sensie etycznym przemysł pogardy polega na świadomym i systematycznym przesuwaniu granic tego, co dopuszczalne w przestrzeni publicznej. Działania, które w odniesieniu do innych osób uznano by za mobbing, nękanie lub zniesławienie, w przypadku ataków na prezydenta usprawiedliwiano „satyrą", „wolnością słowa" lub „prawem do krytyki władzy"

INICJATOR DONALD TUSK

Turboprzemysł pogardy z lata i jesieni 2026 r. obejmuje już ataki na rodzinę prezydenta, przede wszystkim na żonę Martę oraz córkę Kasię. Taki atak przypuściła np. Manuela Gretkowska, pisząc o „pierdzeniu i stepowaniu". Pisarka chciała poniżyć Martę Nawrocką, dywagując, że „wstawili ją do scenografii kapiącej złotem, ustrojonej kwieciem, jakby nie było innego kadru z pałacu tylko kaplica pogrzebowa w Las Vegas. Pięknie się to komponowało z jej hobby: oprócz rodziny lubi poświęcać czas strzelaniu, nie biciu po mordach w ustawkach. Nadawałaby się na ochroniarkę prawdziwej pary prezydenckiej – Trzaskowskich (taki inteligencina w samoobronie nikomu w zęby nie przywali), a jeszcze lepiej Anne Applebaum z mężem (on to pewnie nosi jak Ziobro w majtkach nie gnata, ale atomówkę)". Gretkowska uznała, że pierwszą damę i prezydenta Karola Nawrockiego musi poniżyć już w języku, dlatego używa określeń pasujących do jakiegoś żula, np. „teraz naćpany Ruchacz może kręcić hu...em żyrandol". I poprawia sobie samopoczucie grepsami w stylu: „W głowie prezydentowej głębsze myśli się raczej nie kłębią, nie jest Lecem z »Myśli nieuczesanych«. Więcej czasu niż przygotowanie intelektualne zajęło maskowanie tego prasowaniem jej włosów, żeby się nie ruszały, gdy zarzucała nerwowo głową, łowiąc nią coś sensownego. Niestety nic tam nie wpadło".

eprasa.pl c6242adf39

Jak zauważył Tomasz Rowiński (10 kwietnia 2026 r.) na portalu Ordo Iuris, dynamika przemysłu pogardy jest taka, że Donald Tusk przeważnie nadaje mu tylko kierunek albo go koryguje, gdy nie są osiągane założone cele. W kampanii prezydenckiej Tusk podchwycił, wzmocnił i nakazał powtarzać pomówienia Andrzeja Stankiewicza i Jacka Harłukowicza z Onetu, przedstawiające Karola Nawrockiego jako sutenera. Na zachętę Tuska od razu zareagował Radosław Sikorski, stwierdzając: „Niech ten, kto za młodu nigdy nie próbował sutenerstwa, pierwszy rzuci kamieniem". A marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska nie chciała wytłumaczyć, dlaczego Senat wydał pieniądze na promocję w Londynie książki Aleksandry Sarny „Alfons", w której autorka obraża prezydenta Polski.

Turboprzemysł pogardy drastycznie przekracza granice etyczne. Przykładem medialnym, który wywołał potężny skandal aksjologiczny, była okładka tygodnika „Newsweek". Przedstawiono na niej Karola Nawrockiego wypędzającego dziecko owinięte w ukraińską flagę, a napis głosił: „Chcesz ich zaszczuć?". Była to oczywista próba wdrukowania Polakom wizerunku prezydenta jako człowieka bezwzględnego i ksenofoba.

„SZAJBA" Z KOŃMI

Jeśli brakuje tematów, pracownicy przemysłu pogardy wymyślają takie, które jeszcze niedawno uznano by za kompletną „szajbę". Takim tematem jest utrzymywanie w prezydenckim ośrodku w Promniku dwóch koni i kuca. Na początku października 2026 r. premier Donald Tusk otwarcie szydził z tego powodu z Karola Nawrockiego, zamieszczając swoje zdjęcie na koniu: „Jeździłem słabo, ale za swoje". I zaraz pojawiła się cała seria podobnych wpisów polityków rządzącej koalicji.

Temat wywołała „Gazeta Wyborcza", insynuując, że z koni korzystają żona prezydenta Marta i córka Kasia. Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta, oświadczył, że konie nie są prywatną własnością prezydenta ani nie zostały kupione bezpośrednio przez jego kancelarię. A poza tym obecność zwierząt w rezydencjach to wieloletnia tradycja sięgająca lat 90.

Konie towarzyszyły m.in. Lechowi Wałęsie, za Aleksandra Kwaśniewskiego wybudowano w Promniku stajnię, a za Andrzeja Dudy kupiono kuca. Konie Bachus i Dżanet przetrwały kadencje Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego i Lecha Kaczyńskiego i dopiero w 2011 r. Bronisław Komorowski podarował je goszczącemu w Polsce ówczesnemu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Janukowyczowi. Ale pytany o konie, stwierdził, że nie miał żadnych do dyspozycji, choć miał dwa, zanim podarował je Janukowyczowi.

Przemysł pogardy posłużył się końmi, by przypisać prezydentowi próżność i wykorzystywanie publicznych środków do zaspokajania prywatnych przyjemności. Dlatego marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty 5 października 2026 r. powiedział w TVN24: „To jest taka mentalność. Jak można skorzystać z czegoś państwowego i nie zapłacić, to nie zapłacę. Jak ktoś może zapłacić za rozmowę ze mną, to fundacja weźmie pieniądze. To tacy ludzie są. Jakby grał w bejsbol, to byśmy nie musieli mu pałki bejsbolowej kupować".

Były szef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk obnażył atakujących prezydenta: „Donald Tusk sam ma do dyspozycji ogromny rządowy ośrodek w Łańsku, na terenie którego jest m.in. stajnia. [...] Nieudolny premier wpada na pomysł wygenerowania »afery końskiej«, by zaatakować Prezydenta i przykryć beznadzieję własnych rządów".

We wrześniu 2026 r. w „Newsweeku" i Radiu ZET opublikowano materiały sugerujące sprzedaż pakietów sponsorskich, umożliwiających spotkania sam na sam z prezydentem podczas szczytu gospodarczego w Nowym Jorku. Chodziło o upapranie prezydenta insynuacjami, że wszystko można u niego kupić. Wcześniej takie insynuacje dotyczyły treści ustawy o kryptowalutach oraz ułaskawień.

Rafał Leśkiewicz 20 września 2026 r. na platformie X stwierdził: „Insynuacje, półsłówka, manipulacje". I podał „garść faktów": „1. Nikt nie płacił za wstęp i udział w Polish-American Economic Summit w Nowym Jorku. Nie było deklaracji ze strony Kancelarii Prezydenta warunkujących udział w Forum lub spotkanie z Prezydentem od wpłacenia środków finansowych. To absurd. 2. Forum organizuje Centrum Strategii Rozwojowych. Jest ono takim samym wydarzeniem jak konferencje w Karpaczu czy Krynicy. Tu też pojawiają się sponsorzy i partnerzy, podobnie jest w przypadku Polish-American Economic Summit. Lista partnerów jest publicznie znana. Prezydent RP nie będzie uczestniczył w panelach organizowanych przez CSR. 3. W planach przewidziano przemówienie Prezydenta na otwarciu wydarzenia, które jest objęte Patronatem Honorowym Prezydenta RP. 4. W Polish-American Economic Summit będzie uczestniczyło kilkadziesiąt firm z różnych branż. To firmy amerykańskie obecne w Polsce. Poza tymi firmami będzie około 100 uczestników: przedstawicieli Rady Biznesu i prezydenckiego pokładu biznesu".

Politycy rządzącej koalicji, np. wiceminister obrony Cezary Tomczyk i rzecznik rządu Adam Szłapka, wykorzystali ten marny pretekst do ataku na głowę państwa. A minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak mówił o „standardach, jakich jeszcze w Polsce nie było". To wszystko działo się, gdy prezydent Karol Nawrocki zabiegał za oceanem o najważniejsze polskie interesy strategiczne, obronne i gospodarcze.

SUKCESY KONTRA WŚCIEKŁE ATAKI

Przy okazji afery wokół giełdy Zondacrypto przemysł pogardy uznał, że to dobra okazja, by uderzyć w autorytet prezydenta Karola Nawrockiego i jego zaplecza. Przedstawiciele koalicji rządzącej, m.in. minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, wprost oskarżyli prezydenta o to, że „uległ lobbystom" i swoimi decyzjami „chroni przestępców". Tyle że prezydent Nawrocki wetował złą ustawę z powodów merytorycznych i konstytucyjnych.

Ataki na prezydenta Nawrockiego bazują na metodzie insynuacji, które układa się w jakieś ciągi przyczynowo-skutkowe, choć rządzący nie mają żadnych dowodów na korupcję czy bezpośredni udział prezydenta w jakimś nagannym procederze. Chodzi wyłącznie o „ubrudzenie" głowy państwa poprzez łączenie jej wet z jakimiś transferami finansowymi. Te ataki są tym bardziej zajadłe, im większe sukcesy odnosi Karol Nawrocki. A o tym, z jak wielkim szacunkiem jest traktowany za granicą (a także pierwsza dama Marta Nawrocka), w październiku 2026 r. Polacy mogli się przekonać podczas wizyty w Republice Filipin. Ale właśnie to wyzwala wściekłe ataki przemysłu pogardy, choć to przecież dopiero kilkanaście miesięcy prezydentury.

eprasa.pl c6242adf39

Państwo z papieru na wojnie

Kiedy w całej Polsce testowano systemy alarmowe, w tym uruchamianie syren, najgorzej wypadły gminy nadgraniczne. W powiecie chełmskim w 8 z 15 gmin nie było ani jednej syreny zdolnej ostrzec przed atakiem z powietrza, a w powiecie lubelskim ze 120 syren zdołano uruchomić 30. A jak Polacy reagują na alarmy? Czy wiemy, gdzie się schronić?

MAREK BUDZISZ

We wrześniu na Lubelszczyźnie czterokrotnie ogłaszano alarmy powietrzne. Największy miał miejsce 17 września, kiedy w całym województwie wyło 630 syren, ostrzegając mieszkańców przed zbliżającym się niebezpieczeństwem w postaci rosyjskiego drona lecącego w stronę Polski. Rozbił się 4 km od naszej granicy, co pośrednio ujawniło, że władze nie mają sprawnego systemu odpowiednio wczesnego namierzania tego rodzaju środków napadu powietrznego, wyznaczania trajektorii ich lotu i określania przybliżonego miejsca uderzenia. Gdyby było inaczej, to po co stawiano by na nogi całe województwo, a nie jedynie zagrożony powiat?

Można powiedzieć, że to i tak lepiej niż wtedy, kiedy 30 lipca w Tarnawie-Kolonii w powiecie biłgorajskim uderzyła rosyjska rakieta. Wówczas odpowiednich komunikatów ostrzegawczych – mimo że głowica rakiety Kh-101 jest wielokrotnie większa niż w przypadku dronów – nie nadała telewizja publiczna. TVP jest do tego formalnie zobowiązana, a w niedawno dystrybuowanej przez MSWiA broszurze (otrzymali ją wszyscy Polacy, kosztowała podatników 58 mln zł) na s. 35 jest wyraźnie stwierdzone, że w sytuacji zagrożenia oficjalne informacje pojawią się w publicznym radiu i telewizji. Nie pojawiły się. Tomasz Sygut, prezes TVP, od trzech lat będącej w likwidacji, lepiej realizuje się w wyrzucaniu z pracy dziennikarzy, których poglądy nie podobają się władzom niż w wywiązywaniu się z ustawowych obowiązków.

Komunikat z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa dotarł do telewizji, ale już po 2 minutach został odwołany, bo rakieta uderzyła i nadawca nie zdążył. Może gdyby pocisk leciał wolniej, w dzień albo „poczekał", aż media pub-

eprasa.pl c6242adf39

liczne podejmą działania, byłoby łatwiej, ale się nie udało.

Sprawa może byłaby śmieszna, gdyby nie była potencjalnie tragiczna. Na miejscu wcale nie było lepiej. Rosyjska rakieta przebywała w polskiej przestrzeni powietrznej 13 minut. To mało czasu na włączenie syren alarmowych w zagrożonych powiatach, tym bardziej jeśli nie ma jednego, centralnego systemu ich uruchamiania, podległego np. oficerowi dyżurnemu kraju. A tak jest w przypadku Polski, gdzie władze, mimo trwającego za naszą wschodnią granicą największego od 70 lat konfliktu zbrojnego, nie zajęły się tą sprawą, miały bowiem poważniejsze kwestie na głowie. W efekcie, aby w powiecie biłgorajskim, w którego stronę zmierzała rosyjska rakieta, zawyły syreny, trzeba było je fizycznie włączyć na miejscu. A o to trudno, zwłaszcza w nocy, bo ludzie odpowiadający za system śpią. Nikt nie pomyślał o dyżurach. W rezultacie w gminie, w której uderzyła rosyjska rakieta, została uruchomiona tylko jedna syrena i można ją było usłyszeć na 20 proc. jej obszaru. Osoby odpowiedzialne nie dojechały do innych punktów nadawczych, „bo zaspały", ktoś wyłączył telefon, a wszystko działo się tak szybko, że dotarcie do włącznika i tak graniczyło z cudem.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że dziewięć dni wcześniej w całej Polsce testowano systemy alarmowe, w tym uruchamianie syren. Testy – eufemistycznie rzecz ujmując – nie wypadły dobrze. Najgorzej było w gminach nadgranicznych. W powiecie chełmskim w 8 z 15 gmin nie było ani jednej syreny zdolnej ostrzec przed atakiem z powietrza, a w powiecie lubelskim ze 120 syren zdołano uruchomić 30. Sam raport z tego „sprawdzianu" budzi wątpliwości samorządowców. Jak powiedziała portalowi WP pani burmistrz Bełżyc, dokument podaje złe godziny i zawyżoną liczbę syren. Jej zdaniem osoba, która go przygotowała, „chyba za bardzo nie wiedziała, o co tam chodzi".

SPRZECZNE KOMUNIKATY

Po eksplozji rakiety w Tarnawie-Kolonii przedstawiciele rządu i sam premier Tusk, formułowali komunikaty, delikatnie rzecz ujmując, nie budzące zaufania. Najpierw donoszono, że rakieta „spadła", co sugerowało, że wleciała ona w polską przestrzeń, bo Rosjanie utracili nad nią kontrolę. Fachowcom wystarczyło spojrzenie na kształt powstałego po uderzeniu leja, aby wiedzieli, że było inaczej, ale władza w pierwszym odruchu postawiła na uspokajanie Polaków. Nienajlepiej to wychodziło, bo komunikaty były sprzeczne. Jednocześnie twierdzono, że rakieta „zniknęła z radarów" oraz formułowano opinie, iż zostałaby zestrzelona, gdyby miała uderzyć w domostwa, ale upadła w polu. W jaki sposób można ją było przechwycić, jeśli zniknęła z radarów?

Po tym wydarzeniu władza postanowiła działać, tyle że szybkie nadrobienie wieloletnich zaniedbań nie jest łatwe. Zaczęto od budowy wizerunku. Premier, ministrowie spraw wewnętrznych i obrony – obowiązkowo bez marynarek z podwiniętymi rękawami koszul – z uwagą pochylali się najpierw nad lejem po uderzeniu rakiety. Potem Donald Tusk wygłosił alarmistyczne przemówienie w Sejmie i – zapewne po to, aby unaocznić Polakom, że zagrożenie jest poważne – teraz syreny wyją regularnie. Szkoda, że bez sensu. Jak sądzę, ich regularne uruchamianie ma przekonać Polaków, że władza „trzyma rękę na pulsie". Ale efekt jest odmienny.

KOMPLETNIE NIEPRZYGOTOWANI

Trzy lata temu, jeszcze zanim Sejm niemal jednogłośnie uchwalił ustawę o obronie cywilnej i ochronie ludności – co było krokiem bardzo potrzebnym – uruchomiłem z kolegami ze Strategy & Future program budowy odporności społecznej. Wyszliśmy z założenia, że nowoczesna obrona cywilna musi być powszechna, tak jak w Finlandii czy Szwajcarii, i przede wszystkim trzeba przekonywać ludzi do zaangażowania. Władze w Polsce poszły inną drogą, koncentrując się na szkoleniu urzędników i wyposażaniu strażaków, ale rzucone przez nas ziarno zaczyna dawać pierwsze owoce. Ludzie piszą. I tak jeden z mieszkańców Lublina zrelacjonował mi w e-mailu, jak wyglądała reakcja na alarm 17 września w szkole podstawowej, do której uczęszcza jego syn. Przerwano lekcje i dzieci wraz z nauczycielami przeszły do sali gimnastycznej – szkoda tylko, że to przeszklone pomieszczenie nie jest miejscem schronienia, a jakakolwiek eksplozja w pobliżu mogła doprowadzić do poranienia dzieci tysiącami odłamków szklanych z rozbitych okien. Nauczyciele nie bardzo wiedzieli, co zrobić, nikt ich przecież nie zdążył przeszkolić. Zresztą i tak w budynku nie było schronu ani miejsca schronienia.

Problem ze schronami jest jeszcze ciekawszy. Za poprzedniej władzy Straż Pożarna uruchomiła aplikację schrony.pl, tylko że – jak zauważyła jedna z osób aktywnych w sieciach społecznościowych – od dwóch lat liczba widniejących w systemie obiektów nie uległa zmianie. Albo ich nie przybywa, albo aplikacja nie jest aktualizowana. Możliwe, że jedno i drugie, bo uczestnicząc w wielu konferencjach poświęconych obronie cywilnej, słyszałem od przedstawicieli miast, którzy autentycznie chcą coś zmienić, że obowiązujące w Polsce prawo nawet do 3 lat i więcej wydłuża procedury, które trzeba przejść, aby zbudować schron z prawdziwego zdarzenia. W efekcie ich nie przybywa. Ale jest jeszcze gorzej. W Krakowie – jak powiedziała mi w zaufaniu osoba uczestnicząca w sprawdzaniu i liczeniu schronów – nie ma ani jednego obiektu tego rodzaju z prawdziwego zdarzenia. W Warszawie nie jest lepiej, bo np. urzędnicy i władze dzielnicy Śródmieście podczas alarmu mają szukać azylu w przejściu podziemnym pod Rondem Dmowskiego, którego strop drży, kiedy przejeżdża tramwaj.

Jeden z moich korespondentów napisał mi, że ma „problem ze schronem", który znalazł się w aplikacji przygotowanej przez Straż Pożarną jeszcze za rządów poprzedniej koalicji. Ten obiekt jest tam nadal, co obciąża również obecną władzę, a to dlatego, że „schron", który znajduje się w budynku kupionym przez niego w przetargu publicznym, jest nim tylko z nazwy. W rzeczywistości to pomieszczenie, które przez dziesięciolecia służyło jako składzik na różne rupiecie i schronem może było 60 lat temu, ale dzisiaj na pewno już nim nie jest. Nie ma w nim

eprasa.pl c6242adf39

wody, wentylacji ani podstawowych narzędzi, które ułatwiłyby odkopanie wejścia, zasypanego w razie ewentualnego ataku. „Czy w sytuacji alarmu mam wpuścić do nieprzygotowanego obiektu ludzi, ryzykując, że się po prostu z braku świeżego powietrza tam uduszą?" – pisze mój korespondent, właściciel feralnego „schronu". „Ale jeśli nie wpuszczę – kontynuuje – to kto poniesie odpowiedzialność, jeżeli z braku ochrony ktokolwiek zginie?".

To nie są banalne kwestie, podobnie jak pytanie, kto ma zapłacić za przygotowanie „tytularnego" schronu do użytkowania. Prywatny właściciel nieruchomości czy państwo? Jeszcze ciekawsza jest kwestia, jak to się stało, że „schron" znalazł się w oficjalnej aplikacji, mimo że przedstawiciele lokalnych władz wizytowali ten obiekt i wiedzieli, w jakim jest stanie. Chęć osiągnięcia sukcesu w sprawozdaniach przeważyła w tym przypadku nad elementarnym zdrowym rozsądkiem? A czy Komenda Główna Straży Pożarnej choćby wyrywkowo nie sprawdza stanu obiektów wpisanych na listę „schronów"? Może to dobrze, że mieszkańcy Lubelszczyzny, słysząc alarmy, nie szukają okolicznych schronów, bo jeśli są tak przygotowane jak obiekt mojego informatora, to w efekcie ich nerwowość i podatność na panikę jeszcze by wzrosła. Ale może o to chodzi? Może Polacy, widząc biegającego z rozwianym włosem ministra Kierwińskiego czy marsową minę premiera Tuska, mają zacząć się bać, wiedząc, że stan naszego przygotowania na zagrożenie jest co najmniej wątpliwy?

IM WYŻEJ, TYM GORZEJ

Szukając odpowiedzi na pytanie, czy jesteśmy gotowi, warto zwrócić uwagę na co najmniej dwuznaczny sygnał, który wysyłają nam nasze elity polityczne. Poseł Mentzen opowiada się za poborem, ale nie myśli o tym, aby w pierwszym rzędzie osobiście odbyć szkolenie. A mamy do czynienia z 40-letnim mężczyzną, chyba zdrowym – przynajmniej w wystarczającym stopniu, aby być aktywnym w polityce. Mój korespondent z Lublina zwrócił mi też uwagę na to, że 17 września, kiedy w mieście wyły syreny, na Pl. Litewskim właśnie rozpoczynały się uroczystości rocznicowe. Były władze, poczty sztandarowe, weterani, wojsko, dzieci. Nikt tych obchodów nie przerwał, nie udał się do schronów, kontynuowano wcześniej przyjęty plan. Czy to jest sygnał poważnego potraktowania alarmu? Dlaczego mieszkańcy mają serio traktować ostrzeżenia, jeśli nie robi tego władza?

Nie chcę napisać, że w Polsce nie dzieje się nic dobrego w kwestii naszej odporności i gotowości. Tak nie jest, codziennie pojawiają się dziesiątki nowych inicjatyw, pomysłów, przedsięwzięć. Problemem jest rząd, bo działamy zgodnie z zasadą, że im wyżej, tym gorzej. Zwolenników opozycji zmartwię. Za poprzedniej władzy było jeszcze gorzej, a również obecnie gminy, w których rządzą ludzie PiS, nie wyróżniają się aktywnością.

> Od przedstawicieli miast, którzy autentycznie chcą coś zrobić dla poprawy bezpieczeństwa obywateli, usłyszałem, że obowiązujące w Polsce prawo nawet do 3 lat i więcej wydłuża procedury, które trzeba przejść, aby zbudować schron z prawdziwego zdarzenia

Najlepszym przykładem znów jest Lubelszczyzna, gdzie Prawo i Sprawiedliwość ma władzę w sejmiku wojewódzkim i większości powiatów. Czy władze te podjęły jakiekolwiek działania, aby poprawić przygotowanie obywateli – nie urzędników, ale zwykłych mieszkańców Lublina, Kraśnika, Chełma, nie mówiąc już o Puławach, które ze względu na znajdujące się tam wielkie zakłady chemiczne mogą stać się jednym z pierwszych celów poważniejszych ataków? Mimo ponad czterech lat wojny władze Azotów nadal nie pozyskały kompleksowego systemu obrony swych instalacji przed atakiem dronowym. Polacy, nie ma co się spieszyć, nic się nie stało.

Zresztą państwo z papieru stanie nie dlatego, że ktoś je zaatakuje rakietami czy dronami, ale zostanie przygniecione papierem. Inny z moich korespondentów opisał mi sytuację sprzed kilku dni. To przedsiębiorca zarządzający kilkudziesięcioma firmami i posługujący się sztuczną inteligencją, bo to pozwala mu zrzucić część żmudnej „roboty papierkowej" na AI. W trakcie jednej z narad wydał ustne polecenie botowi z ChatGPT, z którego korzysta, aby ten sporządził zapytanie w trybie dostępu do informacji publicznej i rozesłał stosowne listy do wszystkich urzędów wojewódzkich oraz powiatowych. Sztuczna inteligencja, mając dostęp do jego skrzynki e-mailowej, zrobiła to, a dobrze napisany list trafił do skrzynek pocztowych dziesiątków urzędów. Teraz mój rozmówca otrzymuje z całej Polski sążniste epistoły z odpowiedzią na jego pytania, nad którymi urzędnicy spędzili po kilka godzin. Sęk w tym, że jego listy nie były przez nikogo podpisane, a nikt w naszych urzędach nie wpadł na pomysł, by sprawdzić, kto do nich pisze i zmusza do dodatkowej pracy. Najwyraźniej nie mamy również żadnego systemu uwierzytelniania. A to oznacza, że dosłownie każdy – w tym nasi wrogowie – korzystając ze sztucznej inteligencji, może zasypać każdy organ administracji publicznej tysiącami podobnych „wniosków" dziennie i państwo stanie. Co robi rząd w tej i wielu innych sprawach związanych z naszym bezpieczeństwem? W końcu to on powinien nas przygotować do radzenia sobie z podobnymi zagrożeniami. Ćwiczenia z włączania sygnałów alarmowych nie zastąpią poważnego podejścia do kwestii bezpieczeństwa i przygotowania obywateli.

eprasa.pl c6242adf39

Ekipa Tuska realizuje plan „po nas choćby potop”

Jak pokazuje praktyka czterech ostatnich budżetów państwa, są one układane według dwóch zasad: na wszystkie zaplanowane wydatki w danym roku trzeba pożyczyć ok. jedną trzecią ich kwoty, deficyt stanowi natomiast blisko 50 proc. dochodów budżetowych. Takiej rujnującej strategii nie wytrzyma żadne państwo

Fot. Andrzej Wiktor

Ze Zbigniewem Kuźmiukiem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, członkiem Komisji Finansów Publicznych, rozmawia Jerzy Szmit

Przez 4 lata rządów Donalda Tuska zadłużenie naszego państwa wzrośnie o ok. 1 bln zł, to jest 1 tys. mld zł, a w ciągu 22 lat naszego członkostwa w Unii Europejskiej wpłynęło do nas z Brukseli (po odliczeniu składki) 750 mld zł.

Zbigniew Kuźmiuk: Tylko suma deficytów budżetowych za te 4 lata rządów Tuska wyniesie wspomniany w pytaniu 1 bln zł. A dług publiczny związany z realizacją tych budżetów może wynieść ok. 1,5 bln zł. Dla porównania: wszystkie rządy od 1990 do 2023 r. – według unijnych procedur liczenia długu – zadłużyły nas na niecałe 1,7 bln zł. Ta ekipa rządowa przez 4 lata zadłuży nas na ok. 1,5 bln zł, czyli niewiele mniej. Te liczby krzyczą, że ekipa Tuska realizuje plan „po nas choćby potop”.

Jakie będą tego konsekwencje?

Pierwsze już są. Agencja Moody’s obniżyła ocenę stanu finansów publicznych Polski, co przekłada się na koszty obsługi długu. Za naszych rządów przy obligacjach 10-letnich płaciliśmy ok. 5 proc. W tej chwili to jest już 6,4 proc. i będzie rosło, jeżeli ten budżet zostanie uchwalony w przedłożonym kształcie. A będzie, bo przecież jego autorami są Tusk z Domańskim.

W ostatnich dniach złotówka nieznacznie osłabła.

Tak, to skutkuje w tej części długu, którą mamy w walutach obcych, wzrostem kosztów jego obsługi. Teraz mamy głównie dewaluację złotego w stosunku do dolara, co dla naszej gospodarki jest niekorzystne z tego powodu, że większość surowców energetycznych pochodzących z importu jest rozliczana w dolarach. To zapewne spowoduje kolejny impuls inflacyjny.

Są jeszcze KPO i SAFE, które nie są liczone do budżetu, ale oczywiście trzeba je będzie spłacać. Bez odsetek to razem 320 mld zł.

Mamy rachunek środków europejskich, a umieszczone tam zobowiązania z KPO czy SAFE nie są od razu w całości wpisywane do budżetu. A blisko jedna trzecia KPO to pożyczki w euro, a w SAFE – wyłącznie pożyczki. Co ciekawe, ok. 5 mld euro z KPO musieliśmy ostatecznie zwrócić – nie zdążyliśmy z realizacją projektów ze względu na blokady, jakie w Brukseli zastosowała PO. Mimo to w 2025 r. zapłaciliśmy 1,2 mld odsetek od zaciągniętych pożyczek na KPO.

Konstytucja RP w art. 216 ust. 5 zakazuje przekroczenia przez dług trzech piątych PKB. Jakie grożą konsekwencje, gdy to się stanie?

Rozróżnijmy dwa pojęcia. Pierwsze to liczenie zadłużenia według metody UE, formułą ESA 2010 – według niej sumowane są zadłużenie budżetu

eprasa.pl c6242adf39

i instytucji publicznych takich jak PFR, BGK, innych funduszy oraz samorządów. Na koniec 2027 r. wyniesie ono 68 proc. PKB. Drugie to państwowy dług publiczny, liczony zgodnie z ustawą o finansach publicznych, który w 2027 r. prawdopodobnie przekroczy 55 proc. PKB, czyli tzw. próg oszczędnościowy. Konsekwencje tego będą drastyczne dla większości Polaków. Różnica pomiędzy tymi dwiema definicjami długu to ok. 13 pp. PKB, a więc w warunkach 2026 r. przeliczona na złotówki wyniesie 520–530 mld zł. Dług do spłacenia wraz z odsetkami na koniec 2027 r. wyniesie ok. 2,8 bln zł.

Czy rząd Tuska tego nie zauważa?

Jak pokazuje praktyka tych czterech ostatnich budżetów, są one układane według dwóch zasad: na wszystkie zaplanowane wydatki w danym roku trzeba pożyczyć ok. jedną trzecią ich kwoty, deficyt stanowi natomiast blisko 50 proc. dochodów budżetowych. Takiej rujnującej strategii nie wytrzyma żadne państwo.

Premier Tusk i minister Domański mówią jednak, że mamy wielkie wydatki, bo są trzy priorytety: obronność, ochrona zdrowia, energetyka.

Na obronność w 2027 r. wydamy 4,5 proc. PKB, a to mniej niż w tym roku. Miało być prawie 5 proc., czym chwaliliśmy się przed światem, choć nie było to prawdą. Zarówno w 2024, jak i 2025 r. nie wydawaliśmy w pełni środków Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych (corocznie ok. 20 mld zł).

Wydatki na służbę zdrowia mają wzrosnąć o 26,6 mld zł. W naszych czasach wydatki NFZ też rosły, ale były w zasadzie pokrywane ze składki zdrowotnej, pobieranej przez ZUS. W przyszłym roku dopłata do NFZ ma wynieść sumarycznie aż 41,5 mld zł. Czyli rząd Tuska nie potrafi zapanować nad poborem składki zdrowotnej. Poza tym wszyscy wiedzą, że finanse służby zdrowia przypominają dziurawe wiadro. Samo dolewanie wody to marnotrawstwo. Po aferze Szpitala Południowego Tusk zapowiedział, że w kilka dni powstaną projekty ustaw uzdrawiających sytuację. Po kilku miesiącach projekty trafiły do Sejmu, ale nie widać żadnego zapału, aby je procedować. Na pewno do końca kadencji nie wejdzie w życie nic, co byłoby fundamentem prawdziwej reformy.

A energetyka?

Pada wiele haseł, a realnie blokuje się budowę dużej elektrowni atomowej. Przez trzy lata nie zamknięto negocjacji umów z dwoma amerykańskimi firmami, które miały uczestniczyć w budowie. Pierwsze małe elektrownie atomowe (SMR) mają ruszyć za 10 lat, a o maksymalnym spowalnianiu i ograniczaniu projektu CPK napisano i powiedziano już morze słów. Nic nowego i istotnego się nie zaczyna. Mamy tylko nieudolną realizację tego, co robiliśmy i puste obietnice, że zrobimy to czy tamto.

Wydatki na służbę zdrowia mają wzrosnąć o 26,6 mld zł. W naszych czasach też rosły, ale były w zasadzie pokrywane ze składki zdrowotnej pobieranej przez ZUS. W przyszłym roku dopłata do NFZ ma wynieść sumarycznie aż 41,5 mld zł. Czyli rząd Tuska nie potrafi zapanować nad poborem składki zdrowotnej. Poza tym wszyscy wiedzą, że finanse służby zdrowia przypominają dziurawe wiadro. Samo dolewanie wody to marnotrawstwo

W przyszłym budżecie minister Domański obiecuje obniżyć podatki dla 3,5 mln obywateli.

Podatników PIT jest ponad 25 mln, a minister chce ulżyć 14 proc. podatników. Zostanie to zrekompensowane budżetowi podwyżką podatku CIT z 19 do 22 proc. dla firm osiągających ponad 50 mln euro obrotu. Mamy takich firm ok. 5 tys., a blisko 90 proc. to firmy polskie, które płacą ten podatek w wymiarze istotnym dla budżetu. Zysk po opodatkowaniu jest ich szansą na rozwój – w odróżnieniu od firm zagranicznych, które mają technologie niepłacenia tego podatku. Wprowadziliśmy ustawę, która to ograniczała (instytucja podatku minimalnego), ale minister Domański nie przykłada się do jej skutecznej realizacji. Zmniejszyliśmy CIT z 15 do 9 proc. dla firm z obrotami do 2 mln euro. Różnicę w podejściu do gospodarki widać gołym okiem.

Koszty mają ponieść też najmniejsi przedsiębiorcy.

Drastycznie obniżono próg dający firmom możliwość rozliczania podatku PIT w sposób zryczałtowany, z przychodu do 2 mln euro na 250 tys. euro, z możliwością wyboru jego formuły. Wypchnie to z dotychczasowego podatku ryczałtowego 200–300 tys. podmiotów. Takie rozwiązania przedstawia Domański, który jest jednocześnie ministrem gospodarki! Nie do wiary!

Jest również uderzenie w Polskę wschodnią.

Nowa konstrukcja budżetu UE wrzuciła do jednego worka fundusz spójności i fundusze rolne. Funkcjonowanie programu „Polska Wschodnia" stoi pod znakiem zapytania. Wobec tego minister Domański stwierdził, że dotychczas stosowanego dofinansowania z budżetu do tego programu nie będzie, a zainteresowane województwa mogą brać kredyty. Co więcej, ten nowy budżet UE przygotował Piotr Serafin, prawa ręka Donalda Tuska, gdy obecny premier był przewodniczącym Rady Europejskiej. Wprowadza on powszechny mechanizm warunkowości, co oznacza, że nawet pieniądze dla rolników mogą być wstrzymane, gdyby

eprasa.pl c6242adf39

w Polsce – zdaniem KE – były problemy z „praworządnością" czy np. legalizacją małżeństw jednopłciowych.

W projekcie budżetu mamy ewidentny ruch polityczny: zlikwidowanie części budżetu Trybunału Konstytucyjnego.

Trybunał Konstytucyjny to konstytucyjny organ państwa, więc w tej sytuacji projekt budżetu jest niepełny. W TK pracuje 15 sędziów i ok. 135 innych ludzi, a cały budżet wynosi ok. 75 mln zł. Czyli nie byłoby na płace, prąd, ogrzewanie – na nic. Trybunał nie mógłby funkcjonować. Pretekstem formalnym jest brak uchwały Zgromadzenia Ogólnego TK. A chodzi wyłącznie o to, aby mieć „haka" na TK i narzędzie szantażu prezesa, sędziów i pracowników Trybunału. To ewidentne łamanie ustawy i konstytucji.

Kilka dni temu zostały ogłoszone nowe propozycje Prawa i Sprawiedliwości dotyczące m.in. podatków.

Zacznijmy od wycofania się z 9-procentowej składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. To był błąd w sytuacji, w której zostawialiśmy w kieszeniach podatników w związku z reformą PIT ok. 54 mld zł i w związku z 10-krotną podwyżką kwoty wolnej w PIT z 3 tys. do 30 tys. zł, obniżyliśmy stawkę tego podatku w I przedziale podatkowym z 17 do 12 proc. i podwyższyliśmy II próg podatkowy z 85 tys. do 120 tys. zł. Podwyższenie składki zdrowotnej, dające dodatkowy wpływ w wysokości ok. 4 mld zł, uderzyło w środowisko, które z rodzinami liczy ok. 3 mln osób. To być może kosztowało nas utratę 2–3 proc. poparcia w wyborach 2023 r. i konieczność oddania władzy. Druga rzecz to jednorazowa amortyzacja inwestycji. Ma to być zachęta dla kapitału prywatnego do inwestowania pieniędzy mrożonych na rachunkach bankowych. Według oficjalnych danych jest tam ponad 500 mld zł. Decyzje będą oczywiście należały do przedsiębiorców, ale chcemy, aby inwestycje prywatne obok publicznych i eksportu oraz konsumpcji były motorem rozwoju. Mówimy o amortyzacji niezależnie od branży i ograniczeń kwotowych. Wcześniej zapowiedzieliśmy podniesienie I progu podatkowego w PIT ze 120 do 180 tys. zł.

Na razie u władzy jest jednak Tusk ze swoja ekipą, który świadomie hamuje rozwój i katastrofalnie zadłuża Polskę. O co mu chodzi?

Dr Sławomir Dudek, wybrany przez nich Przewodniczący Polskiej Rady Fiskalnej, powiedział, że projekt budżetu na 2027 r. jest skonstruowany tak, „jakby jutra nie było". Znamienna wypowiedź. Łudzą ludzi podtrzymywaniem wydatków socjalnych czy zwiększaniem nakładów na służbę zdrowia, finansując to gigantycznym zadłużaniem, zalewają propagandą i mają nadzieję na utrzymanie władzy po wyborach w 2027 r.

A jak nie utrzymają władzy?

Wtedy zostawiają spaloną ziemię, gigantyczne zadłużenie i przechodzą do totalnej opozycji. Będą krzyczeć: „Radźcie sobie – budujcie zrównoważony budżet, pokażcie, jak się redukuje zadłużenie, ogranicza inflację, obniżajcie podatki, stymulujcie rozwój, realizujcie inwestycje!". I oczywiście będą tworzyć presję polityczną, aby Bruksela zabierała nam środki z budżetu UE.

A jeżeli pozostaną przy władzy?

Marek Belka, były premier z SLD, snuje takie rozważania: „Ok. 70 proc. Polaków, chce pozostawienia złotego. Jak zmienić to nastawienie? Wielkim kryzysem finansowym i w konsekwencji gospodarczym". Jeżeli pozostaną przy władzy, stwierdzą, że sytuacja jest absolutnie dramatyczna, a jedyny ratunek to wielka pomoc z międzynarodowych instytucji finansowych. Warunkiem uzyskania wsparcia będzie jednak przyjęcie euro, czyli na początek wstępujecie na dwa lata do ERM 2 i przygotowujecie prawo, instytucje, gospodarkę do wspólnej waluty. W tym czasie poniesiemy gigantyczne koszty dostosowania zarówno gospodarki, jak i gospodarstw domowych. Aby to zrobić, potrzebny jest co prawda wspólny wniosek ministra finansów i prezesa NBP, ale na prezesa NBP już piszą wniosek o postawienie go przed Trybunałem Stanu, a to – ich zdaniem – skraca jego kadencję.

Oba scenariusze są dramatyczne.

Tak, ale lepiej wygrać wybory, przejąć władzę i mieć możliwość ratowania sytuacji, aby nie dopuścić do realizacji ścieżki greckiej. Po potopie Tuska sytuacja będzie jednak rzeczywiście bardzo trudna. Aby to zilustrować, spójrzmy na tegoroczny budżet. Planowane wpływy z podatku VAT mają spaść w stosunku do planowych z ub.r. o 9 mld zł, a jednocześnie wzrost gospodarczy ma wynieść w br. 3,9 proc., inflacja 3 proc. Przecież to świadome planowanie i sankcjonowanie przestępstw niepłacenia czy wyłudzania VAT.

Co zaproponujecie, gdy wrócicie do władzy?

Oczywiście uszczelnienie systemu podatkowego, rezygnację z europejskiego SAFE i powrót do koncepcji SAFE 0 proc. Podatek od ponadnormatywnych zysków banków, które przy tak wysokich stopach procentowych dają znakomite, nadzwyczajne zyski. Racjonalizację wydatków budżetowych w wielu obszarach, np. zamówień publicznych.

Poprzednie rządy Prawa i Sprawiedliwości mocno przyspieszyły gospodarkę i radykalnie ograniczyły lukę VAT-owską.

To również, ale widzimy, jak dramatycznie rozwinęła się szara strefa w gospodarce. Prof. Mariusz Andrzejewski, który zajmuje się tym zagadnieniem naukowo, przedstawił dane, z których wynika, że obejmuje ona w Polsce 18 proc. PKB. Kwotowo to ok. 720 mld zł. Będziemy więc różnymi środkami zachęcać do opuszczania szarej strefy. Każdy procent ograniczenia tego zjawiska to zysk społeczny i miliardy do budżetu. Temu ma też służyć obniżenie składki zdrowotnej i jednorazowa amortyzacja. Cudów nie będzie, ale szacujemy, że dzięki tym wszystkim działaniom może wpłynąć do budżetu dodatkowo ok. 100 mld zł. Dzięki temu uzyskamy pole manewru, ale powtarzam – sytuacja jest bardzo trudna, cudów nie zrobimy. Naprawianie skutków rządów Donalda Tuska i jego ekipy będzie trwało lata.

eprasa.pl c6242adf39

Mentalność postkolonialna

Nie tak dawno cała Polska obchodziła 100-lecie odzyskania niepodległości, a w mieście, w którym zaczęła się odbudowa państwa polskiego, nadal są ludzie wywieszający portrety zaborcy. Cały kraj mógł to zobaczyć na wieczorze wyborczym kandydatki KO na prezydenta Krakowa Moniki Piątkowskiej. Co jest nie tak z Krakowem, że w publicznych miejscach wiszą tam portrety Franza Josepha?

PIOTR GURSZTYN

Miejscem, w którym wisi okazały portret cesarza Austro-Węgier, jest znana krakowska restauracja „Hawełka". Luksusowy lokal, w którym swój wieczór wyborczy zorganizowała Monika Piątkowska – co samo z siebie było znaczące ze względu na elitarny charakter miejsca. I na tle tegoż wizerunku kandydatka Koalicji Obywatelskiej udzielała wywiadów.

Zrobił się szum, gdy obrazki poszły w Polskę, choć tu akurat nie chodziło o kandydatkę, lecz zjawisko często występujące w Krakowie, czyli przejawy sentymentu za zaborcą austriackim. Wywiązała się dość głośna debata, w której obrońcy tego obyczaju bagatelizowali jego znaczenie, sprowadzając je do czegoś w rodzaju folkloru. Przekonywali również, że cesarz Franciszek Józef był władcą dobrotliwym. Pod jego berłem Polakom miało się wieść dobrze – a przynajmniej lepiej niż w zaborach rosyjskim i pruskim. Apelowali o dystans i przymrużenie oka.

Nie przekonali oponentów i wiadomo, że każdy następny przypadek eksponowania zaborcy będzie wywoływał ostre kontrowersje. Kontekst jest tu szerszy, bo sprzeciw wobec idealizowania zaborcy wynika z wielu innych drażniących zdarzeń o podobnym charakterze. Przede wszystkim bezmyślnego podejścia do historii Ziem Zachodnich, czego szczególnie głośnym ostatnio przykładem było umieszczenie portretu króla pruskiego Fryderyka w auli Uniwersytetu Wrocławskiego lub gdańska wystawa o rzekomo „naszych" chłopcach.

GALICYJSKA NĘDZA

Ale rzeczywiście, Franz Joseph to nie Stary Fryc. Czy całą sprawę można zatem sprowadzić do folkloru lub żartu? Jeśli to tylko żart, to niesmaczny. A w najlepszym razie absurdalny, bo wbrew temu wszystkiemu, co działo się w Krakowie. Czyli wbrew prawdzie historycznej. Skoro cesarz był tak dobrym władcą, to dlaczego jego polscy poddani, gdy tylko nadarzyła się okazja, stanęli do walki o odzyskanie niepodległości?

Kraków w tym rozdziale naszych dziejów zajmuje miejsce szczególne. 5 sierpnia 1914 r. z krakowskich Oleandrów wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa. Zaczątek Legionów Józefa Piłsudskiego i pierwsza polska siła zbrojna od 1864 r. Władze austriackie co jakiś czas usiłowały narzucić Legionom czarno-żółte emblematy i za każdym razem żołnierze ich się pozbywali. W żaden sposób nie dawali znaku, że szanują cesarza Austrii. Nie chcieli mu też przysięgać, choć mamiono ich tym, że przysięgają Franzowi Josephowi jako królowi Polski.

Cztery lata później Kraków był pierwszym miejscem, w którym zawiązała się polska władza i gdzie rozbrojono zaborców. Bez żadnego sentymentu. „Przejęte niezmierną radością oznajmiają do niedawna ujarzmione, a dziś wolne Narody, że ich zła macocha Austrya-Wiedźma operowana w Zakładzie Wilhelma zmarła po ciężkich kurczach na uwiąd starczy, przeklęta przez wszystkich, którzy mieli nieszczęście z nią się zetknąć" – głosił prześmiewczy nekrolog z tego czasu. Było tam jeszcze zdanie o CK monarchii: „Niech odpoczywa w pokoju i nigdy nie zmartwychwstanie". To akurat się spełniło.

Najlepszą miarą tego, czy jakiś byt państwowy był komuś potrzebny, jest to, czy ktoś próbował go bronić, a gdy obrona się nie powiodła, to doprowadzić do restytucji. Otóż upadające Austro-Węgry nie miały swoich obrońców i nikt nie tęsknił za nimi na tyle, aby walczyć o przywrócenie dynastii habsburskiej.

W momencie przejęcia władzy w Krakowie przez Polską Komisję Likwidacyjną portrety „najjaśniejszego pana" były zrzucane na ziemię i traktowane w sposób dużo gorszy niż przez muchy z praskiej gospody opisanej w „Dobrym wojaku Szwejku". Dzisiaj w Krakowie stoi wiele pomników bohaterów naszej wolności, ze szczególnie pięknym monumentem Józefa Piłsudskiego z posągami czterech maszerujących legionistów według modelu Jana Raszki, krakowskiego rzeźbiarza, który

eprasa.pl c6242adf39

Fot. @jpinkwart/x.com, Shutterstock

też był legionistą. I jednocześnie gdzieniegdzie można zobaczyć portrety zaborczego cesarza. To jednak schizofrenia, i to w stylu dzisiejszej putinowskiej Rosji, która jednocześnie czci i Stalina, i cara Mikołaja II.

Łagodność Franza Josepha i stosunkowo znośne ostatnie 50-lecie austriackiego panowania to efekt słabnięcia monarchii habsburskiej, a nie jej dobroci. Wcześniejsze 90 lat austriackiego panowania bynajmniej tak łagodne nie było. Monarchia musiała sromotnie przegrać wojnę 1866 r. z koalicją prusko-włoską, aby poczuć się zmuszoną do ustępstw wobec podporządkowanych jej narodów. Wtedy dopiero Galicja uzyskała autonomię, którą Polacy – w miarę dostępnych im możliwości – wykorzystali całkiem nieźle. Ale to nie dzięki Wiedniowi, lecz wbrew.

Położenie, w którym znajdowała się autonomiczna Galicja, czyli za panowania Franza Josepha, śmiało można nazwać dyskryminacją. Z wiedeńskiej perspektywy była to kraina peryferyjna, zaplecze surowcowe, dostarczyciel rekruta i taniej siły roboczej. Monarchia uznała, że będzie to pole przyszłej bitwy z carską Rosją, więc inwestycje centralne ograniczyły się do budowy kilku strategicznych linii kolejowych i twierdz w Przemyślu oraz Krakowie. Nie było mowy o wspieraniu przemysłu, choć jednocześnie ogromne środki szły na rozbudowę zakładów zbrojeniowych na terenie Czech i Austrii właściwej. Wobec tak nierównej konkurencji lokalny galicyjski przemysł nie miał żadnych szans na rozwinięcie skrzydeł. Osławioną „nędzę galicyjską" widać było w każdej statystyce. Aby to zobrazować, podajmy dane z 1910 r.: na 17 krajów austriackiej części monarchii (bez Węgier) pod względem zamożności Galicja zajmowała 3. miejsce od końca.

Była też dyskryminowana pod względem politycznym. Odwołajmy się do tegorocznej rocznicy, czyli 100-lecia śmierci Ignacego Daszyńskiego. Pamiętamy go jako przywódcę PPS i przedwojennego marszałka Sejmu. Ale przed I wojną światową był też posłem do parlamentu wiedeńskiego. Pozostały po nim bardzo ciekawe stenogramy przemówień (wydane w br. przez Przemysława Prekiela w książce „O racji stanu. Ignacy Daszyński (1866–1936)"). W 1905 r. Daszyński angażował się w walkę o równe prawo wyborcze w monarchii, bo obowiązywał tzw. system kurialny, gdzie osobno głosowali przedstawiciele ziemiaństwa, bogatych mieszkańców miast czy wsi, czego efektem była nierówna siła głosu poszczególnych grup wyborców. Daszyński walczył o zniesienie tej nierówności. Przy okazji zwrócił uwagę na znaczący fakt: Izba Posłów monarchii austriackiej (bez Węgier) liczyła 425 posłów, z czego z Galicji było 78, czyli ok. 18 proc. całości, podczas gdy ludność Galicji stanowiła 28,4 proc. ludności tej części monarchii. 2 lata później system kurialny został zniesiony i Galicja miała 106 reprezentantów. Ogólna liczba deputowanych wzrosła jednak do 516, więc dalej było to tylko 20 proc. Izby Posłów.

Widać więc, że autonomia nie była tak słodka, jak próbują ją przedstawiać dzisiejsi miłośnicy habsburskiego cesarza. Ludzie, którzy choć trochę znają historię, wiedzą, że nie ma nic lepszego od własnego państwa.

MODA NA OBCĄ WŁADZĘ

O krakowskiej modzie na Franza Josepha dosadnie wypowiedział się jakiś czas temu prof. Andrzej Nowak: „To moda na upodlenie, upokorzenie,

eprasa.pl c6242adf39

podporządkowanie, na obcą władzę, dodajmy: skrajnie antypolską przez zdecydowaną większość czasu austriackiego zaboru. Owszem, wspominamy panowanie Franza Josefa jako »piękne, złote czasy«, ale pamiętajmy, że do roku 1866 to nie Rosja i nie Prusy, lecz Austria była najgorszym zaborcą Polski".

W czasie obecnej kontrowersji wywołanej portretem z restauracji „Hawełki" złośliwie napisał dr Piotr Andrzejewski, naukowiec z Polskiej Akademii Nauk, skądinąd zajmujący się najnowszymi dziejami Austrii: „Nigdy nie rozumiałem tego postgalicyjskiego syndromu sztokholmskiego". A pracujący w Krakowie kolejny historyk, prof. Krzysztof Kloc, skomentował to bardzo krótko, acz zrozumiale: „Makłowiczowanie to zło".

Robert Makłowicz, gwiazda programów kulinarnych, od lat jest głosicielem cnót Franza Josepha i dobroci monarchii habsburskiej. Czyni to tak często i intensywnie, że nie ma tu mowy o jakiejś zabawie konwencją, prowokacyjnym żarcie ani tym bardziej pastiszu. Robi to na poważnie, bo przecież nie dla żartów odwiedzał krypty z grobami Habsburgów. Liczba nawiązań celebryty do cesarza (zawsze pozytywne) jest taka wielka, że dla wielu osób jednoznaczne jest już skojarzenie: Makłowicz równa się Franz Josef. Łącznie z internetowymi memami na ten temat. Krytykujący go widzowie piszą w swoich komentarzach, że to ucieleśnienie fajnopolactwa, czyli kompleksów, uważania polskiego dorobku kulturowego za coś gorszego i niewartego jakiegokolwiek szacunku.

I tutaj otwiera się pole dla badań socjologów, politologów i psychologów: dlaczego w kraju, w którym zabory, okupacja i PRL są ciągle żywą traumą, co rusz znajdują się znane osoby, które próbują wynieść na piedestał zaborców? Oraz wychwalają kolaborantów, bo idzie to w parze? Wprawdzie nie ma analogicznej z krakowską mody na kajzera Wilusia czy któregoś z rosyjskich carów, ale np. tak znany polityk jak Janusz Korwin-Mikke często mówił o carze Mikołaju II, że to ostatni król Polski.

Może to tylko błazeńska poza cynika udającego ekscentryczność, a może część większej całości. A jest nią mentalność postkolonialna. Przyzwyczajenie do serwilizmu wobec silniejszych i chęć posiadania hegemona, który będzie chronił przed koniecznością osobistego podejmowania odpowiedzialności za swój los. Syndrom wyuczonej bezradności, częsty w prywatnym życiu jednostek, można też przenieść na większe zbiorowości. Również w aspekcie politycznym.

Ma to wymiar praktyczny. Tępego i brutalnego kolaboranta Aleksandra Wielopolskiego, którego bez problemu można uznać za prefigurację Wojciecha Jaruzelskiego, zawsze chwalili ci, którzy sami nosili piętno kolaboracji z władzą obcą lub narzuconą przez zaborcę. Zawsze jest to połączone z negowaniem sensu i dyskredytowaniem zrywów niepodległościowych. Nie chodzi w tym jedynie o ocenę historii, lecz także strach przed podmiotowością Polaków. Strach przed utratą pozycji tych, którzy uważają się za elity, i tym, że Polacy na poważnie biorą motto: „Nic o nas, bez nas".

> Dlaczego w kraju, w którym zabory, okupacja i PRL ciągle są żywą traumą, co rusz znajdują się znane osoby, które próbują wynieść na piedestał zaborców? Oraz wychwalają kolaborantów, bo idzie to w parze?

Wybielany jest Władysław Studnicki, kompletnie skretyniały kolaborant, który już 14 września 1939 r. jednoosobowo zgłosił się do pierwszego napotkanego niemieckiego generała z ofertą tworzenia marionetkowego rządu. Ze swoim udziałem, jak łatwo zgadnąć. I który wiosną 1945 r. pisał memoriały do Heinricha Himmlera z propozycją, aby Niemcy zwolnili polskich więźniów obozów koncentracyjnych, dali im mundury Wehrmachtu oraz broń, aby ci wynędzniali nieszczęśnicy stanęli do walki w obronie III Rzeszy.

Wróciły zachwyty nad „Dziejami głupoty w Polsce", choć pamflet ten – o niskiej wartości merytorycznej – został wydany w rządzonej przez komunistów Polsce w 1947 r. A jego autor Aleksander Bocheński, krytykując zrywy niepodległościowe, tworzył usprawiedliwienie swojej kolaboracji z reżimem komunistycznym, któremu wiernie służył aż do 1989 r., łącznie z poparciem stanu wojennego. Dzisiaj są tacy, którzy tę propagandową agitkę, służącą interesom komunistów, przedstawiają jako klucz do dziejów Polski.

POD OBCY PROTEKTORAT

Błędem jest myślenie, że to tylko jakieś oderwane od życia gry i zabawy. Żyjemy w dobie presji globalizacyjnej i jednocześnie niekorzystnego dla Polski przekształcania Unii Europejskiej w scentralizowane superpaństwo. Liberałowie i lewicowcy, przekonując do zbycia zasadniczej części suwerenności podmiotom ponadnarodowym, używają języka korzyści. Historia jest dla nich niezbyt ważna, więc jeśli się do niej odwołują, to do strasznych kart naszej przeszłości z obietnicą, że to się nie powtórzy, jeśli tylko znajdziemy silnego protektora. Choć jednocześnie zapominają o odpowiedzi na kluczowe pytania: a co, jeśli protektor nie będzie dość silny i nas nie obroni, a my sami już będziemy bezbronni? Albo sprzeda nas dla własnych interesów?

Po prawicowej stronie uzasadnienie rezygnacji z podmiotowości wymaga innych zabiegów, stąd cały ten odwołujący się do historii sztafaż pseudoargumentów. W obu przypadkach mechanizm jednak jest ten sam – wmówić Polakom, że samodzielność to coś złego, a obcy protektor to dobrotliwa i oświecona władza. Ona będzie wiedziała lepiej, co dla nas dobre.

eprasa.pl c6242adf39

„Polak w Polsce gospodarzem!”

Pod takim hasłem przejdzie tegoroczny Marsz Niepodległości. Największa patriotyczna manifestacja w Europie będzie w tym roku nie tylko wyrazem dumy z polskości, lecz także wezwaniem do odpowiedzialności za przyszłość kraju, głosem troski o zagrożoną suwerenność i wyrazem sprzeciwu wobec szkodliwych działań rządu

MARZENA NYKIEL

Fot. Andrzej Skwarczyński

epprasa.pl c6242adf39

Są w dziejach narodów momenty, w których bierność ma potężne konsekwencje. Znamy je dobrze z polskiej historii. Są także chwile zjednoczenia, zwycięstwa i triumfu. 11 listopada jest dla Polaków dniem wyjątkowym. Każda rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości po 123 latach zaborów stanowi dla kolejnych pokoleń coroczny rachunek sumienia wobec tych, którzy przelewali krew za wolność ojczyzny. Ojcowie polskiej niepodległości doskonale wiedzieli, że „wolność nie jest dana raz na zawsze". Dziś, po ponad 100 latach, mierzymy się z kolejną próbą jej zawłaszczenia. I choć jeszcze nikt jawnie nie kwestionuje niepodległości naszego kraju, to konkretne decyzje rządowe i międzynarodowe coraz brutalniej odzierają nas z podmiotowości. Najwyższa pora na wyrażenie zbiorowego sprzeciwu. Marsz Niepodległości jest okazją do wyznaczenia jasnej granicy, że choć Polacy są narodem gościnnym i otwartym na współpracę, nie pozwolą nikomu dyktować zasad we własnym domu. Zwłaszcza takich, które godzą w narodowy interes.

Siła Marszu Niepodległości tkwi w jedności. Jak co roku pójdą w nim wspólnie przedstawiciele wszystkich pokoleń i rozmaitych środowisk społeczno-zawodowych. Na czele pojadą Ursusami polscy rolnicy, którzy chcą zwrócić uwagę na proces likwidacji polskiej wsi. Pomaszerują również polscy myśliwi, których racjonalny głos jest zagłuszany przez bezmyślność ideologów. Do wspólnego pochodu dołączą także związkowcy Solidarności, walczący o niezależność gospodarczą i prawa pracowników. To wyraźny sygnał, że walka o podmiotowość Polski nie jest sprawą jednej grupy, lecz wspólnym interesem całego społeczeństwa. Bo jak przestrzegał w ub.w. Wincenty Witos, „gdzie w grę wchodzi Polska, tam nie może być partyjnych ambicji ani prywatnych interesów".

POLAK GOSPODARZEM

Obserwując doświadczenia państw Europy Zachodniej, takich jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy, widzimy, do czego prowadzą uległość państwa i zacieranie tożsamości narodowej na rzecz niekontrolowanych procesów migracyjnych. Rdzenni mieszkańcy tracą wpływ na kształt własnych instytucji i są wypierani z przestrzeni publicznej.

Organizatorzy Marszu, wskazując na rolę Polaków we własnym kraju, podkreślają, że obowiązkiem gospodarza jest dbanie o bezpieczeństwo domowników i zachowanie pełnego prawa do decydowania o tym, kogo i na jakich zasadach zapraszamy do naszego kraju. – Możemy być gościnnym narodem i współpracować z innymi narodami, ale nie pozwolimy innym ustalać koloru ścian w naszym domu – mówi prezes Stowarzyszenia „Marsz Niepodległości" Bartosz Malewski.

> Marsz Niepodległości kolejny raz wybrzmi dumą z polskości, a także jasnym przekazem, że Polacy są i będą gospodarzami we własnym kraju. Bez względu na to, czego oczekują Berlin i Bruksela. Donald Tusk musi usłyszeć stanowczy głos patriotów

Prawdziwa suwerenność musi obejmować wymiar polityczny, gospodarczy i kulturowy. W obecnej rzeczywistości absolutnie każdy z tych obszarów jest poddawany głębokiej destrukcji. Rząd Donalda Tuska lekceważy głos społeczny, nie uwzględnia sprzeciwu opozycji i ogranicza prawa obywateli do realnego wpływu na losy kraju. Wyjątkowo usłużnie przyjmuje za to zewnętrzne dyrektywy z Brukseli czy zalecenia Berlina. Unia Europejska z organizacji gospodarczej państw narodowych przekształca się w centralistyczną strukturę, która za pomocą narzucanych dyrektyw usiłuje pozbawić państwa członkowskie decyzyjności w sprawach kluczowych. Jaskrawym przykładem tego dyktatu jest unijny pakt migracyjny. Mimo wyraźnego sprzeciwu znacznej części społeczeństwa w Brukseli przeforsowano mechanizmy przymusowej relokacji nielegalnych migrantów lub nakładania gigantycznych kar finansowych na państwa, które odmawiają ich przyjęcia.

UNIJNY DYKTAT NAD GOSPODARKĄ

Równie niszczycielskie skutki niesie wdrażanie unijnej polityki klimatycznej. Koszty tzw. transformacji energetycznej, dyrektywa budynkowa, unijny system handlu emisjami czy nakazy ograniczania produkcji uderzają bezpośrednio w przedsiębiorców i portfele polskich rodzin, doprowadzając do drastycznego wzrostu cen energii, ogrzewania i paliw. Co najbardziej bulwersujące, obywatelom odmawia się prawa do wypowiedzenia się w tej sprawie. Wniosek o przeprowadzenie ogólnokrajowego referendum w sprawie polityki klimatycznej UE został odrzucony przez sejmową większość pod pretekstem, że zagadnienia te wynikają z polityki unijnej i nie podlegają woli społecznej.

Polskie rolnictwo jest skazane na zagładę przez unijnych decydentów. Rząd Donalda Tuska nie zabezpiecza interesów wsi, a co za tym idzie – rozmontowuje bezpieczeństwo żywnościowe. Resort rolnictwa biernie przygląda się skutkom umowy z krajami Mercosur podpisanej przez Ursulę von der Leyen. Nie zablokował też rozwiązań, które sprawią, że nasz rynek zostanie zalany przez towary z Ukrainy. Skutki tej polityki będą tragiczne. Eksperci ostrzegają, że produkcja rolna w Europie może spaść aż o 40 proc., doprowadzając do masowego bankructwa rodzimych gospodarstw. Kraj, który traci własne zdolności aprowizacyjne i uzależnia się od zewnętrznych dostawców oddalonych o tysiące kilometrów, przestaje być samowystarczalny. A przecież brak bezpieczeństwa żywnościowego to prosta droga do utraty suwerenności państwowej. Właśnie dlatego polscy rolnicy staną na czele Marszu Niepodległości.

BEZPIECZEŃSTWO KULTUROWE

Równie niebezpieczny i jeszcze bardziej podstępny atak jest wymierzony w pol-

eprasa.pl c6242adf39

ską tożsamość, edukację i wychowanie młodego pokolenia. Edukacja stanowi kluczową przestrzeń, w której realizuje się interes narodowy. Każde dojrzałe, zdrowe państwo dba o to, by wychowywać młodzież w duchu patriotyzmu, szacunku dla własnej historii, religii, tradycji narodowej i rodzimych wartości. Tymczasem pod rządami Tuska resort edukacji kierowany przez Barbarę Nowacką konsekwentnie wdraża plan rozmontowywania polskiego systemu oświaty i oddawania go pod zewnętrzną kontrolę.

Proces ten wpisuje się w realizację rezolucji Parlamentu Europejskiego z 22 listopada 2023 r. w sprawie zmian w traktatach UE, w której zażądano przekazania edukacji do tzw. kompetencji dzielonych Unii Europejskiej. Brukselski projekt Europejskiego Obszaru Edukacyjnego dąży do narzucenia odgórnych, zunifikowanych norm nauczania, których ukrytym celem jest wykorzenienie młodego pokolenia z tożsamości narodowej i ukształtowanie sformatowanych, poddanych poprawności politycznej „obywateli Europy". W szeroko pojętym systemie edukacji i wychowania obserwujemy drastyczne działania: systematyczne odchudzanie podstaw programowych z treści patriotycznych, historycznych i klasyki polskiej literatury, usuwanie kontekstów religijnych i aksjologicznych przy jednoczesnym likwidowaniu lekcji religii, postępujący atak na trzy filary formowania tożsamości: rodzinę, szkołę i Kościół, wprowadzanie przedmiotów o silnym zabarwieniu ideologicznym – w tym siłowe zastąpienie tradycyjnego wychowania do życia w rodzinie tzw. edukacją zdrowotną, promującą agendę środowisk rewolucji kulturowej. Te praktyki wprost naruszają konstytucyjne prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Niszczą też bezpowrotnie kolejne pokolenia, na których spoczywać będzie odpowiedzialność za przyszłość kraju.

W obliczu tak palących zagrożeń należałoby traktować bezpieczeństwo edukacyjne i kulturowe Rzeczypospolitej z taką samą powagą jak bezpieczeństwo militarne, energetyczne czy żywnościowe. Bo przecież naród, któremu odbierze się pamięć, świadomość, historię, tożsamość i fundamentalne wartości, przestaje być zdolny do obrony własnego państwa.

PRÓBA LIKWIDACJI PAŃSTWA

Zewnętrzny dyktat to jednak tylko część polskiego dramatu. Unijne mechanizmy i wpisane w nie programy uzależniania finansowego stają się narzędziem zewnętrznego szantażu politycznego, a także pretekstem do rozgrywek wewnętrznych.

Donald Tusk podejmuje działania, które w galopującym tempie prowadzą do likwidacji suwerennego państwa polskiego. Wszystkie siły zostały zaangażowane w walkę z prezydentem i opozycją, a zaniedbano obszary fundamentalne: bezpieczeństwo, rozwój, niezależność, pozycję międzynarodową, odporność na sytuacje kryzysowe i ingerencje zewnętrzne. Szczególnie mocno wybrzmiewa w tych warunkach ostrzeżenie marsz. Józefa Piłsudskiego: „Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym". W rozmowach towarzyskich coraz częściej pojawia się to samo pytanie: czy Polacy mogą jeszcze podejmować suwerenne decyzje?

OSTRZEŻENIE Z GIGANTÓW HISTORII

Patrząc na fundamenty, na których odbudowywano Polskę po 123 latach zaborów, uderza odpowiedzialność i mądrość polityczna ludzi, którzy mimo głębokich różnic potrafili stanąć w jednym szeregu dla wspólnego dobra.

Ignacy Jan Paderewski w płomiennym przemówieniu wołał do rodaków: „Żadne najmędrzej zorganizowane stronnictwo Ojczyzny odbudować nie zdoła. Do tego dzieła trzeba jedności i zgody wszystkich, miłości i siły, wiary i zaparcia się samego siebie, do tego dzieła potrzeba wszystkich sił i wszystkich serc zespołu". Przestrzegał też przed tym, co jest dziś naszą codziennością: „Nie masz większego nieszczęścia dla narodu, jak brak zgody wewnętrznej w godzinie próby".

Tę samą prawdę o priorytecie interesu państwowego nad partyjną prywatą głosił przywódca ruchu ludowego Wincenty Witos: „Gdzie w grę wchodzi Polska, tam nie może być partyjnych ambicji ani prywatnych interesów". Z kolei Roman Dmowski podkreślał, że jako Polacy „mamy obowiązki polskie" i ostrzegał, że „państwo silne jest tylko wtedy, gdy ma oparcie w silnym, świadomym swych praw i obowiązków społeczeństwie".

Czy głosy tych gigantów naszej historii nie brzmią dziś jak bezpośrednie wezwanie do walki o zagrożoną suwerenność Rzeczypospolitej? Należy je uzupełnić o jeszcze jeden – rocznicowy głos kard. Augusta Hlonda, którego 100-lecie prymasostwa właśnie obchodzimy. Ostrzegał on, że „Paneuropa nie jest w interesie Polski i Polaków". To on zdecydował o poświęceniu narodu polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi, którego dokonał równo 80 lat temu na Jasnej Górze, nawiązując do ślubów króla Jana Kazimierza. „Polska powinna być nowoczesna, sprawiedliwa, szczęśliwa, wzbogacona zdobyczami wiedzy i techniki, kulturalna, mądrze zorganizowana. Ale Polska nie może być bezbożna. Polska nie może się wyprzeć swej przynależności do świata chrześcijańskiego. Polska nie może zdradzać chrześcijańskiego ducha swych dziejów. Polska nie może być komunistyczna. Polska musi pozostać katolicka" – apelował prymas Hlond. Wszystkie te zatrważająco aktualne głosy wymagają dziś jasnej odpowiedzi.

Nie ma dziś w Polsce ważniejszego sprawdzianu obywatelskiej dojrzałości niż obrona suwerenności i ochrona fundamentów polskości. Działania rządu wymagają wyraźnego sprzeciwu i jednoznacznej postawy społecznej. Polska jest na ostatniej prostej do cichej utraty niepodległości i bankructwa, a piętrzące się zagrożenia niebezpiecznie te procesy przyspieszają. To ostatni moment na zatrzymanie zmian, które po latach mogą się okazać nieodwracalne. 11 listopada będzie więc w tym roku momentem szczególnym. Marsz Niepodległości kolejny raz wybrzmi dumą z polskości, a także jasnym przekazem, że Polacy są i będą gospodarzami we własnym kraju. Bez względu na to, czego oczekują Berlin i Bruksela. Donald Tusk musi usłyszeć stanowczy głos patriotów.

Spotkajmy się na Marszu Niepodległości!

- 11 listopada, godz. 14.00
- Rondo im. Romana Dmowskiego w Warszawie
- Przemarsz Alejami Jerozolimskimi i Mostem Poniatowskiego na błonia Stadionu Narodowego

eprasa.pl c6242adf39

Zanim nastolatek sięgnie po bagnet

Policjanci zatrzymali go nad ranem. Miał zaledwie 13 lat. W jego szkolnym plecaku funkcjonariusze znaleźli bagnet o długości blisko 30 cm. Chłopiec z województwa kujawsko-pomorskiego miał planować przeprowadzenie zamachu w swojej szkole. Dwójka innych nastolatków swój plan zrealizowała. To nie są sceny z filmu ani kolejna historia o przemocy w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej. To wydarzyło się w Polsce

DOROTA ŁOSIEWICZ

Według informacji przekazanych przez policję sprawa zaczęła się od informacji uzyskanej dzięki współpracy z zagranicznymi partnerami. 13-latek pochwalił się planami w sieci. Funkcjonariusze weszli do domu chłopca, zanim zdążył wyjść do szkoły. Oprócz bagnetu zabezpieczono również inne niebezpieczne przedmioty. Z kolei 19-letni Jakub Z. zaatakował nożem w szkole w Ostrołęce. W wyniku napaści rannych zostało dziewięć osób. Jakub Z. został zatrzymany tego samego dnia niedaleko miejskiej plaży. Policja zabezpieczyła plecak nastolatka. Znajdowały się w nim materiały wybuchowe. Dzień później w szkole w Leszczydole-Nowinach koło Wyszkowa 15-latek zaatakował nożem trzy osoby, w tym 37-letnią woźną, której życia nie udało się uratować pomimo długiej reanimacji.

Co musi się stać w życiu nastolatka, żeby zaczął planować zamach we własnej szkole? Jak wygląda droga od zwykłego dziecka do kogoś, kto zaczyna fascynować się przemocą? I przede wszystkim: czy dorośli mają szansę zauważyć tę zmianę, zanim w plecaku pojawi się broń?

Odpowiedzi na te pytania próbowali znaleźć eksperci zajmujący się bezpieczeństwem. Kilka tygodni temu w Centrali Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego odbyła się konferencja „Nowe uwarunkowania procesu radykalizacji młodych ludzi z perspektywy bezpieczeństwa państwa". Wzięli w niej udział przedstawiciele służb, prokuratury, środowiska akademickiego, cyberbezpieczeństwa i organizacji społecznych. Wnioski są niepokojące: radykalizacja może zaczynać się znacznie wcześniej, niż jesteśmy gotowi przyjąć. I nie zawsze zaczyna się od ideologii.

eprasa.pl c6242adf39

NAJPIERW SAMOTNOŚĆ, POTEM EKRAN

Radykalizację przez lata kojarzyliśmy przede wszystkim z wielką ideologią. Terrorysta miał być człowiekiem, który najpierw przyjmuje określony światopogląd, a następnie zaczyna działać zgodnie z jego zasadami. Dzisiaj ten schemat coraz częściej okazuje się niewystarczający.

Młody człowiek może najpierw być samotny. Może mieć poczucie odrzucenia, krzywdy albo braku wpływu na własne życie. Może nie radzić sobie z relacjami z rówieśnikami. Może mieć wrażenie, że nikt go nie rozumie i nikt go nie słucha. A potem znajduje internet. I tam ktoś go słucha. To może być grupa rówieśnicza. Forum. Kanał komunikacyjny. Społeczność skupiona wokół gier. Zamknięta grupa w mediach społecznościowych. Miejsce, w którym można znaleźć ludzi gotowych, by potwierdzić każdą frustrację. Mechanizm jest niebezpiecznie prosty. „Masz problem? To nie twoja wina". „Nikt cię nie szanuje? To dlatego, że świat jest przeciwko tobie". „Czujesz się samotny? My cię rozumiemy". „Jesteś wściekły? Masz prawo być wściekły. Pokaż im".

W ten sposób zwykła frustracja może zamieniać się w poczucie krzywdy, a poczucie krzywdy w przekonanie, że za wszystko odpowiadają „oni". I właśnie wtedy zaczyna się niebezpieczny proces.

Podczas konferencji ABW przedstawiono dane z „Diagnozy Młodzieży 2026". Wynika z nich, że 47 proc. nastolatków w wieku 13–16 lat deklaruje ponadprzeciętny kontakt z treściami antyspołecznymi. Z kolei 44 proc. młodzieży ma trudności z odróżnianiem informacji prawdziwych od fałszywych. Nie oznacza to oczywiście, że niemal połowa nastolatków jest zagrożona terroryzmem. Taki wniosek byłby nieuprawniony. Oznacza jednak coś ważnego: ogromna część młodych ludzi dorasta w środowisku, w którym codziennie styka się z treściami przekraczającymi granice, których jeszcze niedawno nie przekraczały media przeznaczone dla dzieci. Przemoc, pornografia, dehumanizujące komentarze, mowa nienawiści, brutalne nagrania, treści ekstremistyczne czy dezinformacja mogą być dostępne na kilka kliknięć.

I nie zawsze trzeba ich szukać. Współczesny internet jest bowiem nie tylko biblioteką, do której użytkownik przychodzi po konkretną informację. Jest również maszyną do przewidywania, co może go zainteresować. Jeśli coś przyciągnęło uwagę, algorytm może podsunąć kolejną podobną treść. Potem następną. A potem jeszcze bardziej skrajną.

ALGORYTM NIE WIE, ŻE MASZ 13 LAT

To jedna z najbardziej zasadniczych różnic między światem, w którym dorastali rodzice dzisiejszych nastolatków a światem ich dzieci. Kiedyś, by trafić na ekstremistyczną propagandę, trzeba było jej szukać. Dzisiaj może przyjść sama. Młody człowiek obejrzy film o przemocy. Algorytm uzna, że skoro obejrzał, to temat go interesuje. Dostanie więc kolejny. Potem następny. Treść, która początkowo szokowała, po kilkunastu kolejnych materiałach zaczyna wydawać się mniej niezwykła.

Przemoc powszednieje. Brutalność staje się rozrywką. Śmierć staje się memem. Sprawca zamachu może zostać przedstawiony jako bohater albo „legenda". Jego zdjęcie krąży w sieci. Jego wypowiedzi są analizowane. Jego czyn może zostać zamieniony w element internetowej popkultury.

Dla dorosłego człowieka jest to trudne do zrozumienia. Dla nastolatka, którego poczucie własnej wartości dopiero się kształtuje, może być czymś znacznie bardziej atrakcyjnym. Zwłaszcza jeśli sam czuje się nikim.

NIE KAŻDY RADYKAŁ WYZNAJE IDEOLOGIĘ

Współczesne zagrożenie jest tym trudniejsze do wykrycia, że przemoc nie zawsze potrzebuje spójnego światopoglądu. Czasami wystarczy fascynacja nią samą. Czasami chodzi o zemstę. Czasami o chęć zdobycia rozgłosu. Czasami o potrzebę pokazania światu, że „ja też coś znaczę". Może pojawić się nihilizm: przekonanie, że nic nie ma znaczenia, więc wszystko jest dozwolone. Może pojawić się kult sprawcy wcześniejszego ataku. Może pojawić się przekonanie, że skoro świat jest niesprawiedliwy, to przemoc jest jedynym sposobem odzyskania kontroli.

To szczególnie trudny problem dla służb, a także dla rodziców i nauczycieli. Bo znacznie łatwiej rozpoznać radykalizację, kiedy ktoś zaczyna głosić konkretną ideologię. Znacznie trudniej zauważyć, że dziecko po prostu coraz bardziej fascynuje się przemocą. A właśnie od tego może zacząć się droga w niebezpiecznym kierunku.

OD „NIKT MNIE NIE ROZUMIE" DO „ONI SĄ WINNI"

Autorzy analizy poświęconej społecznym uwarunkowaniom podatności młodzieży na radykalizację zwracają uwagę na znaczenie m.in. marginalizacji, poczucia niesprawiedliwości, kryzysów tożsamościowych, osłabienia więzi społecznych, dezinformacji i środowiska cyfrowego.

Żaden z tych czynników sam w sobie nie czyni oczywiście człowieka ekstremistą. Większość samotnych, sfrustrowanych czy odrzuconych nastolatków nigdy nie zrobi niczego złego. Problem zaczyna się wtedy, gdy kilka czynników zaczyna działać jednocześnie. Dziecko czuje się odrzucone. Nie ma z kim porozmawiać. Coraz więcej czasu spędza w internecie. Trafia na grupę, w której jego frustracja zostaje zaakceptowana. Zaczyna oglądać brutalne treści. Ktoś podsuwa mu prostą odpowiedź: winni są „oni". Z czasem pojawia się przekonanie, że przemoc może być usprawiedliwiona. To nie jest automatyczny scenariusz. Nie ma prostego równania, w którym samotność plus internet równa się terroryzm. Ale ignorowanie takiej ścieżki byłoby równie nierozsądne.

SZKOŁA NIE MOŻE BYĆ OSTATNIM OGNIWEM

W historii nastolatków-zamachowców szczególnie mocno wybrzmiewa jeszcze jeden element: szkoła. To właśnie szkoła powinna być jednym z miejsc, w których można zauważyć zmianę zachowania dziecka. Nie chodzi oczywiście o zamienianie nauczycieli w funkcjonariuszy służb specjalnych. Nie chodzi o podejrzewanie każdego ucznia, który nosi czarne ubrania, ogląda brutalne filmy czy zamyka się w pokoju o przygotowywanie zamachu. Chodzi o umiejętność zauważenia, że coś się zmieniło. Dziecko, które nagle całkowicie izoluje się od rówieśników. Uczeń, który zaczyna obsesyjnie interesować się przemocą. Nastolatek, który coraz częściej wypowiada się w sposób skrajny i dehumanizujący

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c6242adf39

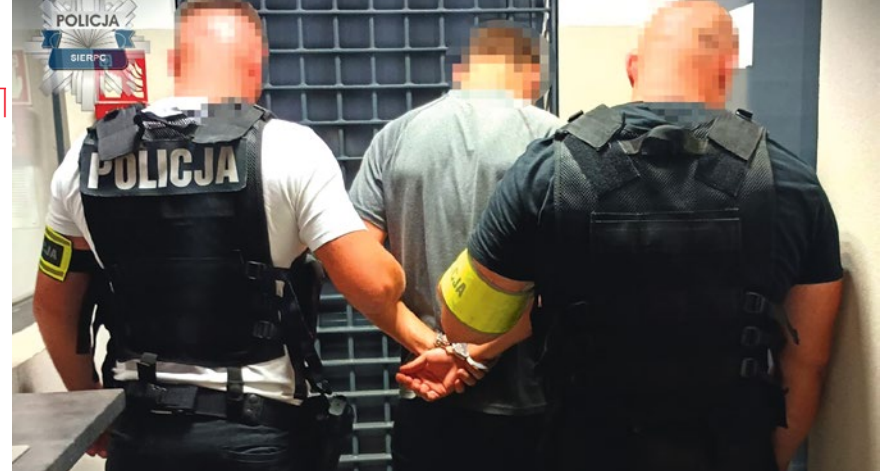

innych. Dziecko, które porzuca wcześniejsze zainteresowania i całkowicie zanurza się w jednym środowisku internetowym. Każdy z tych sygnałów osobno może oznaczać absolutnie nic. Ale jeśli pojawia się ich kilka naraz, warto zadać pytanie: co się dzieje? Nie po to, żeby karać. Po to, żeby pomóc. A jeśli pomoc nie wystarczy, żeby odpowiednio wcześnie uruchomić kolejne mechanizmy bezpieczeństwa.

RODZICE CZĘSTO NIE ZNAJĄ ŚWIATA SWOICH DZIECI

Problem polega na tym, że wielu dorosłych po prostu nie zna cyfrowej rzeczywistości, w której żyją ich dzieci. Rodzic wie, że syn ma telefon. Wie, że córka korzysta z mediów społecznościowych. Wie, że dziecko gra w gry. Ale czy wie, z kim rozmawia? Czy zna grupy, do których należy? Czy potrafi rozpoznać symbole używane przez konkretne społeczności internetowe? Czy wie, co dziecko ogląda po zamknięciu drzwi do pokoju? I przede wszystkim: czy dziecko mu o tym powie?

To ostatnie pytanie jest być może najważniejsze. Jeżeli nastolatek uważa, że rodzic go nie zrozumie, może poszukać zrozumienia w internecie. A internet zawsze znajdzie kogoś, kto powie: „Rozumiem cię". Nie zawsze będzie to ktoś, komu rzeczywiście zależy na jego dobru.

TYLKO TELEFON?

Warto też skończyć z myśleniem, że telefon jest po prostu urządzeniem służącym do kontaktowania się ze znajomymi. Dla współczesnego nastolatka smartfon jest jednocześnie telewizorem, gazetą, radiem, kinem, biblioteką, podwórkiem, szkołą, salonem gier i miejscem spotkań.

W analizie „Diagnozy Młodzieży 2026" wskazano, że 71 proc. młodych uważa swoje pokolenie za uzależnione od telefonów. Ponad 80 proc. dzieci zakłada konta w mediach społecznościowych przed ukończeniem 13. roku życia, a średni deklarowany czas spędzany online sięga niemal pięciu godzin dziennie. To nie jest argument za tym, żeby zabrać wszystkim dzieciom telefony. Jest to argument za tym, żeby potraktować przestrzeń cyfrową jako realne środowisko życia młodego człowieka. Tak samo jak uczymy dziecko, że nie powinno rozmawiać z przypadkowym dorosłym poznanym na ulicy, powinniśmy uczyć je, że człowiek poznany w internecie również może mieć intencje, których nie pokazuje na początku. I że nie wszystko, co pojawia się na ekranie, jest prawdą.

BEZPIECZEŃSTWO ZACZYNA SIĘ PRZED ZAMACHEM

W konferencji zorganizowanej przez Centralny Ośrodek Szkolenia i Edukacji ABW uczestniczyło ponad 90 osób. Wśród prelegentów znaleźli się przedstawiciele świata nauki, prokuratury, służb, cyberbezpieczeństwa i organizacji społecznych. To ważne, ponieważ radykalizacji nie zatrzyma jedna instytucja. Policja może zatrzymać sprawcę. ABW może rozpracowywać zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa. Prokuratura może prowadzić postępowanie. Nauczyciel może zauważyć zmianę zachowania. Psycholog może pomóc dziecku. Rodzic może być pierwszym człowiekiem, który zauważy, że coś jest nie tak. Każdy z tych elementów jest częścią większego systemu. Dlatego prewencja jest tak ważna. Jeżeli o radykalizacji zaczynamy rozmawiać dopiero wtedy, gdy ktoś ma już broń, to rozmawiamy za późno.

Ostatnie historie nastoletnich zamachowców powinny być dla dorosłych przede wszystkim ostrzeżeniem. Nie po to, by każde dziecko traktować jak potencjalnego terrorystę. Nie po to, by w każdym dziwnym zachowaniu doszukiwać się zapowiedzi zamachu. I nie po to, by rodzice stali się domowymi detektywami, a szkoły miejscami permanentnej kontroli. Wręcz przeciwnie.

Chodzi o to, by dostrzec problem wtedy, gdy jest jeszcze problemem dziecka, a nie problemem bezpieczeństwa państwa. Bo 13-latek z bagnetem w plecaku to ostatni etap pewnego procesu. Wcześniej mogła być samotność. Frustracja. Poczucie odrzucenia. Internetowa grupa. Brutalny film. Fascynacja przemocą. Ktoś, kto mówił: „Oni są winni". I ktoś, kto przekonywał, że przemoc jest rozwiązaniem. Dlatego najważniejsze pytanie nie powinno brzmieć, jak zatrzymać 13-latka z bagnetem. Służby muszą oczywiście umieć odpowiedzieć również na to pytanie. Ale społeczeństwo powinno wcześniej odpowiedzieć na inne: jak sprawić, by 13-latek nigdy nie uznał, że bagnet w szkolnym plecaku jest rozwiązaniem jego problemów. Bo bezpieczeństwo państwa rzeczywiście zaczyna się dużo wcześniej niż w momencie zamachu. Zaczyna się w domu. W szkole. W relacji z rodzicem. W rozmowie z nauczycielem. W umiejętności odróżnienia faktu od manipulacji. W świadomości tego, co dziecko ogląda, z kim rozmawia i do jakiego świata należy, kiedy zamyka drzwi swojego pokoju.

I być może właśnie wtedy – a nie w chwili, gdy policjant otwiera szkolny plecak i znajduje w nim 30-centymetrowy bagnet czy w chwili, gdy dochodzi do zamachu – jest moment, w którym można jeszcze wszystko zmienić.

Fot. Policja Mazowsza/x.com

eprasa.pl c6242adf39

W TVN mają nowego pana

David Ellison

DARIUSZ MATUSZAK

Stacja z Wiertniczej trafiła w ręce popleczników Donalda Trumpa, a to może oznaczać zmianę jej linii programowej i odejście od gorliwej służby rządowi Donalda Tuska

Fot. Andrzej Wiktor, NDZ/STAR MAX/IPx/East News

Największa transakcja w dziejach mediów zakończyła się całkowitą katastrofą. W 2000 r. moloch internetowy AOL za 160 mld dol. przejął molocha mediowego Time Warner. To, co miało być małżeństwem nowych i starych mediów, okazało się czołowym zderzeniem głowami. I to w sensie niemal dosłownym – kultury firmy nowej i starej epoki miały niezgodność charakterów. Dwa światy nie potrafiły ze sobą żyć i pracować. Na dodatek pękła bańka internetowa, więc wartość firmy runęła, co po dziewięciu latach doprowadziło do rozwodu. Po nim Time Warner zaczął się dzielić, wciąż przepoczwarzać i w jakiejś zmutowanej formie – jako Warner Bros. Discovery – przetrwał do naszych czasów.

6 października br. cykl przepoczwarzeń zamknął się po raz kolejny. Tego dnia domknięto przejęcie tej firmy przez Paramount Skydance za 110–111 mld dol. To druga co do wielkości transakcja w dziejach mediów. Tak powstał nowy gigant – Skydance. Można się pobawić i przetłumaczyć tę nazwę na Podniebny Taniec. Nawet urocze, ale nie zmienia to faktu, że również ta transakcja może się

eprasa.pl c6242adf39

zakończyć katastrofą, przynajmniej dla umysłów części sfanatyzowanych widzów TVN oraz wizerunkową, prestiżową i propagandową dla rządu Donalda Tuska.

Od teraz do Skydance należy bowiem mała, skromna, nie większa niż 1 proc. całości, warta ok. 1 mld dol. pralnia mózgów i zakład wybielania sumień z ul. Wiertniczej w Warszawie – stacja TVN. Właścicielem ponad 77 proc. Skydance jest zaś rodzina Ellisonów, związana z Donaldem Trumpem. Senior rodu, Lary Ellison, jest współzałożycielem jednej z największych firm programistycznych świata – Oracle, a jego syn David – szefem Skydance. Właścicielem pozostałych udziałów jest biznesmen Gerry Cardinale – poprzez swój fundusz również nieprawidłowy, współpracujący z Białym Domem przy ustawie o sporcie.

SOJUSZ ZE STRZYKWĄ

Nowa transakcja rodziła się w bólach, Nie dlatego, że komuś się nie chciało, brakowało pieniędzy i przekonania, że chylący się ku upadkowi Warner Bros jest warty oferowanych sum. Cała rzecz sprowadzała się do tego, że media nie mogą trafiać w ręce ludzi nieprawidłowych – o nieakceptowalnych, prawicowych, konserwatywnych, a może libertariańskich poglądach. Jak zimą jest zimno, a Słońce wschodzi nad Bugiem, nie zaś nad Odrą, tak odwiecznym prawem jest to, że media, aparat formatowania umysłów i dusz mogą należeć tylko do lewicowych czy liberalnych (ten termin jest wytrawiony z wolnościowych treści), postępowych przeciwników wolności słowa. To ci, którzy zmontowali układ z panującymi – sojusz tronu i mikrofonu – i w zamian mają koncesję na okłamywanie, ogłupianie mas. To jak symbioza żyjącej na dnie oceanu strzykwy i rybki z rodziny karapowatych. Karapowata wchodzi strzykwie w odbyt i tam ma swoją siedzibę, bezpieczny bunkier, gdy nie żeruje. W zamian za to ze względu na swą obrzydliwą, odpychającą naturę chroni strzykwę przed zjedzeniem przez coś tam.

Tysiące badań (m.in. AllSides, Ad Fontes Media, Media Research Center, Pew Research) potwierdzają, że w krajach Zachodu media są tak przechylone na lewo, że ledwo stoją. W Google News 73 proc. treści jest lewicowych, a 1 proc. można zakwalifikować jako prawicowe. W ostatniej kampanii prezydenckiej w USA 85 proc. treści o Donaldzie Trumpie pokazywało go negatywnie, a 78 proc. – pozytywnie Kamalę Harris. W pierwszych miesiącach urzędowania Trumpa 92 proc. relacji było krytycznych. W sztandarowym programie publicystycznym „60 minutes" w stacji CBS News, należącej teraz do Skydance, stosunek treści lewicowych do prawicowych wynosi 5 do 1. 95 proc. wpłat amerykańskich dziennikarzy na komitety wyborcze trafia do demokratów, a 5 proc. do republikanów i kandydatów niezależnych. To cały, znakomicie funkcjonujący system.

Kiedy w 2020 r. „New York Post" opublikował artykuły o zawartości laptopa syna byłego wiceprezydenta i kandydata na prezydenta Joe Bidena, to Twitter, należący jeszcze do lewicowego działacza i programisty Jacka Dorseya, na całe tygodnie zablokował do nich dostęp. Hunter Biden miał taki ciąg ćpania, że na prawie rok zostawił swój sprzęt w naprawie i nie odbierał go, a były w nim m.in. pornozdjęcia z jego narkotykowych przygód z prostytutkami. Laptop trafił do FBI. CNN, MSNBC, NPR, „Politico", „The Washington Post" i dziesiątki mediów nazywały historie o degeneracie Hunterze, który płacił za seks służbowymi kartami ojca, którego z powodu narkotyków wyrzucono z marynarki wojennej, który brał pieniądze z Ukrainy, Rosji, Kazachstanu, „rosyjską dezinformacją". Piotr Kraśko przeprowadził z nim nawet w TVN łzawy wywiad o nawróceniu i powrocie syna marnotrawnego na prezydenckie łono ojca.

CNN – dziś u nieprawidłowych Ellisonów – cenzurowało Trumpa, a Facebook usunął jego konta. W Niemczech (badanie TU Dortmund) 80 proc. dziennikarzy deklaruje sympatie do SPD, Zielonych lub lewackiej Die Linke. Do AfD – 0 proc. W Szwajcarii poglądy lewicowe ma jedna trzecia społeczeństwa, ale aż 75 proc. dziennikarzy. W tych warunkach zakrawa na cud, że prawica jest w stanie zdobyć władzę. Jedno jest pewne: strzykwa zawdzięcza swe istnienie siedzącej w jej odbycie karapowatej.

STRATEGICZNA SKRZYNKA POCZTOWA

Po tym, jak Elon Musk przejął Twittera (teraz platforma X), kupno przez Ellisonów Warner Bros. Discovery – m.in. z CNN – to kolejna katastrofa dla dotychczasowego systemu. By jej zapobiec, do boju ruszyły lewackie organizacje, tabuny prawników, w tym sędziowie i prokuratorzy z rządzonych przez demokratów stanów. Jednak na poszczególnych etapach zielone światło transakcji dał – jako organ antymonopolowy – Departament Sprawiedliwości, podobnie odpowiednie instytucje w kilkudziesięciu krajach, m.in. w Australii, Kanadzie, Brazylii, a nawet Komisja Europejska.

Ostatecznie prowadzona przez skrajnie lewicową Kalifornię koalicja prokuratorów z 12 stanów, starających się zablokować transakcję, uległa i we wrześniu zawarła ugodę z Paramount. 30 września br. klepnął ją sędzia federalny i 6 października, po roku bojów, sfinalizowano transakcję.

Ale, ale... Na placu boju, jak Himilsbach z angielskim, pozostał jeszcze rząd Donalda Tuska ze swą groteskową listą spółek strategicznych, na której jest najcenniejsze aktywo –TVN. Stacja z Wiertniczej tkwi tam od grudnia 2024 r. Pogrążony w stratach Warner Bros. Discovery planował wtedy sprzedaż m.in. TVN, by ratować swą płynność finansową. Polskim nadawcą była zainteresowana węgierska grupa TV2, podobno powiązana z Viktorem Orbánem. To wystarczyło. TVN został mianowany spółką strategiczną, a Donald Tusk obwieścił: „Decyzja o uzupełnieniu listy oznacza, że bez zgody polskiego rządu nie będzie można przejąć, kupić firm, które są na tej strategicznej liście, firm, które podlegają ochronie".

Tak naprawdę powinni byli przegłosować wtedy ustawę o usłużnym i gorliwym TVN, która miałaby jeden artykuł: „Dopóki premierem Węgier jest Viktor Orbán, żadna węgierska firma nie może kupić TVN". Niby mógłby ją zawetować prezydent Andrzej Duda, ale przecież trzy lata wcześniej zgadzał się, by amerykański właściciel TVN dopuszczał się bezwstydnego oszustwa. Prawo mówiło wtedy, że koncesje na nadawania w Polsce może mieć tylko spółka z siedzibą na terenie Europejskiego Obszaru Celnego (EOC). Więc Discovery (wtedy bez Warner Bros.) poprzez spółkę Polish Television Holding B.V. znalazł sobie siedzibę, ale nie

eprasa.pl c6242adf39

w strzykwie, tylko pod adresem Schiphol Boulevard Wtc Schiphol 359, Amsterdam, czyli w skrzynce pocztowej na lotnisku w Amsterdamie. Za 99 euro miesięcznie.

Kiedy PiS chciało uniemożliwiać bezczelne oszustwa i przygotowało nowelizację art. 35 ustawy o radiofonii i telewizji, która przewidywała, że podmiot spoza EOC nie mógłby posiadać więcej niż 49 proc. udziałów/akcji w spółce z polską koncesją, to ówczesna opozycja wpadła w amok. Nowelizacja oznaczała, że właścicielem TVN nie mógł być wyłącznie usłużny i gorliwy wobec amerykańskich demokratów Discovery. Wtedy, w czasie demonstracji opozycji, Tusk, cytując wiersz Czesława Miłosza, powiedział prezydentowi Dudzie, żeby się powiesił: „Lepszy dla ciebie byłby świat zimowy i sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta", więc ten zgodnie z życzeniem Tuska zawetował nowelizację.

MAJĄ SIĘ CZEGO BAĆ

Teraz jeszcze nikt nie nawołuje do wieszania się ani obrony TVN, ale sprawa jest poważna, bo stacja trafia w nieprawidłowe ręce popleczników Trumpa, może zmienić linię programową i przestać gorliwie służyć rządowi Tuska. Najszybciej zmiany mogą dotyczyć treści amerykańskich i międzynarodowych, zasysanych od CNN. Z dnia na dzień na Wiertniczej okaże się, że Trump wielkim prezydentem jest i skończą się też występy żony ministra Sikorskiego Anne Applebaum, która porównuje go do Hitlera.

W TVN mogą się pocieszać, że Ellisonowi i Trumpowi nie będzie się chciało zajmować jakąś tam Polską i jakąś tam stacją, ale to marne nadzieje. Administracjom prezydentów Baracka Obamy i Joe Bidena się chciało, więc przez Departament Stanu i USAID – Agencję Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego – latami pompowały setki milionów dolarów w podtrzymywanie rządów pierwszego Tuska i walkę z rządami Zjednoczonej Prawicy. Pieniądze płynęły do organizacji przestępczych, zwanych pozarządowymi, prawidłowych fundacji i prawidłowych mediów. Adam Bodnar załapał się nawet na wycieczki po Polsce za amerykańskie pieniądze. Nazywało się to „Tour de Konstytucja". Również za pierwszego Trumpa pozwalano sobie na ingerencje – ambasador USA Georgette Mosbacher pilnowała nawet interesów Ubera w Polsce.

Cała sprawa TVN – a właściwie Polski – może zająć Trumpowi 2 minuty. Przy okazji spotkania z Ellisonem, np. w czasie partyjki golfa, powie: „Ej, Larry, ty masz w Polsce telewizję i sprawa jest taka, że tam premierem jest facet, który gadał, że jestem ruskim szpiegiem. Tusk. Może nawet kiedyś jak już nie będę prezydentem, to pozwę go o miliard. Ten frajer jest gorszy niż ta wiedźma Merkel, pamiętasz staruchę, i psuje nam interesy. Mamy nową strategię bezpieczeństwa i w Europie chcemy się oprzeć na krajach takich jak Polska, bo na Francję i Niemcy nie ma co liczyć. Widzisz, co się dzieje, za chwilę to będą kalifaty. Tam będzie wojna domowa. My ich chronimy za darmo, a oni robią biznesy z Chińczykami. Musimy mieć w Polsce punkt wypadowy na deale z Ukrainą i Rosją, jak wojna się skończy. A Tusk blokuje nam nawet postawienie bazy wojskowej. Mieli kupować od nas broń, a robią dziwne interesy z tą śmieszną Unią. Przychodzi do mnie Dan [Sumner, prezes Westinghouse Electric Company – przyp. red.] – znasz go, robicie razem deale. On tam buduje elektrownie jądrową i marudzi mi, że wciąż są opóźnienia. Trzy lata są już do tyłu. Mamy tu naszą piękną amerykańską ropę i piękny gaz, który chcemy im sprzedawać, a ci jak reszta świrów w Europie stawiają te koszmarne wiatraki i uzależniają się od Chin. Tam jest mój kumpel, prezydent Karol Nawrocki, i na niego i jego ludzi można liczyć. Za rok mają wybory do kongresu. Weź ty nam tam pomóż". Ellison w 2 minuty przekaże to dalej i wszystko zostanie postanowione, a los redaktorów z Wiertniczej – przesądzony.

> Sam Tusk nie ma bladego pojęcia, co teraz zrobić, by utrzymać władzę nad TVN. Rząd się co prawda odgraża: „Minister aktywów państwowych zajmie się przejęciem TVN przez grupę Paramount Skydance" – obwieszczono, ale wydaje się, że to będą groteskowe akcje w stylu komisji Żurka ds. afery Epsteina

Oczywiście nie wiem, czy tak się stanie, ale to bardzo prosty i prawdopodobny scenariusz. Zarówno państwo z TVN, jak i państwo z rządu mają się więc czego bać, a najbardziej fanatycznych widzów stacji może czekać szok poznawczy.

Sam Tusk ani nikt nie ma bladego pojęcia, co teraz zrobić, by utrzymać władzę nad TVN. Rząd się co prawda odgraża: „Minister aktywów państwowych zajmie się przejęciem TVN przez grupę Paramount Skydance; celem ocena, czy transakcja zagraża bezpieczeństwu lub porządkowi publicznemu w Polsce" – obwieszczono, ale wydaje się, że to będą groteskowe, żenujące akcje w stylu komisji Żurka ds. afery Epsteina. Nie można się nawet poskarżyć Ursuli von der Leyen, bo UE dała zgodę na transakcję. Tak czy owak ludzie Tuska to są gamonie. Mogli jeszcze podjąć akcję, kiedy nie było zgody Brukseli, kiedy rozstrzygało się w sądach Ameryki, ale oni się ocknęli, jak film się skończył i wszyscy wyszli z kina. Teraz będą walczyć i dowodzić, że transakcja „zagraża bezpieczeństwu lub porządkowi publicznemu w Polsce". Może wystawią Żurka albo kogoś takiego na pośmiewisko. A być może Tusk uroczyście obwieści, że Skydance i Ellison nie zagrażają bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu i będzie opowiadał, że bez niego to nawet Amerykanie z Trumpem nic by nie zrobili.

eprasa.pl c6242adf39

Moje miasto Kraków

Spektakularne odwołanie prezydenta miasta i głośna kampania wyborcza zwróciły uwagę na Kraków. Dla mnie to jednak coś więcej niż polityczny spektakl. Tu się urodziłem i tu mieszkam od ponad 60 lat. Odrzucając wyborczy szum, warto napisać o tym, co naprawdę niepokoi i uwiera moich sąsiadów, znajomych, przyjaciół

eprasa.pl c6242adf39

Urodziłem się na Salwatorze. Mieszkaliśmy blisko klasztoru norbertanek. Z tamtych lat pamiętam śmigusy-dyngusy. Naprzeciwko klasztoru znajdowała się pętla tramwajowa. W starych wagonach okna niemal zawsze były otwarte, co oczywiście nie umykało uwadze grupom chłopców. Z wiadrami w rękach czekali na moment, by obficie oblać wodą zaskoczonych pasażerów.

Potem los rzucał mnie w różne części Krakowa. Mieszkałem m.in. na osiedlu Wiśniowym na Prądniku Czerwonym. Nazwano je tak nie bez powodu – dawniej szumiały tam sady wiśniowe, a sam Prądnik słynął z niezwykle urodzajnej ziemi. Z okien mieliśmy widok na rzekę Białuchę, za którą rozciągały się małe, urokliwe gospodarstwa rolne. W ciągu zaledwie kilku lat sielski krajobraz zniknął, a w jego miejsce wybudowano blok przy bloku.

Kolejny przystanek: ul. Kopernika, tuż obok Ogrodu Botanicznego. To było życie pośród szpitalnych klinik. Codzienność upływała tam pod znakiem totalnego braku miejsc parkingowych dla pacjentów i personelu. Od wczesnego ranka pod oknami kłębił się tłum ludzi, a samochody rozpaczliwie usiłowały wcisnąć się w każdy wolny centymetr. Spokój nastawał dopiero wieczorami.

Zupełnie inaczej zapamiętałem ul. św. Jana, zaledwie 300 m od Rynku Głównego. Kochałem tamtejsze poranki, gdy mogłem spacerować po zupełnie opustoszałym Rynku – to piękny i niestety rzadki widok. Latem, by schłodzić mieszkanie, musieliśmy otwierać okna. Akustyka starych kamienic okazała się bezlitosna. O godz. 3.00 regularnie budził nas łomot beczek z piwem, toczonych do pobliskiego pubu. Nocami pod oknami przetaczały się grupy pijanych, głośno śpiewających Anglików. Raz spędziliśmy tam sylwestra – huk petard na rynku, potęgowany przez śmigłowiec, bez przerwy krążący nad głowami, przypominał odgłosy regularnej wojny. O świcie na Rynek wyjechały spychacze, by zgarnąć zwały rozbitego szkła.

W tamtych czasach Planty nie przypominały dzisiejszych zadbanych alejek. Normą były porzucone butelki po alkoholu i śpiący na ławkach, nierzadko agresywni ludzie. Na podwórku naszej kamienicy znajdowaliśmy czasem zużyte strzykawki z igłami po narkotykach. Aby

TEKST I ZDJĘCIA
PIOTR SŁABEK

w ogóle wjechać w te rejony samochodem, potrzebne było specjalne zaświadczenie od administratora kamienicy, potwierdzające, że parkuje się na terenie posesji. Mimo to za każdym razem trzeba było się gęsto tłumaczyć policjantom, jakim prawem chce się wjechać niemal na sam Rynek. Nawet wjazd w bramę był wyliczony co do centymetra – zostawało może po 5 cm luzu z każdej strony. Gdy znajomi dowiadywali się, gdzie mieszkam, wielu zazdrościło mi tej „wspaniałej lokalizacji". Ja widziałem jej drugą twarz.

WIELKA ZMIANA

Przez ponad sześć dekad mogłem z bliska obserwować, jak Kraków się zmienia i pięknieje. Szczególnie fascynująca była metamorfoza całych dzielnic. Do szkoły średniej chodziłem na Kazimierzu. Wtedy była to szemrana, niebezpieczna okolica. Na ul. Szerokiej – specjalnie, by opanować sytuację – utworzono nawet komisariat milicji, a nocne spacery były niebezpieczne. Dziś to jedna z najdroższych, najatrakcyjniejszych turystycznie i pieczołowicie wyremontowanych części miasta.

Podobnie rzecz miała się z Zabłociem. Dawniej, tuż przy Wiśle, rozciągała się

opustoszała, zapomniana i niszczejąca dzielnica fabryk-widm, magazynów oraz składów drewna i węgla. Mało kto mieszkał w tej okolicy. Sam jeździłem tam, by kupować deski w jednym ze składów budowlanych. Dziś Zabłocie to jedno z najbardziej atrakcyjnych miejsc w Krakowie – kulturalne i architektoniczne „serce postindustrialne", które z powodzeniem łączy surowy, fabryczny klimat z nowoczesnym stylem życia.

Teraz mieszkam na Podgórzu, w rejonie Starego Prokocimia. To historyczne tereny dawnej kolonii kolejarskiej, położone rzut beretem od stacji Kraków Prokocim. Letnie upały są tu znacznie mniej uciążliwe niż na Starym Mieście. Nasza kamienica stoi w otoczeniu dużego ogrodu, dzięki czemu mamy wiele kojącej zieleni. Nieco dalej rozciąga się Park im. Anny i Erazma Jerzmanowskich – jeden z najpiękniejszych zabytkowych terenów w mieście z odnowionym, eklektycznym pałacem. Okolica jest spokojna, choć w tle nieustannie mruczy hałaśliwa ul. Wielicka.

KRYZYS MIESZKANIOWY I TURYSTYCZNY BIZNES

Patrząc na Kraków z perspektywy lat, nie mam wątpliwości: miasto wypiękniało, wygląda na zadbane. Stało się turystyczną wizytówką Polski w świecie. W rozmowach ze znajomymi jak bumerang powraca jednak fundamentalne pytanie: za jaką cenę odbyło się to wszystko? Czy podobnego, wspaniałego efektu nie dało się osiągnąć mniejszym kosztem? Czy pieniądze z naszych podatków były wydawane rozsądnie i gospodarnie? Kto to kontrolował, kto rzeczywiście konsultował te decyzje z lokalną społecznością i – wreszcie – kto najwięcej zarobił na realizacji tych wszystkich atrakcyjnych inwestycji? Może przyciągających cudzoziemców, ale czy najważniejszych dla mieszkańców? Bo postawienie na turystykę miało konsekwencje.

Kraków stał się jednym z najdroższych miast w Europie pod względem relacji zarobków do cen nieruchomości. Średnie ceny metra kwadratowego na rynku pierwotnym bardzo poszybowały w górę, a koszty wynajmu drenują portfele młodych ludzi, wypychając ich na obrzeża lub poza granice miasta. Czy tak musi być? Niekoniecznie. Spójrzmy choćby na Wiedeń,

eprasa.pl c6242adf39

który kontroluje ponad 60 proc. całego rynku mieszkaniowego. W zasobach stolicy Austrii znajduje się ok. 220 tys. mieszkań komunalnych oraz ponad 200 tys. subsydiowanych mieszkań spółdzielczych. Czynsze są tam regulowane i umiarkowane, dzięki czemu klasa średnia i ubożsi obywatele nie są wypychani poza miasto.

Kraków posiada zaledwie ok. 11 tys. mieszkań. Nie buduje nowych osiedli, a rynek został zdominowany przez prywatnych deweloperów. Powołane w latach 90. ub.w. Towarzystwo Budownictwa Społecznego (TBS) miało poprawić sytuację. W Krakowie ten system uległ jednak głębokiej deformacji. Powstało łącznie zaledwie kilka tysięcy mieszkań, co niewiele zmieniło. Czynsze były wysokie, bo doliczano do nich koszty kredytu. Dopiero pod koniec 2025 r. miasto powołało miejską spółkę SIM (Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa), która jest następcą TBS, ale te inwestycje dopiero raczkują.

Na oficjalnych listach w kolejce do mieszkań socjalnych czeka się w Krakowie średnio od 3 do nawet 10 lat. Szansę mają niemal wyłącznie osoby w skrajnie trudnej sytuacji życiowej, dotknięte bezdomnością, chorobami lub wyeksmitowane z innych budynków.

Alternatywny program „mieszkanie za remont", w którym lokator odnawia zrujnowany miejski pustostan na własny koszt w zamian za tani czynsz, był ratunkiem dla zdesperowanych, ale zainteresowanie okazało się tak ogromne, że o przyznaniu lokalu przy niemal identycznej liczbie punktów decydują ułamki dochodu lub dosłownie minuty i sekundy, w których wniosek wpłynął do urzędu.

Hanna (31 lat, specjalistka ds. marketingu, wynajmuje mieszkanie): – Kraków przestaje być miastem dla ludzi, którzy tu pracują, a staje się luksusowym skansenem dla inwestorów i turystów. Urodziłam się tutaj, tu studiowałam, zarabiam powyżej średniej krajowej, ale kupno własnego mieszkania w promieniu 10 km od centrum jest dla mnie nierealne. Ceny u deweloperów są oderwane od polskiej rzeczywistości zarobkowej. Dawne żywe dzielnice, jak Kazimierz czy Podgórze, po prostu umierają na naszych oczach. Warzywniaki, zakłady szewskie i małe punkty usługowe są masowo likwidowane, bo czynsze są za wysokie. W ich miejsce powstają wyłącznie sieciowe sklepy i kolejne apartamenty na wynajem krótkoterminowy, bary i restauracje dla turystów. Jako lokator czuję się tu niepewnie, bo właściciel może podnieść mi czynsz. Miasto chwali się nowymi bulwarami i odnowionymi elewacjami, ale co mi po ładnym widoku, skoro połowa mojej pensji idzie na opłacenie mieszkania?

BUDOWNICTWO BEZ WYOBRAŹNI

Drugim problemem jest jakość przestrzeni publicznej. Przez lata pozwalano na realizację agresywnej polityki deweloperskiej. Efektem jest wszechobecny beton, wciskanie bloków „okno w okno", częściowe zabudowanie (szacowane przez ekspertów na 40–60 proc.) obszarów (klinów) napowietrzających miasto.

Marcin (42 lata, programista, mieszkaniec nowego osiedla): – Kiedyś szczytem marzeń było nowoczesne mieszkanie na nowym osiedlu. Dziś te osiedla to podręcznikowe przykłady tzw. betonozy i urbanistycznego chaosu. Deweloperzy wycisnęli z działek każdy metr kwadratowy. Podziemne hale garażowe oznaczają, że nad nimi mamy tylko kilkunastocentymetrową warstwę ziemi – nigdy nie urośnie tam duże drzewo, które da cień w upalne lato. W lipcu i sierpniu nasze osiedla zamieniają się w wyspy ciepła, gdzie beton oddaje temperaturę długo po północy. W te upalne dni zderzamy się też z kolejną krakowską codziennością – technologicznym fetorem. Wystarczy wyższa temperatura, by z oczyszczalni ścieków zaczął unosić się smród. Urzędnicy latami bezrefleksyjnie wydawali pozwolenia na budowę bloków tuż obok takich zakładów, a dziś rozkładają ręce i mówią, że w Polsce nie ma „ustawy zapachowej". Kraków leży w geograficznej niecce, naturalna cyrkulacja powietrza jest tu fatalna.

Tracimy prywatność, widząc w oknach sąsiada z przeciwka. Deweloperzy gęsto stawiają bloki przy starych, wąskich, niedrożnych drogach, projektowanych kiedyś dla domów jednorodzinnych. Wyjazd i powrót z pracy to drogowy koszmar, strata kilku godzin.

Miasto próbuje ratować sytuację programami typu „zielone ulice" czy spektakularnym sadzeniem drzew na Rynku Głównym. W okresie międzywojennym oraz tuż po II wojnie światowej rosło ich ponad 170. OK, drzewa na rynku będą fajnie wyglądać, mogą być również atrakcją turystyczną. I tyle. A koszty? Oficjalny przetarg ogłoszony przez Zarząd Zieleni Miejskiej w Krakowie wycenia całe zadanie – polegające na wprowadzeniu zaledwie 30 nowych drzew na płytę główną – na ok. 3,5 mln zł brutto, czyli posadzenie jednego stałego drzewa na krakowskim rynku kosztuje średnio ponad 116 tys. zł! Urzędnicy tłumaczą, że to nie koszt samej sadzonki, lecz badań archeologicznych, skomplikowanej inżynierii podziemnej, donic antykompresyjnych i systemu, który ma chronić zabytkowe podziemia. Myślę sobie, że to chyba jakieś złote jabłonie, które rodzą złote jabłka dla wybranych wykonawców. Przy takich cenach pojedynczych projektów gigantyczna dziura budżetowa miasta przestaje mnie już dziwić.

Zbyszek (58 lat, inżynier budownictwa): – W Krakowie stworzono patologiczny mechanizm: najpierw pozwala się deweloperowi postawić potężne, gęste osiedle na tysiące mieszkań, a dopiero dekadę później zaczyna się myśleć o konsekwencjach takiej inwestycji. Jaskrawym przykładem jest tu osiedle Złocień.

eprasa.pl c6242adf39

Dramat polega również na tym, jak zaprojektowano odwodnienie pobliskiej autostrady A4. W czasie ulew ta potężna betonowa trasa działa jak gigantyczny lejek. Wody z autostrady są zrzucane bezpośrednio do niewielkiej rzeki Serafy. Koryto potoku w kilkanaście minut napełnia się falą zrzutową z autostrady i woda po prostu nie ma dokąd ujść. Wystarczy jedna gwałtowniejsza ulewa, a studzienki nie nadążają z odbieraniem wody, która wlewa się do piwnic i podziemnych garaży. W czasie podtopień woda zalewa stare i wąskie drogi dojazdowe, sprawiając, że osiedle jest odcinane od reszty świata. Miasto chwali się nowoczesnością, ale dla ludzi brodzących po kolana w wodzie we własnym garażu to czysty, urzędniczy cynizm.

WIDMO GIGANTYCZNEGO DŁUGU

Krakowianie coraz głośniej pytają o transparentność finansową. Całkowity budżet miasta przekroczył astronomiczną barierę 11,4 mld zł, ale równolegle nad Krakowem wisi widmo potężnego zadłużenia. Mieszkańcy czują, że dziura budżetowa jest łatana ich kosztem poprzez ukryte podwyżki opłat za parkowanie, wywóz śmieci czy bilety komunikacji miejskiej, podczas gdy biurokracja w ratuszu puchnie w bezprecedensowym tempie.

Jacek (61 lat, ekonomista, przedsiębiorca): – Jako człowiek operujący na liczbach nie potrafię zrozumieć polityki finansowej tego miasta. W ciągu ostatnich 20 lat liczba etatów w samym Urzędzie Miasta Krakowa wzrosła o ponad 60 proc., osiągając rekordowy poziom 3360 pracowników. Koszty utrzymania tej machiny w najnowszym budżecie to ponad 500 mln zł!

U nas każda kolejna ekipa polityczna przychodziła z hasłami odchudzania biurokracji, po czym tworzyła nowe wydziały i spółki córki. Oszczędności powinny zacząć się w gabinetach magistratu, a nie w kieszeniach podatników.

EKOLOGICZNY RADYKALIZM I BEZPIECZEŃSTWO

Kraków zapisał się na kartach historii jako pierwsze miasto w Polsce, które w 2019 r. wprowadziło całkowity zakaz palenia węglem i drewnem. Choć decyzja ta przyniosła spadek liczby dni smogowych, to restrykcyjne przepisy obejmujące zakaz użytkowania nowoczesnych, ekologicznych kominków na wyselekcjonowane drewno budzą poczucie niesprawiedliwości, szczególnie w zderzeniu z europejskimi standardami.

Irena (69 lata, emerytowana nauczycielka): – Decyzja o walce ze smogiem była koniecznością, bo powietrze w Krakowie nas zabijało. Jednak posunięcie się do całkowitego zakazu palenia dobrze wysuszonym, certyfikowanym drewnem w nowoczesnych kominkach spełniających unijne normy uważam za pójście na łatwiznę przez urzędników. W Niemczech czy Austrii podejście jest inne – tam liczy się technologia i odpowiedzialność. Jeśli masz nowoczesny kominek i palisz odpowiednim dobrze wysuszonym drewnem, nikomu to nie przeszkadza. W Krakowie wprowadzono odpowiedzialność zbiorową, bo miasto uznało, że nie ma narzędzi ani ludzi, by kontrolować, czym obywatele palą w kominkach. To pozostałość komunistycznego myślenia o obywatelach. Założyli sobie, że tego nie da się sprawdzić, więc ludzie na pewno będą spalać w kominkach śmieci i stare opony. To uderza w uczciwych. Ludzie zainwestowali w nowoczesne kominki, instalacje rozprowadzające ciepło, a teraz okazuje się, że to wyrzucone pieniądze. Wokół Krakowa – w tzw. obwarzanku gmin ościennych – kominy dymią w najlepsze. Zimą ten trujący pył i tak nawiewa nad nasze głowy.

Jest jednak coś jeszcze. Żyjemy w czasach, gdy bezpieczeństwo kraju jest realnie zagrożone konfliktem zbrojnym. Widzimy, co się dzieje za naszą wschodnią granicą – gaz jest używany jako broń polityczna, a sieci ciepłownicze i elektrownie są głównym celem brutalnych ataków. Wystarczy jeden sabotaż, jedna celna rakieta lub dron w elektrociepłownię w Łęgu albo paraliżujący cyberatak na systemy sterowania, by w środku mroźnej zimy tysiące Krakowian w blokach zostało bez ogrzewania i prądu. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by zrozumieć, że w takim kryzysowym scenariuszu własny, tradycyjny kominek z zapasem suchego drewna jest o wiele bardziej stabilnym i bezpiecznym rozwiązaniem niż podatna na atak miejska sieć.

Krzysiek (68 lat, emerytowany inżynier energetyk): – Nie ma profesjonalnych, hermetycznych schronów dla mas ludności. Podziemia planowanego metra miały posłużyć za schrony. Czy jednak ta inwestycja w ogóle powstanie? Wielu obawia się, czy dożyje tej chwili. Przeciętnemu cywilowi pozostaje jedna zasada: radź sobie sam. Spakuj własny plecak ewakuacyjny i ucz się podstaw survivalu.

* * *

Kraków jest dziś pełen sprzeczności. Z jednej strony to zachwycające, dynamicznie rozwijające się miasto, które potrafi się pięknie pokazać, zadbać o swój wizerunek i przyciągać miliony turystów. Z drugiej strony – nie dba należycie o swoich mieszkańców. Ich codzienność staje się coraz trudniejsza – to życie w tłumie turystów pod presją cenową i podatkową.

Głosy Krakowian stanowią wyraźny sygnał dla każdej nowej władzy: to czas na poważne i odpowiedzialne traktowanie obywateli. Mieszkańcy oczekują transparentności przepisów i przede wszystkim gospodarności. Chcą, aby miasto w pierwszej kolejności służyło tym, którzy żyją w nim na co dzień.

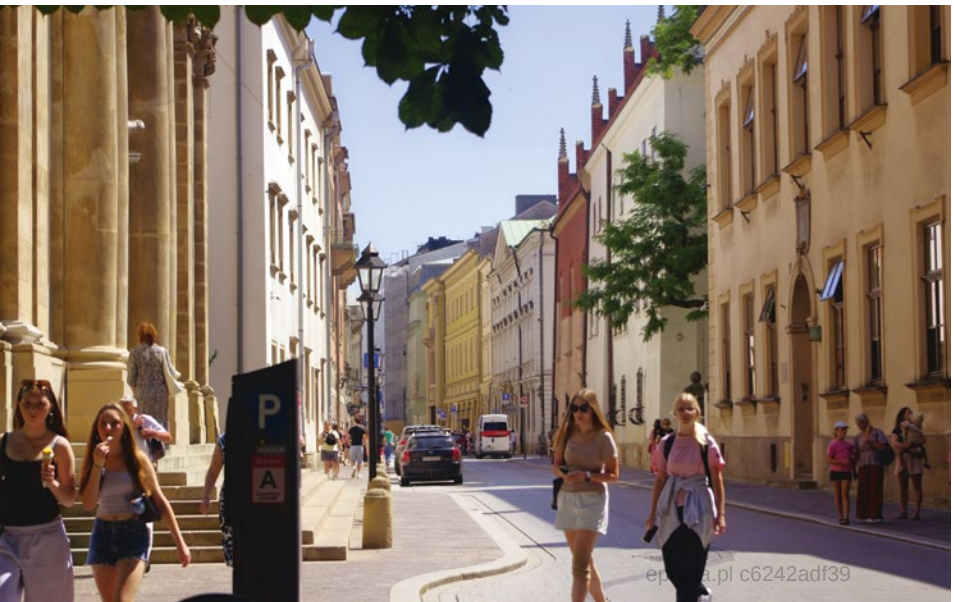

epr.pl c6242adf39

Triumf konserwatyzmu zdrowego rozsądku

Wywiad, który słynny amerykański dziennikarz Tucker Carlson przeprowadził z Jacobem Rees-Moggiem, brytyjskim politykiem i byłym posłem, stał się hitem w internecie. To o tyle interesujące, że temat rozmowy nie był łatwy. Mieliśmy bowiem do czynienia ze starciem dwóch konserwatyzmów

GORAN ANDRIJANIĆ

Pierwszym z konserwatyzmów jest ten klasyczny, europejski, zbudowany na filozofii „common sense", zakorzeniony w tradycji i historii. Drugi to ten amerykański, który swoje zalety i moc próbuje zbudować na sile emocji oraz szybkich, często powierzchownych (w tym konkretnym przypadku aż absurdalnie powierzchownych) argumentów.

Tucker Carlson, człowiek, który od kilku lat jest głównym obrońcą i orędownikiem interesów Rosji na amerykańskiej scenie konserwatywnej, chciał przeprowadzić wywiad, w którym przedstawiłby brytyjskiego torysa Jacoba Rees-Mogga jako „podżegacza wojennego".

BRYTYJCZYK WYZWANY NA POJEDYNEK

Wszystko zaczęło się od filmu, który polityk, od dawna aktywny jako komentator w różnych mediach, opublikował na swoim kanale na YouTube.

Rees-Mogg typowym dla siebie precyzyjnym stylu wyjaśnia w nim fakt oczywisty dla każdego rozsądnego człowieka – istnieje bardzo realne prawdopodobieństwo, że imperializm Kremla zmusi Wielką Brytanię do wojny w ciągu najbliższych kilku lat. Dlatego dobrze by było, gdyby Londyn przygotował się na tę ewentualność już teraz, zarówno poprzez zakup broni, jak i zwiększenie liczby żołnierzy gotowych do walki.

Carlson, który od miesięcy broni tezy, że Zachód chce sprowokować eskalację konfliktu z Rosją i świadomie działa w tym kierunku, krytykował na swoich kanałach Brytyjczyka, a potem zorganizował z nim wywiad. Prawdopodobnie liczył na to, że publicznie upokorzy go jako „jastrzębia", pełnego irracjonalnej nienawiści wobec rosyjskiego reżimu i niewrażliwości na los zwykłych ludzi.

Ten pomysł dziennikarza należy przypisać jego nieznajomości charakteru i działalności Rees-Mogga. Amerykanin prawdopodobnie doszedł do wniosku, że Anglik jest politykiem, który poza eleganckim akcentem i manierami nie ma niczego do zaoferowania.

Prawda jest jednak zupełnie inna i wie o tym każdy, kto w ciągu ostatnich 20 lat poświęcił więcej niż 5 minut przemówieniom Rees-Mogga. Jest on w istocie jednym z najciekawszych polityków Partii Konserwatywnej już od dłuższego czasu, który m.in. piastował, choć krótko, stanowisko ministra w dwóch rządach torysów. Przez pewien czas Rees-Mogg był również rozważany jako potencjalny nowy lider konserwatystów, ale jak twierdzą niektórzy, szansa na to przepadła, gdy polityk powiedział w programie telewizyjnym, że jako katolik jest przeciwny aborcji i małżeństwom osób tej samej płci. Te wypowiedzi wywołały negatywną reakcję nawet w samej Partii Konserwatywnej (co dowiodło, że torysi również tracą wiele ze swojej konserwatywnej tożsamości), a lewicowy „The Guardian" opublikował wówczas felieton, w którym określił polityka mianem „faszysty".

Daleki od bycia „wytwornym idiotą", jak niektórzy go określali po jego wypowiedziach na temat zagrożenia ze strony Rosji, Rees-Mogg jest politykiem, który wyraża wszystko, co dobre, co wciąż istnieje w angielskim konserwatyzmie – politykę opartą na zdrowym rozsądku, lojalność wobec podstawowych wartości, na których zbudowana jest nasza cywilizacja i co nie mniej ważne – poczucie humoru oraz pewien dystans wobec siebie.

Oprócz tego Rees-Mogg jest również politykiem, który doskonale wie, jak działają „nowe media" (on, jego żona i sześcioro dzieci byli nawet przez krótki czas bohaterami reality show na Discovery Channel) i potrafi je wykorzystać.

Tego dnia w domu Rees-Mogga amerykański dziennikarz miał naprzeciwko siebie osobę, która miała coś do powiedzenia i potrafiła przekazać to w przekonujący sposób. To, co się stało podczas tej rozmowy, trzeba opisać jako „triumf zdrowego rozsądku".

eprasa.pl c6242adf39

Już w pierwszych minutach było jasne, że Tucker Carlson nie pokieruje rozmową w pożądanym kierunku. Zarzucił Rees-Moggowi, że jest podżegaczem wojennym, a Brytyjczyk spokojnie powiedział tylko jedną oczywistą rzecz – Wielka Brytania powinna być przygotowana na wojnę, aby odstraszyć Rosję od ewentualnego ataku.

„Putin chce odnowić potęgę Rosji, która pod wieloma względami jest obecnie krajem w kryzysie: jej gospodarka od lat boryka się z problemami. Od dojścia Romanowów do władzy aż do upadku ZSRR Rosja przez większość tych lat się rozwijała. Potem nastąpił upadek Związku Radzieckiego i Rosja nagle się skurczyła. Wydaje się, że niektórzy Rosjanie postrzegają to jako zdradę historycznego przeznaczenia Rosji. Stąd działania w Gruzji i na Ukrainie" – wyjaśniał Brytyjczyk.

„Jest oczywiste, że Rosja jako mocarstwo posiadające broń jądrową pragnie strefy wpływów. Jej gospodarka jest znacznie większa niż brytyjska" – powiedział amerykański dziennikarz, wykazując się ogromną ignorancją. Carlson jednak od dawna przedstawia Rosję jako kraj odnoszący sukcesy, któremu Zachód zazdrości.

„Nie, jej gospodarka wcale nie jest większa od brytyjskiej. Jest mniejsza. Rosyjskie PKB jest niższe niż Wielkiej Brytanii o około dwie trzecie" – spokojnie wyjaśniał Brytyjczyk. Dodał, że Rosja „mogłaby mieć ogromną gospodarkę, lecz zamiast tego ma niewielką, ponieważ jest skorumpowana i nie zdołała efektywnie wykorzystać swoich zasobów".

Brytyjski polityk przypomniał fakt, o którym dziś na Zachodzie mało kto wspomina: Ukraina miała zagwarantowaną integralność terytorialną, jeśli zrezygnuje ze swojej broni jądrowej, co uczyniła po memorandum budapeszteńskim w 1991 r. Wielka Brytania, USA i inne kraje zachodnie powinny pomóc Ukrainie właśnie z tego powodu – ponieważ atak na nią oznacza naruszenie nienaruszalności integralności państw narodowych.

KŁAMSTWA I MANIPULACJE CARLSONA

Kiedy temat rozmowy zszedł na II wojnę światową, Carlson zaczął wypowiadać niebezpieczne kłamstwa i manipulacje. Bronił tezy, która od pewnego czasu krąży w jednej z części MAGA, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny z Hitlerem bez powodu.

„Adolf Hitler mówił, że 15 proc. Polski było kiedyś Niemcami i zostały one przekazane Polsce na mocy traktatu wersalskiego. Były to niemieckie terytoria zamieszkane przez Niemców. To było jego uzasadnienie. I swoją drogą, to była prawda" – powiedział skandaliczne słowa amerykański dziennikarz. I dalej: „Twierdzenie, iż Hitler po prostu przypadkowo wkroczył do Polski, jest kłamstwem, a wszyscy w to wierzą, bo nic nie wiedzą o rzeczywistych faktach. Prawda jest taka, że Niemcy straciły duże obszary swoich ziem, to rozwścieczyło Niemców. Wielka Brytania nie miała z tym nic wspólnego, a mimo to zniszczyła swoje imperium i własny kraj, walcząc w tej wojnie".

„II wojna światowa była klasyczną walką dobra ze złem. Postąpiliśmy właściwie. W przeciwnym razie mówilibyśmy dziś po niemiecku" – odparował Rees-Mogg.

„Kogo to obchodzi? Jest wielu ludzi w Wielkiej Brytanii, którzy nie potrafią mówić po angielsku. Miło byłoby przynajmniej mieć w swoim kraju jakiś europejski język" – odpowiedział Carlson.

Po chwili brytyjski polityk z wyrazem szczerego zdziwienia na twarzy powiedział do Amerykanina: „Pan jest na granicy bronienia Hitlera. Sądzę, że tak naprawdę nie chce pan tego robić".

Ale kto wie, może Carlson właśnie tego chciał. W końcu sam Rees-Mogg powiedział to w mediach, komentując tę rozmowę. Amerykański dziennikarz interesuje się tylko popularnością i algorytmami w internecie, dlatego mówi rzeczy, o których wie, że wywołają reakcję. I dlatego powtarza główne tezy nazistowskiej propagandy o przyczynach wybuchu wielkiej wojny, całkowicie ignorując fakt, że Niemcy zrealizowali swój plan całkowitego podporządkowania Polski, zabijając 6 mln jej obywateli. Polska ambasada w Waszyngtonie zażądała od Carlsona przeprosin za jego fałszywe stwierdzenia dotyczące historii Polski.

Absurdalny poziom intelektualny Carlsona, który w wywiadzie stwierdził również, że w Rosji istnieje obecnie więcej swobód obywatelskich niż w Wielkiej Brytanii, pokazuje jedną ważną rzecz – ruch MAGA, w niektórych swoich wymiarach, rzeczywiście staje się niebezpieczny i kompromitujący dla globalnej konserwatywnej polityki. To właśnie w tym amerykańskim dziennikarzu ucieleśniają się dwie jego najgorsze cechy – żądza szybkiego zysku, która rodzi powierzchowność i głupotę, oraz radykalny izolacjonizm, który z perspektywy środkowoeuropejskiego konserwatyzmu podważa współpracę z tym ruchem.

Należy zauważyć, że Carlson od dawna jest krytykowany przez otoczenie prezydenta USA. Sam Donald Trump nazwał go kiedyś „przegranym" o raczej ograniczonej inteligencji. Ambasador USA w Polsce Tom Rose również krytycznie odniósł się do wypowiedzi Carlsona w mediach społecznościowych, nazywając dziennikarza „najgroźniejszym demagogiem w Ameryce".

Należy jednak zauważyć, że rozmowa amerykańskiego dziennikarza z brytyjskim politykiem ujawniła dwie perspektywy w globalnym ruchu konserwatywnym, które są niemal nie do pogodzenia. Polska prawica nie powinna mieć wątpliwości, która z nich jej bliższa.

eprasa.pl c6242adf39

Małostkowa zemsta

Rozpoczynają się zapowiadane śledztwa przeciwko politykom i biznesmenom związanym z Viktorem Orbánem. Péter Magyar twierdzi, że Węgry to dziś „kraj miłości", ale rzeczywistość jest zupełnie inna. Królują negatywne emocje, nakręcane przez samego premiera

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Pod koniec sierpnia węgierski parlament wybrał Annę Unger na szefową nowej superagencji: Narodowego Biura Odzyskiwania i Ochrony Mienia (Nemzeti Vagyonszerzési és Vagyoni Hivatal, NVVH). Instytucja ta jest kluczowym elementem antykorupcyjnej inicjatywy rządu TISZY nazwanej „Operacją Czyściec" i ma na celu rozliczenie rządów Viktora Orbána oraz odzyskanie środków publicznych, które zdaniem premiera Pétera Magyara zostały nielegalnie lub nieprawidłowo rozdysponowane.

Bez nadzoru sądowego NVVH może samodzielnie prowadzić śledztwa w sprawie każdego i wszystkiego, co ma związek z pieniędzmi podatników, przejmować całe przedsiębiorstwa na podstawie podejrzeń i ostatecznie je wywłaszczać. Może ona wnosić oskarżenia – podobnie jak prokuratura – a wszystkie agencje państwowe są zobowiązane do współpracy z nią. Dotyczy to organów podatkowych, policji, prokuratury, a nawet służb wywiadowczych. Nie był to wymóg UE, lecz całkowicie niezależny pomysł rządu. Magyar jest bowiem zdeterminowany, by zniszczyć opozycyjny dziś Fidesz i „dorwać", jak podkreślił w parlamencie pod koniec września, „bossa mafii", czyli samego Orbána.

WYROKI MAJĄ BYĆ!

Zapewne dlatego konkurs na dyrektora NVVH wygrała Anna Unger, mało znana lewicowo-liberalna politolog, która przyznała, że jej jedyne doświadczenie w kierowaniu jakąkolwiek organizacją polegało na „prowadzeniu grupy studentów na uczelni". Unger nadrabia brak doświadczenia zaangażowaniem. Będzie zapewne także łatwa do kontrolowania dla rządu. Gdy zasugerowała, że „nie należy oczekiwać, że podczas trwania jej sześcioletniej kadencji zapadną prawomocne wyroki", rzucili się na nią zwolennicy Magyara, którzy poczuli krew. Sam premier oświadczył, że jest oburzony, i obiecał więcej środków oraz personelu dla NVVH. Wyroki mają być! Jak najszybciej.

Już zresztą pod koniec września zaczęły się aresztowania byłych ministrów Fideszu. Miklós Seszták, były minister rozwoju (2014–2018), jest podejrzany o korupcję i przyjmowanie łapówek w wysokości 11 mld forintów (30 mln euro). Grozi mu nawet 10 lat więzienia. Polityk sam zgłosił się na komisariat policji 28 września i został natychmiast zatrzymany.

Fot. Robert Hegedus/MTI via AP/East News

eprasa.pl c6242adf39

Seszták od 2010 r. zasiada w parlamencie, wcześniej odebrano mu więc immunitet. Podobnie jak Balázsowi Hankó, który przez ostatnie dwa lata rządów Fideszu pełnił funkcję ministra kultury. Jest on ścigany za „sprzeniewierzenie" pieniędzy podatników – nie dlatego, że osobiście się wzbogacił, ale dlatego, że na jego polecenie kilku artystów i twórców otrzymało dofinansowanie z Narodowego Funduszu Kultury (NKA), a następnie ci artyści wsparli Fidesz podczas kampanii wyborczej. W czasie, gdy polityk przebywał w prokuraturze, służby przeprowadziły nalot i rewizję w jego domu rodzinnym.

Ostatecznie został wyprowadzony z budynku przy ul. Huszti w Budapeszcie w kajdankach, pod silną eskortą i przewieziony do aresztu w Cegléd. Zdjęcia byłego ministra w kajdankach, brutalnie popychanego przez policjantów, obiegły węgierskie media. I o to zapewne chodzi Magyarowi, który mówił w parlamencie ponownie o „twardych" rozliczeniach z „reżimem Orbána".

Opozycja – dawne partie rządzące Fidesz i KDNP (niewielka partia katolicka) – mówią o „procesach pokazowych" jak „za czasów komunizmu". Viktor Orbán oskarżył Magyara o to, że urządza „polityczny teatr", a jego były doradca Balázs Orbán określił działania rządu jako „polityczne prześladowania w stylu lat 50. XX w.". Stwierdził, że Magyar naśladuje polskich rządzących liberałów, którzy stosowali podobne środki przeciwko swoim przeciwnikom. Kinga Gál, wiceprzewodnicząca Fideszu i europosłanka, nazwała 28 września „czarnym dniem dla węgierskiej demokracji". Oskarżyła premiera o wywieranie presji na policję i prokuraturę. András László, również europoseł Fideszu, stwierdził, że wymiar sprawiedliwości działa na osobiste polecenie Magyara. Dodał, że premier ogłosił zatrzymanie obu byłych ministrów w mediach społecznościowych długo zanim stało się ono rzeczywistością. W skrócie: premier wskazuje, prokuratura i policja wtrącają do aresztu. Według László prokuratura jest całkowicie podporządkowana TISZY, tym bardziej że nie ma ona szefa po tym, jak poprzedni zrezygnował pod presją Magyara w lipcu. Nowego kandydata na prokuratora generalnego, zgłoszonego przez prezydenta Andrása Baka, odrzucił zaś parlament.

Podczas kampanii wyborczej Magyar twierdził, że jeśli wygra, natychmiast zniesie immunitet, argumentując, że nikt go nie potrzebuje. Nie zrobił tego jednak, a kiedy prokuratura zażądała uchylenia również jego immunitetu – w tym samym czasie co Hankó i Sesztáka – był wściekły. Chodzi o incydent z 2024 r., gdy wyrwał mężczyźnie filmującego go w jednym z klubów w Budapeszcie telefon i wrzucił go do Dunaju. Wartość telefonu: 263 euro. Więzienie mu raczej za to nie grozi, ale i tak uznał, że prokuratura „wciąż znajduje się pod wpływem Orbána" i zagroził, że ją „dogłębnie prześwietli".

PRZESŁUCHANIA I ARESZTY

Według politologa Szabolcsa Dulla premier nie przejmuje się oskarżeniami o łamanie prawa i deptanie praworządności. „Obiecywał w kampanii kajdanki oraz kraty i zamierza je dostarczyć, bez względu na koszt" – uważa politolog. Dwóch polityków Fideszu przebywa w więzieniu już od ponad trzech miesięcy, w tym Balázs Bús, były burmistrz dzielnicy Óbuda w Budapeszcie. Prokuratura wzięła na celownik także wielu innych prominentnych osobistości związanych z Fideszem. György Matolcsy, były prezes Węgierskiego Banku Narodowego, został przesłuchany jako podejrzany w sprawie szantażu związanego z odwołaniem menedżera Erste Bank Hungary. Komisja Bezpieczeństwa parlamentu zaprosiła również ministra spraw zagranicznych Pétera Szijjártó na przesłuchanie w sprawie umowy inwestycyjnej z chińskim producentem samochodów BYD. Po wyborach Szijjártó objął stanowisko kierownicze w BYD, co wzbudziło obawy o potencjalny konflikt interesów. Jak odtąd nie wszczęto przeciwko niemu oficjalnego śledztwa. Jak wiadomo, głównym celem Magyara jest sam Orbán. Prokuratura bada, czy można mu postawić zarzuty w związku z tzw. ukraińskim konwojem gotówki. W marcu, w szczytowym momencie kampanii wyborczej, w pobliżu Budapesztu zatrzymano dwóch ukraińskich kurierów, którzy regularnie przewozili pieniądze z Wiednia do Kijowa. Została wówczas skonfiskowana duża ilość gotówki i złota. Obecne władze uważają, iż rząd Fideszu działał wtedy bezprawnie.

Balázs Hankó powiedział dziennikarzom, że „nie można budować państwa w oparciu na zemście", ale jego słowa raczej nie trafią do obecnego premiera. Magyar chwalił się we wrześniu, że 60 proc. Węgrów popiera TISZĘ. To prawda, tyle że w maju było to jeszcze 69 proc., jak wynika z badania instytutu 21 Kutatóközpont. Sondaż wykazał również niewielką poprawę dla Fideszu, który z 23-proc. poparcia w maju zanotował we wrześniu 26 proc. Nadal jest to jednak znacznie poniżej 36 proc. w okolicach kwietniowych wyborów. Największy wzrost odnotowała antyimigrancka prawicowa partia Mi Hazánk – z 6 proc. w maju do 11 proc. obecnie.

Zdaniem ekspertów sukces projektu politycznego TISZA i jego zdolność do utrzymania silnego poparcia społecznego będą zależeć nie tylko od (negatywnych) emocji, które Magyarowi uda się wywołać w społeczeństwie. Węgrzy oczekują przede wszystkim poprawy ich poziomu życia i sytuacji gospodarczej kraju. A o to może nie być łatwo i rząd Magyara już ma na ewentualną porażkę gotową wymówkę. W minionym tygodniu szefowa MSZ i wicepremier Anita Orbán stwierdziła w wywiadzie dla „The Baltic Sentinel", że gospodarki nie da się tak łatwo zreformować ani zmniejszyć zależność energetyczną Budapesztu od Moskwy ze względu na „szerokie wpływy Viktora Orbána".

Komisja Europejska najwyraźniej nie widzi tych wpływów, bo zdecydowała się odblokować 4,2 mld euro zamrożonych wcześniej funduszy unijnych dla Węgier oraz przywrócić program Erasmus dla węgierskich studentów. Za wcześnie, jak uważa grupa europosłów, w tym Zielonych i lewicy. Europoseł Partii Zielonych z Niemiec Daniel Freund powiedział w wywiadzie dla „EUobserver", że „lepsze byłoby bardziej etapowe podejście, a nie wszystko naraz". Według niego „program reform nowego rządu Pétera Magyara wciąż ma długą drogę przed sobą". Freund powiedział, że jest „zadowolony ze zmian, które zaobserwował" po swojej wizycie na Węgrzech 1 października. On i inni europosłowie biorący udział w wizycie stwierdzili jednak, że „istnieją te same zagrożenia korupcyjne, a prawdziwego pluralizmu politycznego wciąż brakuje". „To w dłuższej perspektywie może być powodem do niepokoju" – zaznaczyli. Trudno powiedzieć, czy chodziło im o to, że Magyar ściga swoich przeciwników politycznych zbyt zawzięcie, czy niewystarczająco.

eprasa.pl c6242adf39

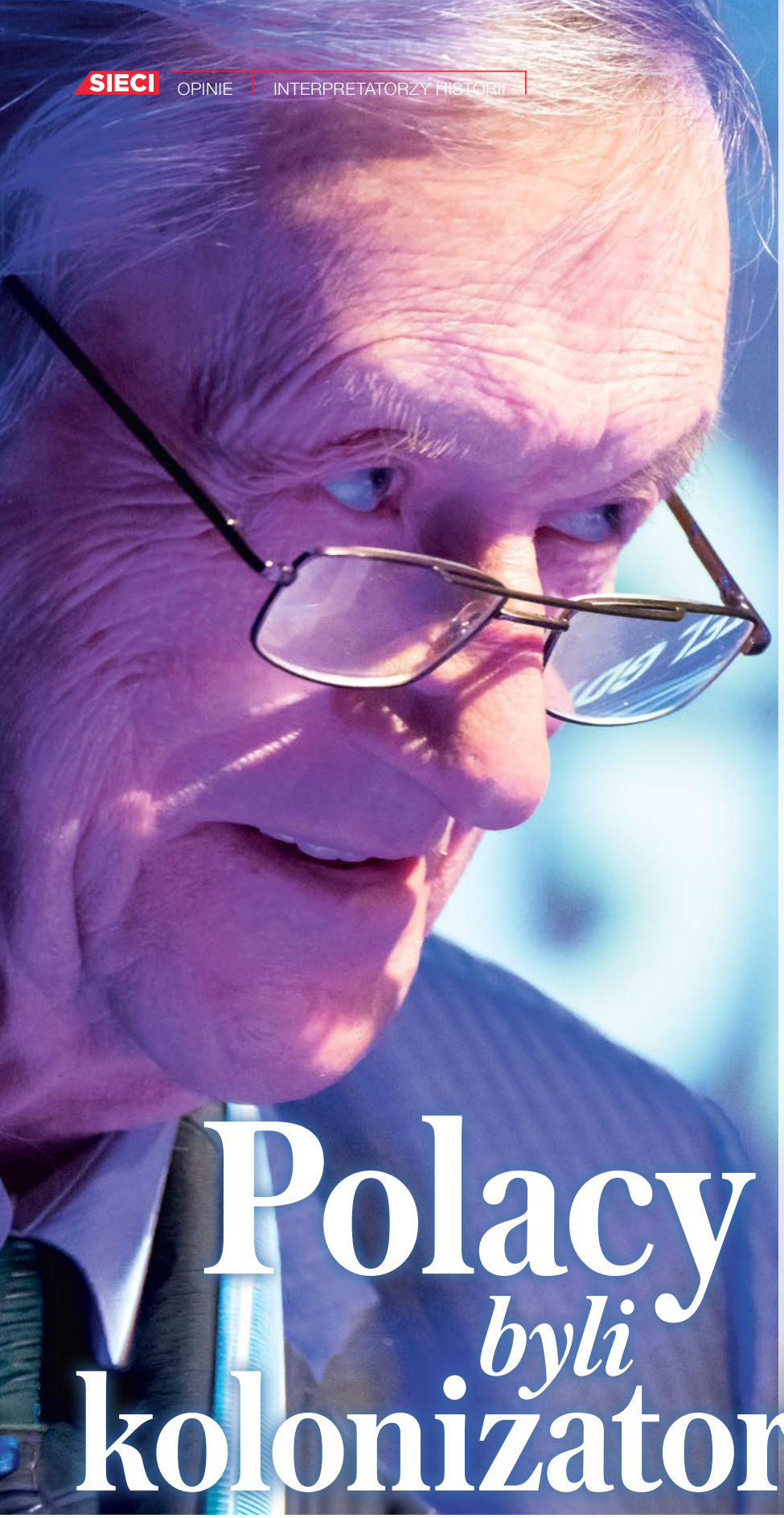

Polacy *byli* kolonizatorami?

„Polacy lubią o sobie myśleć jako o narodzie, który był ofiarą różnych imperializmów. A jednocześnie przez całe wieki Polska traktowała tereny dzisiejszej Ukrainy i Białorusi jak swoje kolonie, terytoria podbite". Kto jest autorem tych słów? Olga Tokarczuk? Przecież według noblistki Polacy robili „straszne rzeczy jako kolonizatorzy, właściciele niewolników czy mordercy Żydów". Ale to nie pisarka wypowiedziała te konkretne słowa o kolonizacji Ukrainy i Białorusi. To Norman Davies, brytyjsko-polski historyk, niegdyś rozsławiający dobre imię Polski na przestrzeni dziejów

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

Daviesową bzdurę z wywiadu dla „Newsweeka" od razu podłapał Komitet Obrony Demokracji, aby pouczać polską prawicę: „Warto, aby tę perspektywę uwzględniali także politycy często odwołujący się do historii – w tym dr Karol Nawrocki".

DWIE TWARZE HISTORYKA?

„Polska była historycznym ośrodkiem antysemityzmu, w związku z czym zasadne jest określanie Polaków mianem antysemitów" – w 1974 r. pod takimi hasłami odbyło się spotkanie w ambasadzie Izraela w Londynie, co prof. Norman Davies ujawniał po latach w wywiadzie dla dziennika.pl, protestując przeciwko takim kłamstwom.

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

eprasa.pl c6242adf39

Wtedy, w latach 70., Davies zaczął wydawać książki o Polsce (inspiracją była żona Polka). Napisał ich wiele, m.in.: „Serce Europy" (krótka historia Polski), „Orzeł biały, czerwona gwiazda" (wojna polsko-sowiecka 1919–1920), „Mikrokosmos" (historia Wrocławia), „Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty". Jego „Powstanie '44" było jedną z najlepiej sprzedających się książek w 2004 r.

Wciąż najbardziej znane pozostaje „Boże igrzysko" (historia Polski w dwóch tomach), wydane po raz pierwszy po angielsku w 1981 r., a w języku polskim w 1989 r. Pozycja zyskała uznanie jako jedna z najlepszych książek historycznych o Polsce napisanych przez niepolskojęzycznych autorów.

To jedna twarz polsko-brytyjskiego historyka. Bo z polskich zalet Davies zaczął robić przywary. I tak np. po początkowej afirmacji powstania warszawskiego stał się przeciwnikiem obchodzenia kolejnych rocznic jego wybuchu. Może to pod wpływem przyjaźni z małżeństwem Brusów, w tym krwawą prokurator Heleną Wolińską-Brus? Czy po zbyt długim obcowaniu ze środowiskiem „Gazety Wyborczej"? Dlaczego Norman Davies wysiadł z tramwaju „polski patriotyzm" na przystanku „samobiczowanie" (rocznicowe upamiętnianie godziny W), w końcu „kolonializm"?

TEŚĆ BIERNYM OBSERWATOREM HOLOKAUSTU?

Wracając do spotkania w izraelskiej ambasadzie w Londynie 52 lata temu – według relacji obecnego tam Normana Daviesa izraelski prof. Jehuda Bauer stwierdził, że w czasie wojny w Polsce były trzy kategorie osób: wykonawcy: „hitlerowcy", „naziści" (w żadnym razie Niemcy), ofiary (wyłącznie Żydzi) i ci, którzy biernie patrzyli (tzw. bystanders).

Na takie *dictum* Davies miał powiedzieć: „Przepraszam, mój teść, Polak, w czasie Holokaustu siedział w dwóch obozach koncentracyjnych – Dachau i Mauthausen. Zapytałem prof. Bauera, czy w związku z tym mój teść był biernym obserwatorem Holokaustu. Usłyszałem, że są wyjątki. Ja na to, że mój teść nie był jedynym Polakiem w obozach koncentracyjnych, tylko miliony Polaków cierpiały, ginęły, więc cały ten schemat nie bardzo pasuje do rzeczywistości".

W wywiadzie dla dziennika.pl Davies ocenił później, że to właśnie od lat 70. takie kłamstwa o Polsce są upowszechniane w krajach zachodnich.

JAK KOŁAKOWSKI, JAK PAWLIKOWSKI

Ale jest jeszcze inny prof. Davies. Gdy w 1999 r. byłem w Oksfordzie, prowadząc reporterskie śledztwo w sprawie żyjącej tam Heleny Wolińskiej-Brus, zadzwoniłem również do Normana Daviesa. Nie mógł się spotkać, ale porozmawialiśmy chwilę przez telefon.

Spytałem profesora, czy zna Wolińską. Odparł, że tak, że to żona innego oksfordzkiego profesora, Włodzimierza Brusa. Stwierdziłem wówczas, że Wolińska to przede wszystkim krwawa stalinowska prokurator, morderczyni zza biurka, winna śmierci gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila" i wielu innych polskich patriotów. Davies odparł, że to niemożliwe. Bo to sympatyczna, starsza pani. Pani profesorowa.

Czy rzeczywiście nie wiedział o przeszłości Wolińskiej? Czy mógł nie wiedzieć? Polacy z Oksfordu, szczególnie ci z pokolenia powojennego, świetnie wiedzieli. A to jednak niewielkie środowisko. Wiedział prof. Józef Garliński, historyk znany w tym polsko-brytyjskim środowisku naukowym. A Norman Davies?

Dopiero później dowiedziałem się, że prof. Davies nie tylko zna prof. Brusa, lecz także przyjaźni się z jego żoną, bywa u Brusów w domu. Podobnie zresztą jak prof. Leszek Kołakowski, który w 2008 r. uczestniczył również w tajnym pochówku Wolińskiej na cmentarzu żydowskim w Oksfordzie, który przyspieszono w obawie przed mediami.

Podobnie jak reżyser Paweł Pawlikowski, który będąc goszczonym przez państwa Brusów na podwieczorkach (znajomość rozpoczęła się od tego, że był studentem prof. Brusa), uczynił z prokurator Wolińskiej-Brus pierwowzór jednej z głównych bohaterek swojego – jak się później okazało, oscarowego – filmu „Ida". Pawlikowski był pod wrażeniem Wolińskiej, tego, „ile osobowości może pomieścić się w jednym człowieku". Dla Polaków z AK, WiN, a szerzej: polskich niepodległościowców pozostała komunistyczną morderczynią w mundurze. Zimną, mściwą zbrodniarką.

SKASOWAĆ ROCZNICĘ POWSTANIA

Aż nadszedł 2015 r., kiedy prof. Davies zaapelował, żeby przestać – w jakiejkolwiek formie – obchodzić rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Powód? Bo w uroczystościach 1 sierpnia – jego zdaniem pogrzebowych – jest za dużo „triumfalizmu, samozadowolenia i samobiczowania". To, że cechy te wzajemnie się znoszą, nie było istotne. To trochę tak – przepraszam za porównanie – jak postulat Joanny Senyszyn, aby zlikwidować 1 marca – Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Z polsko-brytyjskim historykiem prof. Normanem Daviesem polemizował polski historyk, prof. Jan Żaryn: „Pan profesor powinien wiedzieć, że obchody wybuchu powstania warszawskiego są związane z samą godziną W, ale także z tym, co wokół tego wydarzenia działo się w okresie PRL. My, jako naród wolny i niepodległy, próbujemy zadośćuczynić tym, którzy zginęli w czasie walk powstańczych, a przez 50 lat nie mogli być uhonorowani. Kiedy więc mamy to robić, jeśli nie teraz?".

MAMA CZUŁA DUMĘ

Z Normanem Daviesem polemizowała również Hanna Szczepanowska, żołnierz AK, łączniczka w powstaniu: „Położenie akcentu na żałobę w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego jest dużym nieporozumieniem. Przecież ten dzień jest budzeniem się ducha Polaka, który przez wieki swoją rycerskością i walecznością bronił niepodległości naszego kraju. 1 sierpnia 1944 r. chodziło nam, powstańcom, o to samo. To nie jest więc pogrzeb, ale przypomnienie ducha walki, który nam wtedy towarzyszył. Cieszę się, że młodzież, która jest z nami 1 sierpnia, rozumie to tak samo jak my". Na koniec druhna Szczepanowska (rocznik 1929) wspomniała swój 1 sierpnia 1944 r.: „Tuż przed powstaniem poszłam pożegnać się z matką, ta nawet nie drgnęła. Wyciągnęła tylko rękę do pocałowania, bo wtedy taki był zwyczaj, tak jakbym szła do szkoły. Kiedy po latach zapytałam ją, co wtedy czuła, kiedy jej 15-letnia córka szła na wojnę, odpowiedziała, że czuła dumę. I to jest ważne".

Co zastanawiające, kilka lat wcześniej Davies tak pisał o powstaniu warszawskim: „Dziwne jest jednak to, że prawie wszyscy polscy krytycy powstania opierają swoje

eprasa.pl c6242adf39

oskarżenia niemal wyłącznie na błędach Polaków. [...] Aż nazbyt często zapomina się, że powstańcy z 1944 r. nie byli w takiej samej sytuacji jak ich poprzednicy z lat 1794, 1830–1831 czy 1863, prowadzący samotną walkę z wrogiem narodu. Bojownicy z Armii Krajowej byli częścią międzynarodowej koalicji, która podjęła zobowiązanie wspólnej walki z wrogiem, i wobec tego działania owej koalicji należy poddać najbardziej szczegółowej analizie".

Ta szczegółowa analiza wychodziła – w największym skrócie – fatalnie dla koalicjantów i dobrze dla Polaków. Co się zatem stało z Normanem Daviesem, także w kwestii jego stosunku do powstania warszawskiego?

NIE JEST ORYGINALNY

Dwa lata po wyborczym zwycięstwie PiS prof. Norman Davies tak oceniał rządzącą partię (w wywiadzie dla gazeta.pl): „Niezadowolenie, które wyniosło PiS do władzy, zaczęło się w Kościele. Dewocja połączyła się z trucizną polityczną i zbiera w wyborach żniwo. Radio Maryja działa nie tylko w eterze". I dalej: „Takich ludzi jak Kaczyński i jego otoczenie Piłsudski wsadzałby do więzienia [...]. Za działalność antypaństwową, za manipulacje, za awantury z sąsiadami".

Przyznają państwo, że w swoich ostatnich poglądach o polskim złym genotypie Davies nie jest ani odosobniony, ani nawet oryginalny.

Wróćmy do cytowanej na wstępie Olgi Tokarczuk (w 2015 r., po zdobyciu Literackiej Nagrody Nike, ufundowanej przez „Gazetę Wyborczą"): „Robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów". Przecież Davies, przynajmniej w kwestii kolonializmu, niemal skopiował słowa Tokarczuk. Prócz nagrody była pochwała Adama Michnika za „odwagę mówienia o sprawach trudnych, często bolesnych". Czy Michnik chwali również Daviesa?

Ale czy takie oskarżenia wobec Polaków – o to, że byli kolonizatorami, właścicielami niewolników i mordercami Żydów – poprzez zastosowanie krzywdzącego uogólnienia nie są kłamstwem historycznym? Próbą zastosowania odpowiedzialności zbiorowej? Mową nienawiści wobec Polski i Polaków, będącą podstawą odpychającej i karalnej postawy antypolonizmu? Norman Davies jako historyk powinien o tym wszystkim wiedzieć (wiedział w 1974 r., broniąc Polaków przed kłamliwym zarzutem antysemityzmu!). Dlaczego zatem w dzisiejszej debacie o polskiej historii i polityce stoi po stronie michnikowszczyzny?

„NOWA POLSKA SZKOŁA HISTORII HOLOCAUSTU"

Podobną kampanię nienawiści (również na łamach „GW") od lat prowadzi paszkwilant Jan Tomasz Gross czy przejmujący od niego antypolską pałeczkę inny Jan: Grabowski (jako podatnicy wciąż składamy się na jego pensję w Polskiej Akademii Nauk). Ten ostatni polski antysemityzm pogromowy skonkretyzował liczbą 200 tys. zamordowanych Żydów. I brnie w to dalej, mimo opinii polskich naukowców, m.in. „Grabowski nie przestrzega podstawowych zasad rzetelności badacza".

> Norman Davies wpisuje się dziś w ten sposób przedstawiania Polski, który reprezentują Tokarczuk, Grabowski, Bartoszewski czy Brus i Wolińska

Powstała nawet „nowa polska szkoła historii Holocaustu", do której – oprócz dwóch wspomnianych prowodyrów – dumnie zaliczają się choćby Barbara Engelking, Jacek Leociak czy Joanna Tokarska-Bakir. W 2015 r. na łamach niemieckiego „Die Welt" Jan Tomasz Gross bredził, że podczas II wojny światowej „Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców". A Grabowski i Engelking w „dziele" pt. „Dalej jest noc" bajdurzyli, że „dwóch spośród każdych trzech Żydów poszukujących ratunku zginęło – najczęściej za sprawą swoich sąsiadów, chrześcijan".

Nie można pomijać innych klasyków znad Wisły. Lata temu w TOK FM Władysław Bartoszewski, pytany o powstanie warszawskie, odciął się od „samobójczej walki". Ale w końcu nic dziwnego, bo w czasie okupacji „profesor" bardziej niż Niemców bał się Polaków, co ogłaszał we wspomnianym już „Die Welt". I jeszcze Bronisław Geremek z oceną, że Polacy przez swoją anarchię już w minionych wiekach zasłużyli na rozbiory.

Norman Davies wpisuje się dziś w ten sposób przedstawiania Polski, który reprezentują Tokarczuk, Grabowski, Bartoszewski czy Brus i Wolińska. Dlatego, że to jego środowisko, które ma takie właśnie poglądy? Bo taka poprawno-polityczna narracja jest właściwa? Bo pozwala bezpiecznie płynąć z prądem i wydawać swoje książki w największych wydawnictwach?

ZACZADZENI DAVIESEM?

A może my wszyscy daliśmy się zaczadzić Daviesowi? W tym kontekście przytoczę opinię wybitnego polskiego historyka, prof. Janusza Tazbira: „Mamy tu w Polsce kompleks, który nazwałem »kompleksem Timbukt«. Mianowicie wystarczy, żeby ktoś napisał coś o Polsce w obcym języku, zaraz się to tłumaczy, choćby książka była grubo głupsza od tego, co się u nas pisze. Cieszymy się, że ktoś się nami zajmuje... Ja sobie nie wyobrażam, żeby ktoś w Polsce napisał historię Anglii z błędami i żeby została ona przetłumaczona w Anglii. [...] Czy czytaliście u Daviesa, skąd się wzięła nazwa »szlachta zaściankowa«? Otóż ten mędrzec pisze, że szlachta budowała się między chłopami i wznosiła takie wysokie ściany, żeby się od chłopów odgrodzić. Pan Davies twierdzi też, że magnaci polscy postępowali nie fair, bo w walkach w XVII wieku używali oddziałów uzbrojonych czarownic! Słowo daję! Gdyby coś takiego napisał Polak, to na długie lata byłby narodowym pośmiewiskiem!".

Przypomnę jeszcze tekst Michała Cichego, historyka „Gazety Wyborczej", na 50. rocznicę powstania warszawskiego: „Jednym z celów powstańców było mordowanie Żydów". Ta teza jest sztandarowym przykładem kłamstwa III RP o warszawskim zrywie 1944 r. Taka akcja robienia z nas narodu idiotów i morderców trwa do dziś. Ale Polacy nie gęsi i nie tylko swój język mają, lecz także historię coraz lepiej znają. Też dzięki prof. Normanowi Daviesowi – mimo iż dziś Davies stoi po drugiej stronie barykady.

eprasa.pl c6242adf39

Powracające opowieści,

czyli jak tłumaczono współpracę z SB

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Przez lata polscy politycy tłumaczyli swoje kontakty z komunistyczną bezpieką na różne sposoby. Pojawiały się zaprzeczenia, opowieści o prowokacji, szantażu, grze operacyjnej czy kontaktach mających rzekomo zupełnie inny charakter, niż wynikałoby to z dokumentów. Sprawa Lecha Wałęsy zyskała właśnie nowy, zaskakujący wątek: prokuratura, umarzając postępowanie dotyczące jego zeznań, uznała, że w latach 70. ub.w. miał on poważne problemy z pisaniem

Przez lata spór o Wałęsę obracał się wokół pytań, czy dokumenty „Bolka" zostały sfałszowane, kto je sporządził i czy Wałęsa współpracował z SB. Teraz nagle prokuratura uważa, że w latach 70. ub.w. był on wtórnym analfabetą, więc nie mógł pisać donosów, a Wałęsa potwierdza, że przez lata nie trzymał długopisu w ręku.

Przypadek byłego prezydenta nie jest zresztą odosobniony. Historia III RP zna wiele przypadków polityków i osób publicznych, którzy – gdy ujawniano ich związki z komunistycznymi służbami – przedstawiali własne, niekiedy bardzo oryginalne wyjaśnienia. Niektóre znalazły potwierdzenie w późniejszych postępowaniach, inne zostały odrzucone, jeszcze inne do dziś pozostają przedmiotem sporu.

PODWAŻONE EKSPERTYZY

24 września 2026 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła postępowanie przeciwko Lechowi Wałęsie dotyczące podejrzenia składania fałszywych zeznań podczas przesłuchania

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c6242adf39

13 kwietnia 2016 r. Chodziło o jego odpowiedzi dotyczące dokumentów znalezionych w domu Czesława Kiszczaka, znajdujących się w teczkach TW „Bolka". I właśnie tutaj pojawia się argument, który natychmiast przyciągnął uwagę opinii publicznej. Prokuratura napisała w uzasadnieniu, że niektórzy świadkowie wskazywali, iż w latach 70. Wałęsa był „wtórnym analfabetą", słabo czytał i nie posługiwał się pismem. Mało tego, według tych relacji dokumenty, które podpisywał później jako przewodniczący Solidarności, miały być z tego powodu przygotowywane przez inne osoby.

Prokuratura wskazała, że świadkowie opisywali Wałęsę jako osobę, która w tamtym okresie miała problemy z pisaniem dłuższych tekstów. Jednocześnie sama zaznaczyła, że człowiek może nauczyć się składać podpis, nawet jeśli nie potrafi sprawnie napisać długiego tekstu. Dlatego uznała porównywanie wielostronicowych rękopisów z krótkimi zapisami i podpisami za problematyczne. Prokuratura zwróciła uwagę, że ze 136 dokumentów wykorzystanych jako materiał porównawczy Wałęsa potwierdził swoje autorstwo tylko w przypadku 2 podpisów, a przy 5 kolejnych uznał je za bardzo prawdopodobne. Wskazała też na różnicę między materiałem badanym z lat 70. a materiałem porównawczym pochodzącym w dużej mierze z późniejszych dekad.

Saga dotycząca agenturalnej przeszłości Wałęsy trwa od wielu lat. W 2000 r. Sąd Lustracyjny uznał za zgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne, w którym były prezydent RP zaprzeczał, że był „Bolkiem". IPN od lat wskazuje jednak, że ówczesny sąd nie dysponował wszystkimi dokumentami, które później zostały odnalezione lub ujawnione. W 2016 r. w domu Marii Kiszczak odnaleziono m.in. teczkę personalną i teczkę pracy TW „Bolka". Następnie Instytut Ekspertyz Sądowych przeprowadził analizę pisma. W 2017 r. IPN informował, że eksperci uznali za autentyczne m.in. odręczne zobowiązanie z 21 grudnia 1970 r., 29 odręcznych doniesień podpisanych kryptonimem „Bolek", które biegli przypisali Wałęsie, a także 17 pokwitowań odbioru pieniędzy. Teraz prokuratura zdecydowała się zakwestionować wystarczalność materiału porównawczego.

KAŻDY MOŻE OPOWIADAĆ BAJKI

W przypadku Lecha Wałęsy szczególnie uderzające jest to, jak zmieniały się jego wyjaśnienia. W 2008 r. w rozmowie z „Rzeczpospolitą" przekonywał kategorycznie: „Bolkiem nie byłem". Przyznawał, że miał kontakt z bezpieką, ale podczas spotkań mówił funkcjonariuszom tylko to, co chcieli usłyszeć, aby odwrócić ich uwagę i realizować własne cele. W internetowym wpisie z tego samego roku napisał jednak, że podczas przesłuchania w grudniu 1970 r. podpisał „lojalkę", dodając: „Jeśli więc to ma być dowód mojej agenturalności, to bardzo proszę, niech będzie".

Rok później pojawiła się jeszcze inna wersja. Podczas spotkania ze studentami mówił, że jego rola była „dobra i zła", że robił rzeczy dyskusyjne i „być może kogoś wsypał", ale jednocześnie stanowczo zapewniał: „Nie byłem agentem, nie pracowałem na tamtą stronę". Jednocześnie przekonywał, że to on rozpracowywał bezpiekę, a nie na odwrót. Na zarzuty dotyczące pobierania wynagrodzenia za donosy odpowiadał, że regularnie wygrywał w totolotka.

W 2016 r., po ujawnieniu dokumentów z domu Czesława Kiszczaka, kategorycznie oświadczył, że nie współpracował z SB, nie brał pieniędzy i nie dał się złamać. Jednocześnie tłumaczył, że podczas rewizji SB zabrała mu odręczne notatki oraz obszerną relację z grudnia 1970 r., które jego zdaniem mogły później zostać wykorzystane jako „donosy". Kilka dni później pytany, czy gdyby rzeczywiście donosił, przyznałby się do błędu, odpowiedział: „Oczywiście", a następnie zastrzegł, że nawet gdyby uznać te donosy za jego, należałoby najpierw sprawdzić, czy ktokolwiek poniósł konsekwencje z ich powodu.

W 2017 r., już po opinii biegłych, która według IPN przypisywała Wałęsie autorstwo m.in. zobowiązania z 1970 r., 17 pokwitowań i 29 doniesień „Bolka", były prezydent znów mówił jednoznacznie: „Nigdy nie współpracowałem z żadną służbą PRL-u".

Do tego dochodzi najnowsze wyjaśnienie: w 2026 r. Wałęsa zaczął podkreślać swoje ograniczone wówczas możliwości pisania i mówić, że po ukończeniu szkoły przez ok. 15 lat nie miał w ręku długopisu. Nie trzeba nawet rozstrzygać, która z tych wersji jest prawdziwa, by zauważyć zasadniczy problem: w kolejnych latach opowieść o kontaktach z SB przechodziła tyle transformacji, że nawet przy największej wierze w słowa Wałęsy trudno byłoby się połapać, jaka jest prawda.

NIEPRAWDZIWE DOKUMENTY

Wałęsa nie był jedyną osobą, która twierdziła, że obciążające ją dokumenty zostały sfabrykowane. Prawdziwym trzęsieniem ziemi na polskiej scenie politycznej było ujawnienie agenturalnej przeszłości Leszka Moczulskiego. Współzałożyciel i rzecznik ROPCiO, a następnie lider KPN miał być zarejestrowany jako TW „Lech" w latach 1969–1977. W 1992 r. Moczulski znalazł się na tzw. liście Macierewicza. Od początku przekonywał, że obciążające go materiały są sfałszowane. Przyznawał jednak, że spotykał się z oficerami SB. „Nigdy tego nie kryłem; chciałem wiedzieć, czym się interesują" – mówił Moczulski.

Po uchwaleniu ustawy lustracyjnej w 1999 r. jako pierwszy w Polsce złożył do sądu wniosek o tzw. autolustrację. W 2001 r. sąd pierwszej instancji uznał za prawdziwe oświadczenie Moczulskiego, w którym zaprzeczał współpracy z SB, przyjmując, że nawet jeśli kontakty miały miejsce, współpraca była pozorna. Po apelacji sprawa została jednak ponownie rozpoznana. W 2005 r. sąd uznał, że Moczulski w latach 1969–1977 świadomie i metodycznie współpracował z SB jako TW „Lech". Wyrok został następnie utrzymany w drugiej instancji, a Sąd Najwyższy w 2008 r. oddalił kasację. Sąd odrzucił przy tym wersję, według której dokumentacja została sfabrykowana w latach 80. Moczulski nadal utrzymywał jednak, że materiały zostały spreparowane. W 2011 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził naruszenie prawa lidera KPN do rzetelnego procesu w związku z ograniczeniami dotyczącymi dostępu do tajnych akt. W 2018 r. Moczulski wycofał wniosek o autolustrację, a sprawę umorzono.

Nawet gdyby przyjąć tłumaczenia Moczulskiego dotyczące charakteru jego kontaktów z SB, samo utrzymywanie takich kontaktów było ryzykowne. Człowiek przekonany, że to on rozgrywa funkcjonariuszy, mógł przecież nieświadomie przekazywać informacje, które

eprasa.pl c6242adf39

dla służb miały znaczenie. W pracy operacyjnej każdy szczegół mógł być istotny: nazwisko, relacja, zasłyszana wiadomość czy drobna informacja o środowisku opozycyjnym. Każda forma „gry z bezpieką" mogła mieć katastrofalne skutki.

WYWIAD LEPSZY NIŻ BEZPIEKA?

Niektórzy nie szli tak długo w zaparte. Bogusław Wołoszański długo funkcjonował w przestrzeni publicznej przede wszystkim jako popularyzator historii. Według ewidencji IPN w 1985 r. został pozyskany jako kontakt operacyjny o pseudonimie „Ben", przed wyjazdem do Londynu jako korespondent Polskiego Radia i Telewizji. Gdy sprawa stała się publiczna, Wołoszański zaprzeczał, jakoby miał związki ze służbami i zapowiadał kroki prawne. Ostatecznie jednak w swoim oświadczeniu lustracyjnym z 2023 r. potwierdził, że był współpracownikiem wywiadu PRL w rozumieniu ustawy lustracyjnej.

Podczas rozmowy z Polskim Radiem oświadczył, że podpisał zobowiązanie do współpracy, ale nigdy na nikogo nie donosił. „Podpisałem, uznałem bowiem, że jest to wspaniała okazja dla mnie, dla dziennikarza, dla człowieka zajmującego się politologią, wspaniała okazja poznania metod funkcjonowania wywiadu, tajnych służb, okazja, jakiej nigdy nie miałem i jakiej nigdy bym nie miał" — powiedział Wołoszański. Przy okazji zaprzeczył, by współpracował z SB. Jak utrzymywał, współpracował z wywiadem wojskowym, co jego zdaniem miało działać na jego korzyść.

Inną drogą poszedł Andrzej Olechowski, szef MSZ w rządzie Waldemara Pawlaka i współtwórca PO. W 1992 r. jego nazwisko znalazło się na liście osób, które w archiwach MSW figurowały jako współpracownicy służb. Jako jeden z nielicznych polityków centroprawicowych złożył wówczas oświadczenie lustracyjne, w którym przyznał się do współpracy ze służbami specjalnymi PRL. W latach 80. był pracownikiem Banku Światowego. W tym okresie miał współpracować z komunistycznym wywiadem jako TW „Tener" i „Must". Jak ustalił historyk Sławomir Cenckiewicz, Olechowski był kontaktem operacyjnym funkcjonariusza komunistycznej bezpieki Gromosława Czempińskiego, późniejszego szefa UOP. Olechowski przyznał, że miał związki z wywiadem PRL. Nie przedstawiał tego jednak jako klasycznej współpracy z krajową bezpieką wymierzonej w opozycję. Tłumaczył, że był konsultantem wywiadu, a jego kontakty miały dotyczyć przede wszystkim zagadnień gospodarczych podczas pobytu za granicą. W przypadku obu tych historii otwarte pozostaje pytanie, czy współpraca z komunistycznym wywiadem faktycznie jest mniej kompromitująca niż z bezpieką.

SZANTAŻ

Swoją historię inaczej tłumaczył Michał Boni. Europoseł i doradca premiera Tuska został wymieniony jako TW „Znak" na tzw. liście Macierewicza w 1992 r. Przyznał, że podpisał deklarację współpracy z SB, gdy jego nazwisko pojawiło się w kontekście obsady rządu Donalda Tuska. 31 października 2007 r. wydał publiczne oświadczenie, że w 1985 r. Służba Bezpieczeństwa zmusiła go do podpisania deklaracji współpracy za pomocą szantażu. Boni opowiadał o rewizji w mieszkaniu przyszłej żony i groźbach dotyczących ich trzyletniej córki. Mówił, że podpisał deklarację pod presją, ale nie uważał się za rzeczywistego agenta. Jednocześnie przeprosił i powiedział, iż żałuje swojej decyzji. „Jest mi wstyd i żałuję. Przez wiele lat żyłem z presją tego upokorzenia i lęku przed utratą twarzy. W końcu jednak uznałem, że od strachu, upokorzenia i poczucia błędu ważniejsza jest pokora" – mówił.

> Wielu politykom oskarżenia o współpracę z tajnymi służbami PRL nie przeszkodziły w kontynuowaniu karier

Tłumaczenia Boniego nie przekonały Janusza Korwin-Mikkego, który w 2014 r. spoliczkował go podczas zorganizowanego przez MSZ spotkania polskich europosłów. Korwin-Mikke wyjaśniał później, że obiecał taki czyn już dawno temu. „Kiedy w czasie debaty w sprawie uchwały lustracyjnej w 1992 r. Boni wypierał się, że był agentem SB i wyzywał mnie od idiotów, dałem mu słowo i go dotrzymałem" – przekonywał.

PROBLEM Z ARCHIWAMI

W podobnym katalogu spraw znalazły się nazwiska m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego, Włodzimierza Cimoszewicza i Dariusza Rosatiego. W przypadku Kwaśniewskiego zachowały się materiały, według których w latach 1983–1989 był rejestrowany jako TW „Alek" przez Departamenty II i III MSW. W przypadku Cimoszewicza dokumenty IPN pokazują, że w 1980 r., przed dwuletnim wyjazdem do USA na stypendium Fulbrighta, był rejestrowany jako kontakt operacyjny „Carex". Z dokumentów komunistycznej bezpieki wynika również, że Cimoszewicz utrzymywał kontakty z SB po powrocie do Polski w 1983 i 1984 r. Rosati został natomiast – według dokumentacji IPN – pozyskany przez wywiad PRL w 1978 r. i zarejestrowany jako kontakt operacyjny o pseudonimie „Buyer". Cała trójka zaprzeczała, by podejmowała zobowiązanie do współpracy i sporządzała jakiekolwiek raporty dla służb. Sądy również uznawały, że nie ma wystarczających dowodów, aby jednoznacznie orzec o ich działalności agenturalnej. Dowody najprawdopodobniej zostały zniszczone. Oskarżenia o współpracę ze służbami nie przeszkodziły jednak tym politykom w kontynuowaniu karier.

W ciągu kilkudziesięciu lat pojawił się niemal cały katalog sposobów tłumaczenia kontaktów z komunistyczną bezpieką. Wspólny pozostaje jeden element: później politycy niemal nigdy nie opowiadali o kontaktach z aparatem bezpieczeństwa PRL językiem prostym i jednoznacznym. Zrozumiałe, dlaczego. W III RP ujawnienie współpracy z SB mogło oznaczać polityczną katastrofę. W wielu przypadkach stawką była nie tylko kariera, lecz także osobista reputacja i miejsce w historii. Niestety czas pokazał, że dla niewielu osób informacje te okazały się na tyle kompromitujące, by wycofały się z życia publicznego.

eprasa.pl c6242adf39

Obcy w przyrodzie

Szop pracz, nutria czy norka stają się problemem politycznym. Bezwzględnie eliminować czy wydawać pieniądze na sterylizację i przytrzymywanie w azylach? Inwazyjne gatunki obce stanowią poważne zagrożenie dla europejskiej przyrody i rolnictwa

MACIEJ WALASZCZYK

W maju 2018 r. w Nysie po raz pierwszy odnaleziono parkę papug z gatunku aleksandretta obrożna z co najmniej dwoma pisklętami. To średniej wielkości zielona papuga pochodząca z Azji i Afryki, dziś na wolności jest ok. setki przedstawicieli tego gatunku. Okazuje się, że potrafią przetrwać zimę, odwiedzając miejskie karmniki, a do tego zdominować i przepłoszyć nawet wrony czy sroki. Na wolność trafiły dlatego, że ktoś je wypuścił i dziś żyją w wielu krajach w Europie.

Na stronie Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska znajduje się informacja, że aleksandretta obrożna jest uznawana za średnio inwazyjny gatunek obcy, który należy zgłaszać i odławiać. Podczas specjalnej konferencji zorganizowanej w Sejmie przez Zespół ds. Przyrodniczych Ruchu Narodowego dr Rafał Maciaszek z SGGW, prowadzący też znaną stronę internetową Łowca Obcych, zauważył, że gdy po raz pierwszy zlokalizowano je na wolności, stały się jedynie medialną sensacją. Zamiast ich natychmiastowego odłowienia, obserwowano, czy przeżyją i rozmnożą się. „Czekano, ale potem będzie już za późno. Będziemy wydawać dodatkowe środki, by ratować środowisko przed czymś, czemu można było łatwo zapobiec" – podkreślał.

Aleksandretta

OBCY – TO SIĘ ZWALCZA

Inwazyjne gatunki obce (IGO) to rośliny, zwierzęta, patogeny i inne organizmy, które mogą powodować szkody w środowisku lub gospodarce, mówił dr hab. Wojciech Solarz z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. Szacuje się, że w Europie występuje ponad 12 tys. gatunków obcych, a wiele z nich jest główną przyczyną wymierania rodzimych roślin i zwierząt.

01/0126/FZAL

eprasa.pl c6242adf39

Rak marmurkowy

Problem IGO regulują unijne przepisy oraz ustawa z 2021 r. określająca działania państwa w zakresie ich rozpoznania i zwalczania. Przed rokiem NIK negatywnie oceniła jej wdrażanie. Ministerstwo Klimatu i Środowiska zapewnia, że dziś sytuacja jest nieco lepsza, ale wtedy żadna z kontrolowanych gmin, na których spoczywa zadanie ich zgłaszania i ewentualnej eliminacji, często nie wiedziała, że ma się zajmować tym problemem. Tylko trochę lepiej było w kontrolowanych rezerwatach przyrody.

W Polsce obowiązuje zakaz wprowadzania do środowiska gatunków obcych roślin i zwierząt pod groźbą kary więzienia lub wysokiej grzywny. Ich pojawianie się jest w większości skutkiem celowej działalności człowieka, najczęściej przez wypuszczanie „na wolność", ale trudno złapać kogoś na gorącym uczynku. To również ich przypadkowe ucieczki czy celowe sadzenie nowych gatunków roślin. Dr Maciaszek podkreśla, że wypuszczenie zwierzęcia do stawu lub rzeki nie jest przywróceniem mu wolności, ale najczęściej prowadzi do jego śmierci, przeniesienia pasożytów i chorób albo zapoczątkowania populacji zagrażającej miejscowym organizmom.

OBCY NIEJEDNO MA IMIĘ

W końcu w XII w. cystersi sprowadzili do Polski karpia, który także jest inwazyjnym gatunkiem obcym, naturalnie występującym w południowo-wschodniej Europie oraz w Azji, choć dziś zadomowionym i symbolicznym w polskiej kulturze. Koty, o czym często zapominamy, również. Ale nie przysparzają takich problemów jak np. rak marmurkowy, który do krajowego środowiska został wprowadzony przez posiadaczy akwariów i dziś wypiera rodzime gatunki raka, roznosząc choroby, a także zagrażając populacjom żab, ropuch oraz traszek. Jak podkreśla dr Maciaszek, jego populację udaje się wyeliminować z udziałem ptaków krukowatych. Np. sójki rozpoznały w nich łatwo dostępne źródło białka, ale walka dopiero się rozpoczyna.

Wielkim problemem jest dziś ekspansja szopa pracza. Ten drapieżnik pochodzący z Ameryki Północnej i hodowany jako zwierzę futerkowe do Polski dotarł z Brandenburgii. W Niemczech może być ich nawet 2 mln. Przyrodnicy nie mają wątpliwości, że jego gwałtowny rozwój zagraża populacji rybitwy, czapli, ptaków siewkowych, orła bielika, rybołowa czy bociana czarnego.

Prof. Tadeusz Mizera z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu krytykował przekazy medialne przedstawiające szopa wyłącznie jako sympatyczne zwierzę.

Fot. Shutterstock

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Babka szczupła

Rdestowiec

Gęsiówka egipska

Sprzeciwiał się odławianiu, sterylizowaniu i ponownemu wypuszczaniu na wolność, ponieważ nie ogranicza to jego działalności drapieżniczej. Domagał się również likwidacji tworzonych przez ekologów tzw. azyli. Szopa pracza bez kłopotu może odstrzelić myśliwy, ale zdaniem Piotra Waltera, lidera Zespołu ds. Przyrodniczych Ruchu Narodowego, walczyć z nim mógłby każdy, choćby poprzez zakładanie w ogródkach pułapek przeznaczonych wyłącznie do jego odławiania. Ale takie są zabronione. „Musiałaby też istnieć procedury, również finansowe, gwarantujące odbiór zwierząt i ich likwidację poza pułapkami. A także sprawozdawczość i szczegółowa inwentaryzacja populacji" – podkreśla.

Podobnie norka amerykańska albo słynne nutrie, które roznoszą choroby oraz intensywnie drążą nory, powodując degradację skarp rzecznych. Dziś kolonizują całe dorzecze Odry, a ludzie popełniają błąd, niepotrzebnie je dokarmiając i budując azyle. Ich wcześniejszy odłów mógł ograniczyć obecne problemy.

OBCY W RZEKACH, JEZIORACH I STAWACH

Wyjątkowo agresywnym gatunkiem okazała się gęsiówka egipska, która w naturze zamieszkuje Afrykę Subsaharyjską oraz dolinę Nilu. Coraz częściej bytuje również u nas i agresywnie konkuruje o żerowiska czy miejsca gniazdowania z innymi ptakami wodnymi. Na stawie jest w stanie zadziobać i przepędzić całe obecne tam ptactwo. W tym roku przyrodnicy, zaobserwowali jej lęgi nawet w gniazdach bociana białego.

Wśród ryb gatunkiem inwazyjnym jest np. babka szczupła, która zamieszkiwała słodkawe zatoki mórz Kaspijskiego i Czarnego, ale za sprawą likwidacji naturalnych barier, a więc budowy kanałów, przez Dniepr, Prypeć, Kanał Królewski i Muchawiec, będący dopływem Bugu, dotarła do Polski. Skutki jej obecności są widoczne, gdyż pomniejsza bazę pokarmową rodzimych ryb i ogranicza ich rozwój poprzez wyjadanie ikry i narybku, a także roznoszenie nowych gatunków pasożytów. To również sumik karłowaty, który prowadzi do zamierania całych ekosystemów wodnych. Albo tzw. złota rybka, czyli chiński karaś ozdobny. Wypuszczana do naturalnych zbiorników niszczy ich roślinność, pogarszając jakości wody.

OBCA I INWAZYJNA FLORA

Problemem są też rośliny. Klasycznym przykładem jest historia barszczu Sosnowskiego oraz barszczu Mantegazziego. To, jak wiadomo, jedne z najbardziej niebezpiecznych roślin występujących w Polsce. Zawarte w ich soku furokumaryny mogą spowodować trudno gojące się poparzenia, zagrażające nawet życiu. Barszcz Sosnowskiego został sprowadzony w latach 50. XX w. i miał być rośliną paszową. Oba gatunki wymknęły się spod kontroli, rozprzestrzeniły i od dawna podlegają obowiązkowi zwalczania. Nie zawsze konsekwentnie.

Ostatnimi czasy kłopotliwe są też rdestowce, z impetem kolonizujące nowe miejsca, nie tylko ograniczając wzrost rodzimych roślin, lecz także niszczące nawet betonowe fundamenty, fragmenty budynków i zapory wodne. Czeremcha amerykańska rozprzestrzenia się szybko, tworząc gęste zarośla, które zacieniają las, wypierając przez to rodzime gatunki roślin, a jej opadające liście potrafią zmienić skład chemiczny gleby. Mniejszym problemem jest np. dąb czerwony, choć dziś nie można go już sadzić w przydomowym ogrodzie. Jego obecność okazała się problematyczna – zastępuje rodzime drzewa i blokuje światło, prowadząc do zaniku wielu rodzimych roślin.

IGO JAKO PROBLEM POLITYCZNY

Dziś system działa tak, że zgłaszamy zaobserwowaną roślinę czy zwierzę w urzędzie gminy lub miasta. W przypadku zwierząt liczy się czas, a do tego musimy m.in. wiedzieć, co zgłaszamy, sporządzić opis miejsca i dodać fotografię. Samorząd przekazuje tę informację do właściwego organu, a po jej wprowadzeniu do rejestru podmiot odpowiedzialny za dany teren jest zawiadamiany o potrzebie działań zaradczych. Ustawowe procedury są faktycznie nierealne, a do tego gminy muszą same ponosić koszty zwalczania intruzów.

Sławomir Mazurek, przewodniczący Rady Klimatu i Środowiska przy Prezydencie RP, przyznaje, że obecne rozwiązania są niefunkcjonalne dla obywatela. A Piotr Walter dodaje, że potrzebna jest również wiedza przekazywana w szkołach, mówienie o tym problemie w mediach, funkcjonowanie systemu natychmiastowego zgłaszania i zwalczania.

I tu pojawia się propozycja pełnej cyfryzacji zgłoszeń, a więc stworzenia aplikacji umożliwiającej identyfikację zgłaszającego i ułatwiającej przesyłanie informacji. Już teraz działa strona barszcz.edu.pl, dzięki której ujawnionych zostało ok. 4 tys. stanowisk tej rośliny. „Skoro ciąży na nas obowiązek niezwłocznego zgłaszania dostrzeżonych osobników czy nawet pojedynczych roślin, to za pomocą aplikacji każdy, zarówno leśnicy i myśliwi, jak również wędkarze, grzybiarze czy zwykli spacerowicze mogliby mieć możliwość przekazywania informacji do odpowiednich instytucji, również poza godzinami pracy urzędów" – mówi współorganizujący konferencję Ryszard Ochwat. „Dlatego chcemy przenieść problem inwazyjnych gatunków obcych na poziom polityczny" – dodaje Piotr Walter.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c6242adf39

Apolonia nie chce już milczeć

Arkadiusz Gołębiewski po raz drugi wprowadza do zbiorowej świadomości temat krzywd, które wyrządził nam zbrodniczy reżim komunistyczny. Jako dokumentalista, w filmach „Kwatera Ł" oraz „Dzieci kwatery Ł" opowiedział o mordach na żołnierzach wyklętych i piętnie przez lata ciążącym na ich rodzinach. Teraz dostajemy film fabularny, przejmującą opowieść o trzech pokoleniach kobiet i rodzinnej, przez lata utrzymywanej tajemnicy. Czy jej odkrycie uzdrowi relacje pomiędzy babcią, córką i wnuczką?

Fot. Xxx

eprasa.pl c6242adf39

MARCIN WIKŁO

Pewnego słonecznego popołudnia na budowie w Pułtusku koparka odkrywa ludzkie szczątki. Dla właściciela inwestycji to problem, bo szkielety należy zbadać, a to oczywiście opóźni wzniesienie budynku. Mało kto wówczas spodziewa się, że oto wraz z czaszkami i kośćmi wychodzi na jaw rodzinny sekret rodziny Pogorzelskich. Traf chce, że do zbadania znaleziska zostaje wezwana Justyna (w tej roli Alicja Stasiewicz), archeolog z Instytutu Pamięci Narodowej.

WZOROWA RODZINA

Apolonia (Halina Łabonarska) i Czesław (Henryk Talar) od dziesięcioleci tworzą udane małżeństwo. On jest uznanym literatem, działaczem społecznym, lokalnie szanowanym obywatelem. Ona zajmuje się domem i... w zasadzie przez całe życie milczy. O przeszłości w tym domu się nie rozmawia. Podczas rodzinnej uroczystości (urodziny Czesława) przy stole zasiada syn Marek (Ireneusz Czop) z żoną (Katarzyna Trzaskalska), ich dzieci pięknie grają dziadkowi na pianinie i recytują poezję. Dziadek promienieje. Sielankę przerywa telefon od Justyny, która przeprasza Czesława, że nie dotrze na uroczystość, ponieważ bada zbiorową mogiłę w Pułtusku. Nestor rodu zamiera, na jego twarzy, zazwyczaj pewnej siebie i władczej, widzimy strach. Dobrze zna okoliczności wojennych walk i powojennych komunistycznych rozpraw z „leśnymi bandami" w tym powiatowym mieście. Ta tajemnica miała nigdy nie ujrzeć światła dziennego, ci żołnierze niezłomni mieli pozostać w bezimiennych dołach śmierci na zawsze. A tu taki przypadek...

Justyna dociera do dokumentów, które odkrywają straszną prawdę o dziadku Czesławie, dzieli się nią z matką Martą Pogorzelską (Maja Barełkowska). Stają przed dylematem, czy dopytywać seniora, jak było naprawdę, a może zapomnieć o temacie i żyć dalej w ułudzie rodzinnej beztroski. Czy warto zaryzykować to wszystko w imię prawdy?

WYDARZENIE FESTIWALU NNW

Premiera „Apolonii" była niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem tegorocznego 18. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego NNW w Gdyni. Pokaz wypełnił trzy sale kinowe Gdyńskiego Centrum Filmowego, o debiucie fabularnym Arkadiusza Gołębiewskiego rozmawialiśmy w zasadzie bez przerwy, tym bardziej że pierwszy pokaz zaszczycili swoją obecności aktorzy prawie w komplecie. Oni wcześniej rownież nie widzieli filmu w całości.

Henrykowi Talarowi bardzo zależało na tym, by odtwarzana przez niego postać nie wzbudzała litości. Od Haliny Łabonarskiej dowiedzieliśmy się natomiast, że postkomunistyczna bruzda na rodzinie to także jej osobiste doświadczenie. I być może dlatego ta postać przemawia do mnie najbardziej. To wielka sztuka być na ekranie przez cały film, uczestniczyć w prawie każdej scenie, a mówić tak niewiele, prawie wcale. Bo Apolonia Pogorzelska milczy, pogodziła się z życiem, przeszłość stara się zostawić za sobą, nie ma po co wracać do trudów powojennej egzystencji i lat spędzonych w komunistycznym więzieniu. Po co to burzyć, skoro los dał jej Czesława, a ten wygodne, dostatnie życie. A jednak, po archeologicznym odkryciu dokonanym przez jej wnuczkę i rozmowach z córką, coś w niej pęka. W końcu przerywa milczenie.

Bałem się, że fabularna „Apolonia" będzie za bardzo obciążona dokumentalną przeszłością Arkadiusza Gołębiewskiego. Reżyser (aż trudno uwierzyć, że to fabularny debiut!) przez prawie całe dorosłe życie opowiada nam przecież bardzo dosłownie o polskich bohaterach, których ścigali i mordowali komuniści. Po obejrzeniu filmu poczułem ulgę. To bardzo uniwersalna historia, która ma potencjał, by zrozumiał ją widz także za granicą.

DLA KOGO TEN FILM?

Widzowie premierowego pokazu byli zszokowani, gdy Gołębiewski zdradził nam, że próbował zgłosić film do konkursu Polskich Filmów Fabularnych (także w Gdyni), ale zbyto go całkowitym milczeniem. To pokazuje, że pewien kinematograficzny liberalny salonik ma prosty sposób na twórców spoza swojego grona. Nawet jeśli coś jest dobre („Apolonia" to bardzo dobry film), ale zrobił to ktoś spoza naszego

eprasa.pl c6242adf39

kręgu, to zawsze możemy udać, że tego nie widzimy i nie chcemy zobaczyć. To przykry wniosek, ale Gołębiewski nie rozpacza z tego powodu. Jest coś symptomatycznego, że swój film pokazał na Festiwalu NNW, który przecież stworzył blisko dwie dekady temu dlatego, że robił filmy, które nie miały swojego miejsca w mainstreamie.

Jak będzie z dystrybucją „Apolonii"? Szczerze się o to boję, kinowe pokazy planowane są na styczeń przyszłego roku, ale naprawdę trudno przebić się przez zasieki pośredników i „fachowców", którzy dopuszczają to, co powinno się pojawiać na wielkich ekranach w Polsce.

Jedno wiemy na pewno – europejska premiera „Apolonii" odbędzie się 4 listopada br. na zaprzyjaźnionym festiwalu „Nezlomní a obětovaní" w Pradze.

Należy zadać jeszcze jedno pytanie: czy ten film w ogóle nadaje się dla widza spoza Polski? Czy zawiłości rodziny Pogorzelskich zrozumie ktoś, kto nie ma pojęcia o polskich doświadczeniach z komunizmem? Już odpowiadam: zdecydowanie tak!

Odkładając na chwilę warstwę historyczną – to przecież opowieść o tajemnicy rodzinnej, na której wyjawienie nigdy nie ma dobrego momentu. Odkładanie tego w czasie zatruwa relacje, buduje podziały, a prawda, choć bolesna, na końcu oczyszcza. Nie bezkosztowo, ale oczyszcza. Zakłamanie, które przez lata narastało w bohaterach „Apolonii", ma swoje źródło w nieludzkim reżimie komunistycznym, z którym zmagała się poraniona wojną Polska. Ale czy w Hiszpanii, przez lata pod reżimem Franco, albo we Francji niszczonej przez kolaborantów spod znaku rządu Vichy, nie znaleźlibyśmy podobnych historii? Jestem pewien, że tak.

NIE MOŻNA MILCZEĆ

Arkadiusz Gołębiewski dał nam kryminalno-psychologiczną opowieść z morałem, który wywodzi się z historii, ale dotyka dnia dzisiejszego. Ilu takich nobliwych Czesławów skrywają polskie powiaty? Ilu szanowanych działaczy zapłaciłoby krocie, by nigdy nie sięgać do archiwów IPN? To przekleństwo, z którym wciąż zmaga się wolna Polska.

Ale nasza ukochana ojczyzna wypełnia również (rękami specjalistów z Instytutu Pamięci Narodowej) obowiązek wobec ludzi, którzy ginęli za naszą wolność. Ci zamordowani w Pułtusku, a w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku czy Mławie mieli zniknąć na zawsze, by oprawcy i ich spadkobiercy mogli żyć w spokoju i rodzinnym szczęściu.

Napawa mnie dumą, że jest tak szerokie grono ludzi, którzy nie chcą na to pozwolić. Czasem kosztem różnych wyrzeczeń, czasem kosztem tzw. świętego spokoju. Nie wolno nam o tym milczeć, należy głośno i wyraźnie mówić, kto jest bohaterem, a kto zdrajcą. O tym jest „Apolonia", do której obejrzenia serdecznie Państwa zachęcam.

eprasa.pl c6242adf39

Poetka i profesor

Anne Carson buduje literackie pomosty między starożytną klasyką a radykalnymi i „progresywnymi" eksperymentami

MACIEJ WALASZCZYK

Nobel przyznawany w dziedzinie literatury przez dziesięciolecia zmieniał swe preferencje: od pisarzy bliskich klasycznemu ideałowi, poprzez docenianie nazwisk głośnych i znanych, aż po pokazanie raczej autorów nieznanych, ale godnych uwagi świata; w końcu nowatorów, twórców politycznych, reprezentantów spoza kręgu kultury zachodniej czy po prostu outsiderów.

Ubiegłoroczna decyzja jury doceniała wielką oryginalność węgierskiego prozaika László Krasznahorkaia. W tym roku powędruje do jednej z popularnych pisarek. Anne Carson od wielu lat była wymieniana wśród potencjalnych laureatów najważniejszej nagrody literackiej, jest bowiem reprezentantką tego samego lewicowego establishmentu kulturowego, który wylansował jej twórczość. W niej doszukiwała się np. opresji „patriarchalnej kultury", mającej od starożytności aż po czasy współczesne dosłownie tłumić kobiecy głos i krzyk „The Gender of Sound" (1992).

Przed rokiem odbierała w Polsce Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta. Jury wskazywało wówczas na prowadzony w jej twórczości „dialog z przeszłością", który przez nią samą traktowany jest jako kolejna materia twórcza. To pomost mający zacierać granice pomiędzy starożytnością a współczesnością z jej awangardą i postmodernizmem. Stąd odrzucanie przez Carson konwencjonalnych kategorii pisarskich i mieszanie stylów. Próbowano przekonać, że liczne w jej pisarstwie odwołania do kultury starożytnej mają być bardzo bliskie herbertowskiemu „Dlaczego klasycy" czy jego zbiorowi esejów „Labirynt nad morzem". Wskazywano, że jej pisanie to „filozoficzna medytacja" z rozmaitymi głosami poprzedników. Niestety styl Carson manifestuje się jednak raczej celowym przeinaczaniem i zawłaszczaniem cudzych utworów i cytatów, włączaniem ich bez przywoływania, stosowaniem tego, co tak ostro uderzyło nas w netfliksowej „Lalce".

Tegoroczna noblistka pochodzi z Kanady, choć od jakiegoś czasu pomieszkuje też na Islandii. Wykłada komparatystykę, literaturę klasyczną i angielską na University of Michigan w Ann Arbor i w McGill University. Choć wcześniej imała się zajęć dalekich od pisarstwa, ostatecznie poświeciła się nauce i literaturze starożytnych. Z czasem pisząc też eseje, prozę i wiersze.

Szczególnie jej tomy poetyckie zyskiwały uznanie krytyków, sprawiając, że w ostatnim czasie stała się jedną z najważniejszych autorek poezji anglojęzycznej. Krytycy zwracają uwagę, że jej wiersze cechuje zarówno prostota, jak i wielka erudycja, uczuciowa bezpośredniość zaprawiana często poczuciem humoru. Z greki przekładała także Safonę i Sofoklesa.

Kilka lat temu w Polsce została również wyróżniona Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej za tom poetycki „Autobiografia czerwonego" (1998), wydany nakładem Ossolineum w przekładzie Macieja Topolskiego. To erudycyjna powieść wierszem, a zarazem – jak mówił autor przekładu – zmysłowa i pełna filozoficznych podtekstów próba nowej interpretacji greckiego mitu o Gerionie, owym czerwonym i skrzydlatym olbrzymie pokonanym przez Heraklesa w ramach jednej z jego 12 prac. I za sprawą ukazania zmagań mitycznego herosa jako zbrodni popełnionej przez „butnego włóczęgę" na bezbronnym i wrażliwym Gerionie została okrzyknięta jej najgłośniejszą książką.

Polskiemu czytelnikowi jest znana również z napisanego jeszcze w połowie lat 80. debiutu pt. „Słodko-gorzki eros", który był eseistycznym rozwinięciem jej doktoratu i pierwszą pozycją, która ukazała się w polskim tłumaczeniu w 2020 r. w przekładzie Renaty Lis. To – jak wyjaśniała tłumaczka – „sięgająca do źródeł europejskiej literatury opowieść o ruchu znaczeń i uczuć, nieustannym wirowaniu sensów". W polskim przekładzie dostępne są także tom poetycki „Piękno męża" (Słowa na wybiegu, 2022) oraz antologia pt. „Dekreacja. Wiersze, eseje, opera" (Ossolineum, 2024).

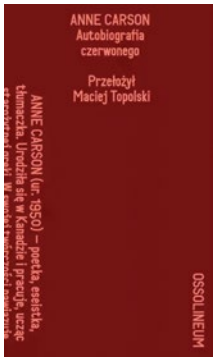

Autopromocja

wPolsce 24

KONTRA

PONIEDZIAŁEK – PIĄTEK

10:00

Najpierw starcie, potem rozmowa jeden na jeden

Konfrontuję stanowiska polityków, a następnie zapraszam jednego z bohaterów dnia do bezpośredniej rozmowy

Tu różnice nie są wygładzane — mają wybrzmieć

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	T	TOYA	evio	inea	multiMedia	YouTube
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	202	631	43	459	EPG 825, EPG PON 257	TelewizjaWPolsce24

eprasa.pl c6242adf39

Agata Kulesza w filmie „Czas, który nie nadszedł"

Fot. Łukasz Bąk

Czas, który nadszedł

Potrafi aktorsko uwieść. Widzów, partnerów na planie, a nawet reżysera i producentów. Wokół epizodycznej postaci zbudować kluczowy wątek. Sprawić, że pozornie najmniej atrakcyjna postać okazuje się najpiękniejsza i najpełniejsza. Agata Kulesza ma to we krwi

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W szeroko dyskutowanej kinowej adaptacji „Lalki" przyczynia się do „efektu Kuleszy". Tak nazwali jej rosnącą obecność w scenariuszu reżyser Maciej Kawalski i producent Radosław Drabik. Jako pani Meliton – u Prusa postać marginesowa – zyskała na ekranie wyjątkową pozycję. Stała się siłą sprawczą w relacji Wokulski–Łęcka. Figurą, która wprowadza dynamikę, humor oraz chemię w nieoczekiwanej znajomości, ocieplającej wizerunek zamkniętego w sobie pana Stanisława.

ZMYSŁ OBSERWACJI

Filmowej swatki jest w fabule niemało, ale ani krytycy, ani widzowie nie protestują. Wręcz przeciwnie – podobnie jak reżyser czy producent – nie wyobrażają sobie, by Agaty Kuleszy było na ekranie mniej.

Sama aktorka – pytana, na ile bliska jest jej postać pani Meliton – mówi, że nikomu nie odważyłaby się układać przyszłości, ale – tak jak jej bohaterka – ma dobry zmysł obserwacji, jest empatyczna i potrafi odczytać nawet skryte emocje. Wiąże się to z uprawianym zawodem. – Choć nie wiadomo, co było pierwsze. Czy dlatego jestem aktorką, bo jestem empatyczna, czy jestem empatyczna, ponieważ jestem aktorką – rzuca przewrotnie.

WYKLUCZAJĄCA SIWIZNA

Wyjątkowa, wielobarwna relacja stworzona w adaptacji „Lalki" przez duet Kulesza–Dorociński sporo czerpie ze spotkań m.in. na planie poruszającej „Róży" Wojciecha Smarzowskiego. Do takich sprawdzonych wcześniej relacji aktorka nie mogła odwołać się w filmie „Czas, który nie nadszedł" (wchodzącym właśnie do kin). Również tu niezwykle wiarygodnie i przejmująco zbudowała emocjonalny tandem z Dobromirem Dymeckim. W reżyserskim pełnometrażowym debiucie fabularnym Julii Rogowskiej Kulesza zagrała 70-latkę, nosząc siwą perukę i nie ukrywając zmarszczek.

Jej bohaterka kilka dekad wcześniej nie zdecydowała się na zatrzymującą proces starzenia kurację farmaceutyczną, powszechnie stosowaną w świecie nieokreślonej przyszłości, w której żyją Sara i jej ukochany, Oscar. Niestety on postanowił zachować młodość, ona – odrzucając taką opcję – skazała się na wykluczenie ze społeczeństwa nietolerującego starości. Spotkali się po latach.

ZA MŁODA DO ROLI

Agata Kulesza zdradza, że początkowo nie była gotowa na zagranie Sary: – Pomyślałam, że chyba jestem za młoda do tej roli.

Dziś podkreśla, jak zadowolona jest z filmu. Co prawda nie do końca uznaje go za science fiction, mimo że tak jest odbierany. Trudno jej również nazywać go dystopijnym, chociaż poniekąd taki jest, ale dystopia kojarzy jej się z zapowiedzią „jakiegoś straszliwego mroku i katastrofy", a w „Czasie, który nie nadszedł" trochę nadziei jednak jest.

08/0926/F

eprasa.pl c6242adf39

– Oskar i Sara kochali się, mieli się razem zestarzeć, ale Oskar, w pojmowaniu bohaterki, zdradził ją, ponieważ zdecydował się na kurację – stwierdza aktorka. – Sara się nie zgodziła i wylądowała w Ostoi, gdzie zajmuje się jeszcze starszymi od niej ludźmi, a później po prostu chce żyć, bo jest niezależna. Mówi, że z tą niezależnością ma ciężko, ale musi tak żyć. Nie potrafi się podporządkować, chce dotrzeć do świata, w którym będzie mogła być pełnoprawną jednostką. Teraz jest spychana na margines.

Fot. Materiały promocyjne Gigant Films

Agata Kulesza w filmie „Lalka"

JESZCZE MAM DUŻO PLANÓW

Aktorka uważa, że film jest niezwykle aktualny. Widz wychodzi z niego z refleksją: „Czy przyjąłbym taką kurację?". – Też się nad tym zastanawiałam, cały czas o tym dyskutowaliśmy, że może gdybym miała dwadzieścia parę lat, to wydawałoby mi się, że siedemdziesiąt jest wystarczającym czasem (taki limit życia to jedna z konsekwencji kuracji) – mówiła aktorka podczas niedawnego festiwalu filmowego w Gdyni, gdzie „Czas, który nie nadszedł" walczył o Złote Lwy w głównym konkursie. – Teraz mam 55 lat i wiem, że 15 lat do siedemdziesiątki to mało. Jeszcze mam dużo planów. Fajne jest też w tym filmie, że Sara, która jest wśród bohaterów najstarsza, właściwie jest wśród nich najmłodsza.

I dodaje: – To opowieść o świecie, który zrobił wszystko, by wymazać starość, ale przede wszystkim o ludziach, którzy próbują odnaleźć się po latach życia według zupełnie różnych zasad. Stawia pytania o miejsce osób starszych we współczesnym świecie i o to, czy w tej nieustannej pogoni za młodością nie gubimy czegoś znacznie ważniejszego.

REKLAMA

KALENDARZ-
-PORADNIK
NA 2027

miejsce na notatki | niedzielne Ewangelie z komentarzami | motta dnia | patroni na każdy dzień | odnośniki do czytań liturgicznych | przepisy kulinarne | użyteczne rady, ciekawostki i sentencje

CENA:
~~25,00 zł~~
18,00 zł*

*Cena promocyjna – najniższa z ostatnich 30 dni.

ZAMÓW:
tel.: 34 369 43 22 w godz. 7-15
e-mail: sekretariat@niedziela.pl

Z nami ***odkryjesz piękno*** *każdego dnia!*

eprasa.pl c6242adf39

HITY i KITY ZAREMBY

Wokulski cały w emocjach

Było jasne, że kinowa „Lalka" będzie – w odróżnieniu od serialu Netfliksa – „klasyczna". Dla mnie najciekawsze było to, że ten film, złożony ze znanych mi wątków, jednak mnie wzruszył

To, że wyreżyserowania takiej wersji „Lalki" podjął się Maciej Kawalski, mogło być zaskoczeniem. Wcześniej nakręcił on „Niebezpiecznych dżentelmenów", tak naprawdę zgrywę, zabawę historycznymi postaciami.

Nie jest to „Lalka" Bolesława Prusa w skali jeden do jednego. Gdzieniegdzie mamy sceny wymyślone na potrzeby filmu, choćby z bystrą swatką, panią Meliton, odgrywającą tu większą rolę niż w powieści. Rzeczy dodane potrafią być malownicze, jak dopisana do inauguracji nowego sklepu Wokulskiego obecność Bolesława Prusa.

Nie zmieścili się studenci-kawalarze, Stawska i afera z rzekomo ukradzioną lalką czy Marianna – ocalona przez Wokulskiego prostytutka. Ba, nie ma pamiętnika starego subiekta Rzeckiego ani jego śmierci. Ale w serialu Pawła Maślony z tekstu Prusa nie było *de facto* prawie niczego poza nazwiskami i wyjściowymi hasłami.

Tu układ scenariusza odtwarza powieściowe zdarzenia po kolei. Zachowuje też precyzję w oddawaniu XIX-wiecznych realiów, nie tylko w scenografii czy pięknych kostiumach, bo te były niby również u Maślony. Ale tu pijana Łęcka nie wiesza się Wokulskiemu na szyi, a Rzecki nie podsuwa przyjacielowi narkotyku. I nikt nie przeklina.

Czytałem, że główną historię ogląda się jak melodramat. Powieść nie jest melodramatem, pozostaje jednak faktem, że pod koniec poczułem wzruszenie. To zasługa Marcina Dorocińskiego w roli Wokulskiego. Nie tylko zachowano podstawowe informacje o nim, łącznie z zesłaniem na Syberię. Dorociński gra – inaczej niż w starych wersjach – Wokulskiego emocjonalnego, chwilami podnieconego jak zakochany chłopak, czasem wesołego, dowcipnego, czasem przerażonego. Tym mocniej przeżywamy jego uczucie i towarzyszące mu upokorzenia. Cieplej niż w oryginale przedstawiona jest jego przyjaźń z Rzeckim. To również zasługa Marka Kondrata. Rolę starego subiekta ściśnięto, ale Kondrat jest bardzo jak z Prusa.

Trochę nie nadąża za nimi Izabela Łęcka. Kamila Urzędowska jest piękna, ale Kawalski nie mógł się zdecydować, jak ją przedstawić. Pomny tego, że coraz częściej opisuje się ją jako ofiarę kiepskiego statusu kobiet, cofa się przed nadaniem jej antypatycznych cech. Ba, choć nie jest – jak u Maślony – emancypantką, żali się na obyczaje, niepozwalające jej studiować czy grać na scenie, co oczywiście dodano. Jednocześnie próbuje oszukać Wokulskiego, jak w książce. O brak miłości trudno ją oskarżać, ale o to już można. W sumie wypada trochę bezbarwnie. A może jest tylko majakiem kupca?

Barwnie prezentują się inni. Obsypano pochwałami Agatę Kuleszę za zagraną ze swadą panią Meliton. Dodam komplementy dla Marii Dębskiej jako wyjątkowo stylowej Wąsowskiej czy Mateusza Damięckiego jako oślizgłego Starskiego, drapieżnego nawet bardziej niż w książce.

Reżyser zaludnił ten świat gwiazdami: operetkowy baron Krzeszowski Borysa Szyca czy pojawiająca się w dwóch scenach Krzeszowska Mai Ostaszewskiej to dobre przykłady. Niby symbole hołdu dla dawnego kina pojawiają się Andrzej Seweryn (Łęcki), Krystyna Janda (hrabina Karolowa), Jan Englert (Książę) i Maja Komorowska (prezesowa Zasławska). Wypadają świetnie.

Ten film to trochę melodramat, ale nie tylko. Udaje się pokazać Wokulskiego jako pełną talentu jednostkę, dla której w na poły feudalnym społeczeństwie zaboru rosyjskiego jest za ciasno. Zakończenie pozostaje otwarte, choć chciałoby się, aby zajął się nauką wraz z miłym Filipem Pławiakiem – przepraszam, Julianem Ochockim.

Piotr Zaremba

Fot. Kino Świat

Osiecka naprawdę wciąż żyje

Spektakl „Osiecka" w warszawskim Teatrze Ateneum to podjęcie dobrej tradycji tej sceny: widowisk muzycznych, które są portretami duszy artysty. Można się przekonać o wirtuozerii poetyckich skojarzeń Agnieszki Osieckiej. I o talencie aktorki Katarzyny Łochowskiej

Formuła widowiska jest prosta. Katarzyna Łochowska wypowiada kwestie kobiety podobnej do Osieckiej związane z rozstaniem z mężczyzną, później z bardziej ogólnymi żalami do losu, po czym jej rozważania szybko zmieniają się w kolejne napisane przez nią piosenki. Scenariusz i reżyseria to dzieło innej aktorki Ateneum, Ewy Telegi.

Partnerem Łochowskiej jest grający na fortepianie Mateusz Dębski (ma dublera Franciszka Wajdzika), zarazem aranżer tych popularnych utworów. Znamy go jako kompozytora muzyki do spektakli. Zabawne, ale tu odgrywa jeszcze inną rolę – pyta, komentuje, żartuje znad klawiatury, występuje więc jako aktor.

Słuchałem piosenek: „Na zakręcie", „Wariatka tańczy", „Czy te oczy mogą kłamać", które, choć tak dobrze znane, przemawiały do mnie wyjątkowo intensywnie pięknym poetyckim językiem i celnością obserwacji. A „Oczy tej małej", ballada z muzyką Zygmunta Koniecznego, po prostu mną wstrząsnęła.

Nie byłoby tego olśnienia, gdyby nie talent aktorki, zapraszającej nas do tego świata. Łochowska (chciałoby się oglądać ją częściej) ma nie tylko mocny, sugestywny głos. Ona umie opowiadać śpiewem. Jest na przemian czuła, melancholijna, zdołowana, czasem zabawna.

Przy okazji przyszła mi do głowy również taka myśl. Osiecka oddawała swoimi piosenkami stan kobiecej duszy. Można powiedzieć, występowała w imieniu swojej płci. Zarazem w jej tekstach nie ma agresji wobec mężczyzn (choć czasem z nich dworuje), nie ma również publicystyki. To zapis świata, można by rzec, z ery przedfeministycznej.

Fot. Materiały prasowe

TRAKTAT O WŁASNEJ NIEOMYLNOŚCI

„Adam, syn Ozjasza" to wywiad rzeka Jarosława Kurskiego z Adamem Michnikiem. Znajdziemy w tym bilansie życia trochę ciekawych anegdot i mnóstwo wiary, że zawsze miało się rację

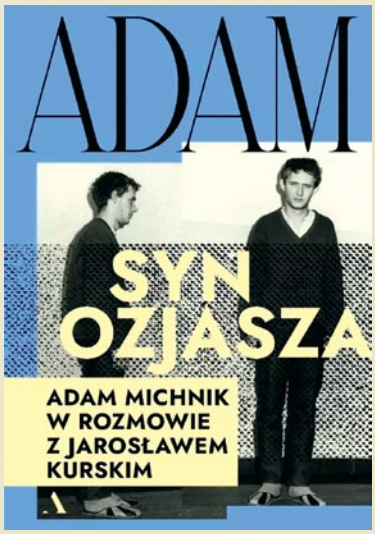

20 lat temu chory Adam Michnik rozmawiał z kilkoma swoimi dziennikarzami, chcąc pozostawić po sobie książkowy testament. Ale wyzdrowiał. Książka się nie ukazała. Dziś jako 80-latek rozmawia ze swoim wieloletnim wicenaczelnym z „Gazety Wyborczej", który był w gronie jego ówczesnych rozmówców.

Pierwsze zdanie wstępu brzmi: „Za Adamem Michnikiem ciągnie się czarna legenda. Nie wiem, czy jest w naszym kraju ktoś bardziej zmistyfikowany i zdemonizowany". Rozważania na temat antykomunistycznych i antysemickich „uprzedzeń" to spora część książki. Większość rozdziałów opowiada o postaciach, które Michnik spotkał na swojej drodze. Wywiad nie jest więc chronologiczną autobiografią. Niektóre anegdoty o takich ludziach jak Antoni Słonimski (był jego sekretarzem), Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński albo Czesław Miłosz, są ciekawe. Na dokładkę Michnik jest erudytą, swobodnie poruszającym się po świecie idei i literatury.

Niemniej do rozdziału o Herlingu-Grudzińskim mamy taki nagłówek: „Jako pisarz rozumiał złożoność świata. Jako publicysta widział tylko czarno albo biało". Przecież ta uwaga pasuje jak ulał do samego Michnika. Po latach zgłasza pretensje o antykomunizm do człowieka, z którym się przyjaźnił, socjaldemokraty i antyklerykała żydowskiego pochodzenia. Jego pryncypialności przeciwstawia własne zrozumienie „szarości", gdy chodzi o komunistów. Ale nie ma tego zrozumienia wobec polskiej prawicy, a także wobec samego Herlinga-Grudzińskiego czy Zbigniewa Herberta, który miał być radykalny, bo chory psychicznie.

Pisze: „Dlatego z wielką nieufnością odnoszę się do tych wszystkich, którzy czują się posiadaczami prawdy absolutnej i wierzą, że potrafią zbudować świat bezgrzeszny i doskonały". Sam Michnik przecież wierzy, że jest nieomylny. Jako niemal jedyne własne błędy wymienia zbyt radykalny stosunek do ludzi peerelowskiej władzy, kiedy z nimi walczył. Po 1989 r. w zasadzie nie popełniał omyłek, poza taktycznymi. To wychodzi w rozdziale, w którym Kurski przepytuje go o pozostawienie w redakcji „Wyborczej" Lesława Maleszki z agenturalną przeszłością czy o aferę Rywina.

Prowadzący wywiad wchodzi z dawnym szefem w słowne przepychanki, gdy chodzi o stosunek do komunistów, w tym o przyjaźń z Wojciechem Jaruzelskim. Zarazem bywa bardziej gorliwy w forsowaniu dogmatów tego środowiska. Bardziej gromko oskarża Polaków o antysemityzm – także podczas wojny – czy krytykuje Kościół katolicki. Michnik domaga się zrozumienia okupacyjnego kontekstu historycznego i broni Jana Pawła II. Nie przychodzi mu jednak do głowy, że sam wychował rzesze hunwejbinów, którzy nie mają wątpliwości w takich sprawach.

Smak pierwszego przypomnienia – figi z kozim serem

Składniki: kilka dojrzałych fig, opakowanie koziego sera (lub jeżeli nie lubisz koziego – brie albo camembert), 1 łyżka ciemnego gęstego miodu, kilka kropli octu balsamicznego, świeżo mielony pieprz, chrupiąca bagietka, kieliszek czerwonego wina Pinot Noir.

Przygotowanie: figi kroję na ćwiartki, ale powoli, bo ich miąższ nie lubi pośpiechu. Pozwalam serowi lekko rozpuścić się w temperaturze dłoni. Niech stanie się bardziej kremowy, bardziej… dostępny. Kroję go na małe cząstki i układam niespiesznie na kawałkach bagietki. Na serze umieszczam ćwiartki fig. Polewam całość odrobiną miodu. Nie kontroluję go za bardzo, niech spływa tam, gdzie chce. Dodaję kilka kropli balsamico oraz pieprz dla kontrastu i lekkiego podkręcenia smaku.

Biorę pierwszą kanapkę. Zanim spróbuję, zamykam oczy, zatrzymuję się na sekundę. Ten moment tuż przed jest zawsze najciekawszy. Robię pierwszy kęs… nie analizuję. Czuję tę słodycz, kremowość, coś głębszego pod spodem… coś, co nie pojawia się od razu.

Usiadłam na balkonie z kieliszkiem Pinot Noir, choć każdy alkohol to dla mnie ostatnio rzadkość. Czerwone wino odsłania to, co próbujemy w sobie uciszyć. To jest lekko cierpkie, lekko ciepłe, zostaje chwilę dłużej niż powinno. Jak tamten pocałunek. Biorę kolejny kęs, nie połykam od razu. Pozwalam, żeby smak rozlał się powoli. Czuję subtelną słodycz, ciepło i jeszcze to coś pod spodem, coś tak trudnego do uchwycenia, a jednocześnie niesamowicie wyraźnego. Czuję, jak przechodzi przeze mnie, jak ciało zaczyna przypominać sobie szybciej niż głowa… I nagle wszystko wraca. Nie jest to ani obraz, ani twarz. To smak – ten sam – znajomy, wyrazisty, ulotny…

Moje własne umami

MOJE SMAKI: INESSA KIM, AUTORKA KSIĄŻKI „FERMENT I UMAMI. SMAK PO ROZPADZIE"

To niezwykła książka. Opowieść o życiu i jego kosztowaniu. Poprowadzona przez wiele wątków i smaków. Do czytania i kulinarnych inspiracji (dużo tu pięknie zilustrowanych przepisów). Do rozważania i współodczuwania. Do zanurzenia się w narracji, budowanej wielowymiarowo przez autorkę. Koreankę urodzoną w Kazachstanie, Polkę z wyboru (od początku lat 90., gdy przyjechała tu jako 19-latka, a potem sama nauczyła się języka). Kobietę, matkę, bohaterkę, która już wie, jak skonfrontować się ze swoją przeszłością, teraźniejszością oraz przyszłością. Potrafi też dostrzec i docenić życiowy ferment i umami.

Pisze: „Ferment jest metaforą przemiany – procesu, w którym coś się rozpada, zmienia, dojrzewa. To, co początkowo może wydawać się stratą lub porażką, z czasem otwiera drogę do czegoś nowego. Umami to głębia, autentyczność, pełniejszy smak życia, który pojawia się później". „Ferment i Umami. Smak po rozpadzie" jest opowieścią o pięknie, które można dostrzec dopiero wtedy, gdy wszystko, co znaliśmy, rozpadnie się. A rozpad nie zawsze oznacza koniec".

I dalej: „Chyba przez większą część życia próbowałam znaleźć odpowiedź na niewłaściwe pytanie. Szukałam miejsca, do którego naprawdę należę, jakby gdzieś na świecie czekał jeden właściwy punkt, w którym wszystkie części mnie wreszcie idealnie dopasują się do siebie. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, że być może nigdy nie chodziło o znalezienie takiego miejsca. Nie jestem z jednego świata. I wcale nie muszę wybierać".

A jak autorka opowiada o kulinariach, m.in. przywołując własne wersje „magdalenki", niech zaświadczy jeden z najmniej rozbudowanych przepisów tej książki.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl c6242adf39

Chińskie owocki mocy

ANNA MONICKA

Kiedy ostatnio wybrałyśmy się z córką na spacer po warszawskich Łazienkach Królewskich, żeby pozbierać kasztany, pogoda już nie rozpieszczała. Było na zmianę ciepło i zimno, raz zakładałyśmy kurtki, bo wiał zimny wiatr, raz zdejmowałyśmy, żeby nie oblać się potem. Poszłyśmy więc do ukrytej pod drzewami knajpki przy ul. Marszałkowskiej, żeby napić się czegoś ciepłego. Menu zrobiło się już jesienne, więc w karcie pojawił się napar imbirowy z miodem i owocami goji. Zamówiłyśmy imbryczek, żeby skosztować tych bardzo zdrowych, ale wciąż mało popularnych u nas jagód.

Można je kupić suszone w torebkach różnej wielkości, można też samodzielnie wyhodować w ogrodzie, bo wprawdzie Europa nie jest ojczyzną kolcowoju chińskiego, ale roślina nie należy do grymaśnych i świetnie sobie u nas radzi. Nie boi się niskich temperatur, szkodników ani kiepskiej, piaszczystej gleby. Krzewy ma niewysokie, cierniste, nadające się na naturalne żywopłoty. Do tego pięknie kwitnie – lubią ją zapylacze, więc – często przez nie odwiedzana – obficie owocuje. Od lipca aż do przymrozków jest obsypana podłużnymi jagodami, przypominającymi nieco kształtem te z berberysu. Są szkarłatnoczerwone, słodko-kwaskowate i soczyste. Można je jeść na surowo, mrozić albo suszyć. Nadają się do sałatek owocowych, deserów, prozdrowotnych naparów, nalewek.

W Chinach od kilku tysięcy lat uchodzą za jeden z filarów medycyny naturalnej, bo są bardzo bogate w witaminy z grupy B oraz C, wzmacniają organizm, budują jego odporność, obniżają ciśnienie krwi. Według legendy Li Qingyun, chiński zielarz i mistrz sztuk walk, dzięki temu, że codziennie jadł goji, dożył 256 lat (miał 20 żon i dwie setki dzieci).

W drodze do domu kupiłyśmy sobie imbir, cytrynę i torebkę jagód. Córka dosypuje kilkanaście owocków do porannej owsianki albo komosy ryżowej, piecze z nimi owsiane ciasteczka (zastępują rodzynki), a ja codziennie robię napary, do których wrzucam kilka sztuk (nie więcej niż 15 dziennie). Trzymam je potem w termosie i popijam na ciepło, dosłodzone miodem utartym z rokitnikiem. Napój jest tak orzeźwiający, że z powodzeniem zastępuje kawę. Na koniec wyjadam oczywiście napęczniałe jagody. Trzeba tylko pamiętać, że mogą nasilać działanie leków rozrzedzających krew.

Fot. Shutterstock, Hamburger Kunsthalle

WILCZYM OKIEM

Stworzenie jesiotra

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Obraz Mistrza Bertrama z Minden, stanowiący część XIV-wiecznego ołtarza kościoła św. Piotra w Hamburgu, przedstawia stworzenie zwierząt. W prawej dolnej części obrazu widzimy moment, w którym „stworzył Bóg wielkie potwory morskie i wszelkiego rodzaju pływające istoty żywe" (Rdz 1, 23). Potwory morskie nie są tu Lewiatanem, ale po prostu zwierzętami, częścią stworzenia, które Bóg widzi jako dobre i błogosławi im.

Spójrzmy na dużą rybę z płytkami kostnymi i heterocerkiczną płetwą ogonową – to jesiotr. Biorąc pod uwagę miejsce i czas powstania obrazu, to jesiotr ostronosy (*Acipenser oxyrinchus*). Do drugiej połowy XX w. tworzył on populację zamieszkującą naszą część Europy, w tym Bałtyk i polskie rzeki.

Do 1996 r. uważano, że naszym jesiotrem był jesiotr zachodni (*A. sturio*). Sądzono tak dlatego, że najbliższą wciąż istniejącą, choć skrajnie rzadką, populacją jesiotrów jest jesiotr zachodni z ostatnimi tarliskami w uchodzącej do Atlantyku Garonnie we Francji.

Stan wiedzy zweryfikowano w 1996 r., kiedy zbadano ostatniego być może jesiotra z Bałtyku. Okazał się nie jesiotrem zachodnim, lecz ostronosym. Zbadano więc egzemplarze muzealne – one również okazały się jesiotrami ostronosymi.

Najprawdopodobniej więc jesiotrami kiedyś tak licznymi w naszym rejonie Europy, w tym w Polsce, były jesiotry ostronose, tworzące tu wschodnią populację. Druga populacja wciąż żyje po przeciwnej stronie Atlantyku, u wybrzeży i w rzekach Ameryki Północnej.

Przez dziesiątki lat, myśląc o odtworzeniu jesiotra bałtyckiego, próbowano wsiedlać jesiotry zachodnie, a więc gatunek obcy i niedostosowany do naszych zimniejszych wód. Prawidłowe oznaczenie gatunku jest kluczowe dla powodzenia restytucji (drugim warunkiem jest budowa przepławek na zaporach – przepławek z prawdziwego zdarzenia, które rzeczywiście będą drożne dla ryb).

Obecnie w celu odtworzenia bałtyckich jesiotrów hoduje się i wpuszcza nie europejskie jesiotry zachodnie, ale amerykańskie jesiotry ostronose, wybierając ryby z rzeki Saint John, najbliższe genetycznie wymarłym jesiotrom z populacji wschodniej.

Zagadką pozostaje wydłużona ryba, znajdująca się na obrazie pod jesiotrem.

eprasa.pl c6242adf39

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Hipokryzja

Nasze życie publiczne przepełnia hipokryzja. Nie tylko wśród polityków słowo to jest obraźliwym epitetem. Nie lubimy hipokrytów dlatego, że głoszą jedno, a robią drugie, bo oczekują od innych zachowań, które ich nie dotyczą, bo swoje kłamstwa przykrywają innymi kłamstwami, chcąc pogrążyć przeciwnika, a siebie ukazać w pozytywnym świetle. A więc greckie *hypokrisis* zachowuje swoje pierwotne znaczenie – to obłuda, udawanie, fałsz, dwulicowość, manipulowanie faktami. Dziś hipokryzja funkcjonuje w społeczeństwie jako stały element konfliktu społecznego. A jednak wytykanie hipokryzji ma sens. Prędzej czy później ktoś rozpoznany jako hipokryta staje się osobą niewiarygodną, niekiedy skompromitowaną, czyli traci łatwość udawania kogoś innego, niż jest w rzeczywistości.

W rankingu hipokrytów pierwsze miejsce zajmuje Donald Tusk. Tu dygresja. Obecny rząd Tuska jest trzecim z kolei. Pierwszy i drugi rząd to lata 2007–2014, a trzeci trwa od 13 grudnia 2023 r. Przez 10 lat rządzenia Polacy mogli dobrze poznać jego negatywne cechy, ale dla góra 35 proc. polskiego społeczeństwa Tusk nadal jest postacią pozytywną, a koalicja rządowa wciąż prowadzi w sondażach. Czyżby tym ludziom nie przeszkadzały kłamstwo i hipokryzja? Rozpoczynając rządy w 2023 r., oskarżył poprzedni rząd o kradzież 1 mld zł na szkodę Skarbu Państwa. Elektorat PiS określił jako ludzi, którzy kradną, piją, biją kobiety i dzieci. I co?

I nic. Poszło gładko. Błąd zaniechania PiS w rozliczeniu ośmioletnich rządów Platformy został odebrany jako zgoda na bezkarność i słabość przeciwnika politycznego.

Ponowne dojście do władzy elektoratu Tuska stało się możliwe dzięki dokooptowaniu pseudoelit postkomunistycznych, lewicowo-liberalnych i ludzi wątpliwej wartości etycznej. Bez cienia krytyki przyjęli hipokryzję jako skuteczną metodę funkcjonowania w życiu publicznym. Jej częścią jest propagandowy atak na każdą próbę wypełnienia dziennikarskiej powinności polegającej na ujawnianiu faktów, zawsze pod hasłami obrony wolności i praw obywatelskich. Tak zareagowała senator Monika Piątkowska na dziennikarską dociekliwość reporterów wPolsce24 w sprawie jej zamieszkania pod Warszawą, tak zareagowała sędzia Anna Korwin-Piotrowska, wybrana przez Sejm do Trybunału Konstytucyjnego, na zwykłe pytania reportera TV Republika. Dziennikarską dociekliwość w postaci stawiania zwykłych pytań określiła jako „agresję", „groźny incydent", „napad". Przedstawić się jako ofiara – to jeden ze skrytych celów hipokryzji. Albo udawać, że nic niewłaściwego nigdy nie miało miejsca. Przypominam tu Tuska, który oskarżył prezydenta Donalda Trumpa o współpracę agenturalną z Rosją, po czym oficjalnie stwierdził w mediach, że nic takiego nie mówił. Cała władza stosuje dziś metodę „na Tuska" tak skutecznie, jak zblatowane z władzą sądy „doktrynę Neumanna" (obrona będzie na tyle skuteczna, gdy się jest członkiem PO).

Od 2003 r. głównym zajęciem rządu stało się niszczenie wszelkiej opozycji i prześladowanie niewinnych, porządnych ludzi za pomocą podporządkowanego władzy aparatu przymusu, prokuratury, policji i części sądów powszechnych. Stworzono „bezetyczną państwowość", jak ująłby to prof. Feliks Koneczny, czyli moralność zastąpiono omnipotencją państwa i prawa, ale w takim sensie, w jakim prawo jest interpretowane przez władzę. Tusk, usprawiedliwiając zamiar przejęcia Trybunału Konstytucyjnego, zastrzegał, że odbędzie się to zgodnie z prawem, choć może nieestetycznie, za co może być krytykowany. Zostawmy estetykę i tę *licentia poetica* premiera, tak samo oryginalną i pełną hipokryzji jak jego deklaracja, iż rząd będzie przestrzegał prawa, „tak jak my je rozumiemy". Szczyty hipokryzji w polityce!

Tymczasem nie wystarczy, że ktoś, kto mówi, że postępuje zgodnie z prawem, jest w całkowitym porządku. Człowiek porządny nie wykorzystuje prawa tylko dlatego, że daje mu ono wymierne korzyści. Bo przed prawem jest etyka – bo naturalnie i historycznie wcześniejsza. Między tymi pojęciami zachodzi ważna relacja: o ile prawo jest elementem przymusu państwa, o tyle etyka, sumienie, pozostaje w sferze dobrowolności. Sprawy w Polsce zabrnęły jednak tak daleko, że rozsądni prawnicy w obawie wykorzystania policji do celów sprzecznych z prawem (np. pacyfikacji TK), zalecają funkcjonariuszom policji wykonywanie obowiązków po wcześniejszym otrzymaniu rozkazu na piśmie. Łączenie etyki i prawa mieści się w powinnościach naszej cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej. O tym zapomina się nawet w licznych oficjalnych definicjach słowa „hipokryzja". Bo czyż nie pamiętamy słów wypowiedzianych w Kazaniu na górze z czasów działalności Jezusa w Galilei? A kto powiedział: „Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz? [...] Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrzysz, ażeby usunąć drzazgę z oka twego brata" (Łk 6,37 n.41n.).

To kazanie to nasz kodeks moralności chrześcijańskiej, obywatelskiej i warunek zachowania polskości.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Kijowski bardak cz. II

Andrzej Rafał Potocki

W minionym tygodniu w tej rubryce zajęliśmy się powodami spadku popularności prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Zakończyliśmy ją opisem strzelaniny w Kijowie pomiędzy jednostkami specjalnymi podległymi HUR – wywiadowi wojskowemu (członkowie Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego) oraz SBU – służbie bezpieczeństwa (Alfa). Powodem jatki na Berezniakach były walki frakcyjne i w konsekwencji poważne przetasowania na szczytach władzy. Teraz obie zwaśnione strony zwalają winę za rozpoczęcie strzelaniny do przeciwnika.

A jest tak. Rosyjski Korpus Ochotniczy, czyli Moskale walczący po stronie Ukrainy, wchodzi w skład nieformalnej struktury wykonawczej HUR pod kryptonimem „Tymur". To osobista „gwardia" gen. Budanowa, wykonawcy wszystkich najsłynniejszych operacji specjalnych HUR. Budanow wielokrotnie uczestniczył bezpośrednio w ich operacjach, podobnie jak w działaniach specjednostki Kraken, ale to Tymur jest jego „dzieckiem" i jego ekipą (Kraken to bardziej azowcy pod parasolem HUR). Dla Moskwy wrogowie równie – jeśli nie bardziej – znienawidzeni co Azow.

Alfa to z kolei matecznik p.o. ministra obrony Jewhenija Chmary i narzędzie Ołeksandra Pokłada, byłego szefa kontrwywiadu SBU, a od rekonstrukcji rządu p.o. szefa całej SBU. Ten z kolei to klasyczny policjant-łowca szpiegów z bogatą przeszłością. W sierpniu 2023 r. Pokład został zastępcą nowego szefa SBU, Chmary. Kiedy Chmara został szefem resortu obrony w ramach ostatniej rekonstrukcji rządu, Pokład awansował na p.o. szefa SBU i natychmiast wszedł w ostry konflikt z HUR. Mentalność Pokłada ukształtowała się jeszcze podczas pracy w milicji. Jest klasycznym przykładem gliniarza, którego zadanie to zamknąć za kratami obiekt zainteresowania, a nie obserwować go często nawet przez lata, by poznać metody pracy wywiadu przeciwnika. Czyli klasyczna działalność kontrwywiadowcza jest Pokładowi obca. A ponieważ w miejsce jednego prawdziwego zdjętego przedwcześnie szpiega, którego znamy, przeciwnik przyśle dwóch nowych, których nie znamy, działających w oparciu o siatkę, której nie znamy, czyli dalej będziemy jak dzieci we mgle – to już do Pokłada nie dociera. On ma nagłówki w mediach i chętnie odgrywa rolę bulteriera prezydenta Zełenskiego. W umyśle Pokłada nie mieści się też to, że jednostki specjalne HUR działające w ramach struktury Tymur są dowodzone przez ludzi powiązanych ze służbami Kremla czy wręcz będący ich byłymi kadrowymi oficerami. Ryzykowne? Bardzo, ale przy odpowiednim prowadzeniu przez służby ukraińskie bardzo efektywne. RKO, w którego skład wchodzą np. dezerterzy z wojsk pogranicznych Moskwy, doskonale wiedzą, jak i gdzie skrycie przekroczyć granicę Federacji. Tego nie da żadne szkolenie.

O co więc chodzi w strzelaninie na Berezniakach? W styczniu 2026 r. gen. Budanow został szefem Biura Prezydenta Ukrainy. Jego miejsce na czele HUR zajął gen. Ołeh Iwaszczenko ze Służby Wywiadu Zagranicznego. Ale bądźmy poważni. Budanow nadal pociąga w HUR za sznurki i *de facto* służba ta jest jego zapleczem. Jest na tyle mocny, że próbuje prowadzić własną politykę (wizyta w Warszawie w sprawie konfliktu o UPA) i naprawiać błędy szefa – Zełenskiego. To nie może się podobać prezydentowi. Przy okazji rekonstrukcji rządu usuwa on ministra obrony Fedorowa, blisko współpracującego z HUR. Po protestach na ulicach Kijowa na nowego ministra obrony zostaje wyznaczony Chmara z SBU, co osłabia pozycję Budanowa. Co prawda mianowanie gen. Drapatego głównodowodzącym SZU jest wzmocnieniem Budanowa, ale Drapaty pracuje pod nadzorem Chmary, co ogranicza jego możliwości. Atak SBU na RKO i HUR jest kolejnym ciosem w pozycję Budanowa. Trudno bowiem oczekiwać, że człowiek o osobowości prezydenta Zełenskiego ścierpi pod swoją bezpośrednią władzą ludzi mających większe zaufanie społeczne i znacznie mniejszy elektorat negatywny. Wystarczy podrzucić trop chartom z SBU, a one już radośnie pobiegną, nie zastanawiając się nad sensem swoich działań. I tak na Berezniakach polała się ukraińska krew. Wydaje się, że jedynym wyjściem z tej sytuacji, zagmatwanej i szkodliwej z punktu widzenia państwa prowadzącego wojnę obronną, są wybory. Ale Zełenski się waha i korzysta z sytuacji, że kraj jest w stanie wojny i przekłada elekcję.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c6242adf39

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

„Zwykli” obywatele

W Polsce osobliwie każdy musi mieć poglądy. To jedna z tych zdobyczy demokracji, które doceniamy szczególnie wtedy, gdy ktoś prezentuje poglądy inne niż nasze. Jeszcze lepiej, gdy jest się aktorem, bo wtedy pogląd można wygłosić z odpowiednią dykcją, pauzą dramatyczną i zamyślonym spojrzeniem w dal.

Polska gwiazda filmu, gdy komentuje politykę, nie wchodzi po prostu do debaty publicznej. Ona przybiera starannie i profesjonalnie wystudiowaną pozę. Robi to nawykowo, nie zastanawiając się nad tym. Widać to szczególnie na przykładzie Daniela Olbrychskiego, który niedostatki rozumu sztukuje cytatami.

Najpierw więc jest wywiad. Dziennikarz pyta o nowy film, ale po trzech minutach rozmowa nieuchronnie skręca w stronę państwa, demokracji i przyszłości narodu. Aktor wzdycha. Kamera robi zbliżenie. Pada zdanie zaczynające się od: „Ja jako obywatel...”. I już wiadomo, że premiera filmu zeszła na drugi plan.

Potem przychodzą media społecznościowe. Tam demokracja działa jeszcze szybciej. Nie trzeba już nawet udzielać wywiadu. Wystarczy filmik z kawą czy odpowiednio dobrany emotikon. Polityka zostaje sprowadzona do formatu, który świetnie sprawdza się również przy reklamowaniu kremu do twarzy: krótko, emocjonalnie i koniecznie z hasztagiem.

Najciekawsze jest jednak to, że polityczny celebryta występuje zazwyczaj w dwóch rolach jednocześnie. Z jednej strony mówi: „Jestem tylko zwykłym obywatelem”. Z drugiej jednak zwykły obywatel nie ma udziałów w radach nadzorczych, darmowych przelotów, licznych wojaży zagranicznych (co ciekawe, nieznajomość jakiegokolwiek języka obcego nie jest tu żadną przeszkodą), kilkuset tysięcy obserwujących i menedżera, który potrafi umówić mu rozmowę w trzech stacjach telewizyjnych przed śniadaniem.

Ale nie bądźmy niesprawiedliwi. Aktor ma pełne prawo mówić o polityce. Tak samo jak hydraulik, profesor, kierowca autobusu i człowiek, który od 1989 r. twierdzi, że „i tak wszystko wiadomo”. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy popularność zostaje pomylona z kompetencją. To przypadłość wielu profesorów i dziennikarzy komentujących rzeczywistość.

Aleksander Nalaskowski

Aktor ma pełne prawo mówić o polityce. Tak samo jak hydraulik, profesor, kierowca autobusu i człowiek, który od 1989 r. twierdzi, że „i tak wszystko wiadomo”. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy popularność zostaje pomylona z kompetencją

To zresztą cecha całego współczesnego świata. Kiedyś, żeby zostać autorytetem, należało coś przeczytać lub coś ważnego napisać, zbadać albo przez wiele lat czymś się zajmować. Dziś wystarczy mieć odpowiednio dużo obserwujących. Liczba lajków zaczyna pełnić funkcję habilitacji, a sekcja komentarzy – recenzentów naukowych. Furda nauka! Dociekanie prawdy to zabobon! Liczy się liczba odsłon. Habilitacja i profesura są potrzebne, aby brać udział w debatach telewizyjnych. Nauką nie ma sensu sobie zawracać głowy.

Polska gwiazda filmu ma jednak pewną przewagę: potrafi powiedzieć nawet rzecz banalną w sposób, który brzmi jak finał monologu w teatrze.

Przykład: „Musimy się obudzić” (muzyka organowa), „To jest moment próby” (jeszcze głośniejsze organy i bardziej dramatyczne), „Nie możemy być obojętni” (organy cichną, kamera odjeżdża). Wyciemnienie.

I człowiek zaczyna się zastanawiać, czy właśnie wysłuchał komentarza do wydarzeń politycznych, objawienia czy zwiastuna filmu, którego premiera odbędzie się jesienią.

Być może powinniśmy więc stworzyć nowy format debaty publicznej: „Gwiazdy komentują państwo”. Zamiast nudnych paneli ekspercckich – czerwony dywan. Zamiast pytań o szczegóły ustaw – pytania o emocje. Zamiast przypisów – zdjęcia z planu. A na koniec głosowanie publiczności: kto powiedział najbardziej poruszającą rzecz o konstytucji. Zwycięzca otrzyma Złoty Mikrofon i kontrakt na trzy kolejne sezony na komentowanie i ocenianie kogokolwiek zechce.

Bez wątpienia Donald Tusk ma większe kompetencje do takich zadań aktorskich i bycia celebrytą niż do zarządzania czymkolwiek. Wejdzie w każdą rolę napisaną w Brukseli czy Berlinie. To gracz szczególnie niebezpieczny, bo nieskończenie cyniczny. Showman, manipulator i szkodnik.

A widzowie w tym teatrze? Cóż, oni nadal będą musieli sami przeczytać, co właściwie właśnie uchwalono. Bezradni poznawczo Joński i Szczerba im tego nie wyjaśnią.

I może właśnie tutaj kończy się rola celebryty, a zaczyna rola obywatela. Bo aktor może odegrać polityka. Może również i ma prawo komentować politykę. Ale ostatecznie żadna rola żadnego aktora nie zwalnia nas z konieczności czujnego sprawdzania, co naprawdę dzieje się na tej scenie.

eprasa.pl c6242adf39

Michał Korsun prezentuje:* *Dla dzieci dieta planetarna, dla Nowackiej dieta przyziemna

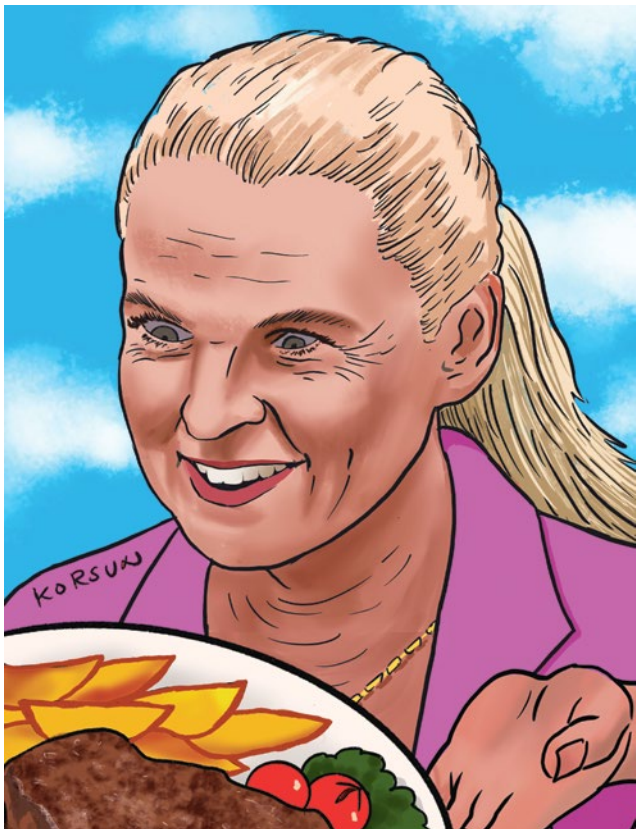

Wycinki z przeszłości

Dzisiejsze zimy coraz trudniej porównać do tych sprzed lat. W lutym 1937 r. gdyński port zmagał się z siarczystym mrozem, sięgającym -18 st. Celsjusza. „Ciężka kra, której grubość została zwiększona przez ciągłe zamarzanie brył lodu, łamanego przez statki i holowniki", uniemożliwiała żeglugę, a statki mogły poruszać się głównie z pomocą holowników. Ratunkiem miał być „silny łamacz lodu", zamówiony za granicą.

(sp)

PRENUMERATA WARSZAWA, WTOREK 2 LUTEGO 1937 R. CENA 10 GR.

DZIEŃ DOBRY!

ROK VII PM GAZETA CODZIENNA NR. 33

W dzień Imienin P. Prezydenta R. P.

Polska nie jest antysemicka

Żydzi nie zawsze to rozumieli, poddając się nerwowości

Wywiad amerykańskiego pisma z min. Beckiem

19 marcierzy po

Straszna katastrofa nad

600 wypadków

nieszczęśliwych

jednego dnia

Wykonany wyrok

na 13 skazanych w Moskwie

Sensacyjne oświadczenie posła sowieckiego

16 stopni mrozu

Góry lodowe w porcie gdyńskim

utrudniają żeglugę

GDYNIA, 1.2. — Panujące w ostatnich dniach mrozy, które dochodziły do minus 18 stopni, spowodowały zamarzanie wewnętrznych basenów portu.

Ciężka kra, której grubość została zwiększona przez ciągłe zamarzanie brył lodu, łamanego przez statki i holowniki, utrudnia żeglugę, która obecnie jest możliwa jedynie dla mniejszych parowców i to przy pomocy holowników portowych.

W związku z tym stały wysiłek ku utrzymaniu żeglugi został skierowany głównie na statki linii regularnych, które wchodzą względnie wychodzą w ustalonych terminach. Statki innej kategorii obsługiwane są dopiero w drugiej kolejce.

Równocześnie z zamarzaniem wewnętrznych basenów portu, nastąpił silny spadek poziomu wody, spowodowany długotrwałym wiatrem z kierunków wschodnich. Tak np. w dniu dzisiejszym o godz. 8 rano stan wody był o 75 cm. poniżej stanu normalnego.

Zamówiony za granicą silny łamacz lodu oczekiwany jest w środę 3 b. m. Ile nie nastąpi dalsza długotrwała zniżka temperatury, oczekowana jest w porcie poprawa warunków żeglugi.

w kontakcie z Trockim?

Z WOLEJA

Każdy, byle... Helwet!

Ryszard Czarnecki

Polskie powiedzonko „Tak czy owak zawsze Nowak" kojarzy mi się ze słynną maksymą Henry'ego Forda, twórcy potęgi największego niegdyś amerykańskiego koncernu samochodowego, który mawiał, że możesz wybrać sobie auto, jakie chcesz, pod warunkiem, że będzie to czarny Ford. Okazało się, że ma to zastosowanie odnośnie do przechodzącej kryzys wizerunkowy FIFA. Oto właśnie ogłoszono, że rywalem Szwajcara Gianniego Infantino, prezydenta tejże światowej federacji piłkarskiej, będzie... też Szwajcar – Ramon Vega. Ten drugi był przynajmniej piłkarzem reprezentacji oraz angielskiego klubu Tottenham Hotspur. Ponieważ poprzednim szefem FIFA również był Szwajcar, Sepp Blatter, wynika z tego, że najbogatszym związkiem sportowym globu może kierować każdy, pod warunkiem, że jest Helwetem. Może to od razu sformalizować i zapisać w statucie? Albo jednocześnie odmłodzić klan działaczy i powoływać tylko kogoś z Gwardii Szwajcarskiej w Watykanie? Ci mają chociaż kręgosłup moralny, a dla takiego Infantino to termin ze słownika wyrazów obcych.

Kto kogo poprze w boju o główny stołek w Zurychu (siedziba FIFA od 94 lat)? Muzułmanie gremialnie zagłosują na Infantino, bo kibicem Tottenhamu jest pisarz Salman Rushdie (mieszka w Wielkiej Brytanii), obłożony klątwą za szyderstwa z Koranu. Vega będzie miał za sobą „Agenta 007" Pierce'a Brosnana, też fana Hotspur, oraz innych kibiców zespołu z Londynu: aktora Jude'a Lawa, piosenkarzy Adele, Phila Collinsa, heavymetalowy zespół Iron Maiden (jego gitarzysta Dave Murray to również kibic Londyńczyków), Spice Girls (a przynajmniej Emmę Bunton, choć niekoniecznie Victorię Beckham, która z lojalności wobec męża pewnie jest za Manchester United) oraz słynnego koszykarza NBA Steve'a Nasha. Z zaświatów kontrkandydatowi Infantino będą kibicować inni fani Tottenhamu, tacy jak Bob Marley oraz Amy Winehouse.

Infantino będzie miał poparcie naszego PZPN, bo – trzeba mu to uczciwie przyznać – powierzył Polsce organizację kilku turniejów rangi światowej w piłce kobiecej i futbolu młodzieżowym.

Nie dość, że obaj są Szwajcarami, to jeszcze rówieśnikami: obecny szef FIFA ma 56 lat, a jego oponent – 55 lat. Wybory na pewno będą bardziej pasjonujące niż ostatnia – sprzed kilku dni – elekcja w Bośni i Hercegowinie, a także mecz Bośnia i Hercegowina–Polska. FIFA to „państwo w państwie", które na rządy i polityków patrzy z góry. Raz się przeliczyła, gdy na organizatora Mundialu 2022 wybrała Katar, a nie USA. Amerykańska prokuratura zrobiła organizacji z siedzibą w Szwajcarii (oczywiście) taki antykorupcyjny kipisz, że głowa mała. Nawet Wilhelma Tella...

eprasa.pl c6242adf39

OD A DO ZYBERTOWICZ

Piesek w wózeczku

Współczesny człowiek coraz częściej kocha zwierzęta tak, jakby były jego faktycznymi dziećmi. A św. Franciszek kochał zwierzęta jako część Boskiego stworzenia, nie zaś jako istoty ludzkie

Idąc ulicą w Warszawie, minęłam eleganckiego 40-latka pchającego wózek niemowlęcy. Głęboki, z gondolą, w modnym czarnym kolorze. Nie od razu uświadomiłam sobie, że coś tu zgrzyta. W wózku wiózł... pieska. Raczej rasowego. I wyglądającego na bardzo zadowolonego: psia mordka wystawała na zewnątrz, a pan pieszczotliwie mówił do niego jak do malucha.

Co na to św. Franciszek?

BRAT WILKA

Kaznodzieja ptaków, biedaczyna z Asyżu, miłośnik przyrody, symbol prostoty – jeden z tych bohaterów średniowiecza, którzy wciąż są żywi we współczesnej zbiorowej wyobraźni.

Św. Franciszkowi przypisuje się szczególną wrażliwość na całe Boże dzieło stworzenia. Najpełniej to oddaje franciszkowa „Pieśń słoneczna". Piękna modlitwa, w której autor dziękuje Bogu za „brata słońce" i „siostrę księżyc", wskazując, że człowiek jest częścią stworzenia, a nie jego bezwzględnym panem. Nawet śmierć nazywa siostrą i nie przedstawia jej wyłącznie jako groźby końca każdego żywota, lecz jako naturalną część Bożego planu.

Franciszek nie przedstawia natury jako czegoś niebezpiecznego, lecz jako wspólnotę stworzeń, które łączy fakt pochodzenia od Boga. Pisarz Roman Brandstaetter w swych „Kronikach Asyżu" (1976) przywołuje średniowieczną legendę: „Choć tu, bracie wilku – mówi święty Franciszek do wilka z Gubbio. – Rozkazuję ci w imię Chrystusa, żebyś ni mnie, ni nikomu nic złego nie zrobił". Kluczowe jest tu pochodzenie zwierzęcia od Boga.

BOHATER EKOLOGÓW

Ten, który – jak głosi średniowieczna tradycja – wygłosił kazanie do ptaków, na patrona ekologii nadaje się jak mało kto. Chyba żadna inna postać chrześcijaństwa nie jest tak mocno kojarzona ze zwierzętami i światem natury jak św. Franciszek. Nie dziwi, że w 1979 r. Jan Paweł II ogłosił go patronem ekologów.

Ten święty w każdym stworzeniu dostrzegał wartość, piękno i – co dziś brzmi zaskakująco nowocześnie – pewną wspólnotę istnienia. Człowiek w habicie mówiący o „naszej siostrze – matce ziemi" doskonale pasuje do współczesnej opowieści o ochronie planety.

Współczesny człowiek coraz częściej kocha zwierzęta tak, jakby były jego faktycznymi dziećmi. A Franciszek kochał zwierzęta jako część Boskiego stworzenia, nie zaś jako istoty ludzkie.

PORZĄDEK STWORZENIA

Dziś dla wielu osób pies przestał być po prostu psem. Ma swoje urodziny, ubranka, specjalne menu, psychologa, fizjoterapeutę, hotel, fryzjera, a nawet konto w mediach społecznościowych. Ma również oczywiście własną przestrzeń w mieszkaniu czy domu, ma swoje prawa, czasem większe od reszty domowników.

Wygląda na to, jakbyśmy dziś nie bardzo wiedzieli, co robić z naszym własnym człowieczeństwem, niektórzy z niezwykłą energią przenoszą je na swoich czworonożnych ulubieńców. Pies jest absolutnie wdzięcznym obiektem takiej operacji. Nie protestuje przeciwko nadmiarowi uczuć. Nie zapyta, dlaczego nazywamy go „synkiem", skoro ma cztery łapy. Nie przypomni nam, że jego naturalnym środowiskiem nie jest designerski wózek, lecz trawnik. Przyjmie wszystko z miną, która pozwala właścicielowi wierzyć, że jest absolutnie szczęśliwy.

Tu nie chodzi o to, że nie mamy kochać psów czy kotów. One zasługują na troskę i dobre traktowanie. Problem zaczyna się wtedy, gdy troska zamienia się w imitację rodzicielstwa, a pies zamienia się w psiecko.

Św. Franciszek rozumiałby nasz głód miłości i bliskości, ale chyba nie pochwaliłby takiego pomieszania porządków. Człowiek nie jest zwierzęciem, a zwierzę nie jest jego dzieckiem. Zwierzę jest po prostu innym stworzeniem – ma swoją naturę, swoje potrzeby i swoje miejsce w świecie.

Obraz dorosłego rozczulonego mężczyzny, wiozącego w dziecięcym wózku psa, to sygnał, że człowieczeństwo nam się psuje. Szacunek dla zwierząt nie może odbierać człowiekowi jego miejsca w porządku stworzenia. Piesek potrzebuje dobrego traktowania, ale nie można z niego zrobić człowieka.

Legendarna więź św. Franciszka ze zwierzętami nie polegała na tym, że próbował urządzić im życie według ludzkich standardów.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja 2x

eprasa.pl c6242adf39

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek

Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie

- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl c6242adf39

wPolsce 24

NIE DAMY SIĘ OKRAŚĆ!

WALCZYMY Z UKŁADEM,

który decyduje,
co Polacy mają oglądać

Jacek Karnowski,
redaktor naczelny
telewizji wPolsce24

WSPIERAJ
wPolsce24

wesprzyj.wPolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO